

s.14-15

Czarne scenariusze co do cen paliw jeszcze się nie realizują. Wszystko zależy od tego, jak będzie się rozwijał konflikt na Bliskim Wschodzie

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



ma
ga
zyn

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Puls



Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Piątek-niedziela, 13-15.03.2026 • Nr 21 (2532) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

Dziś:
W środku numeru
znajdziecie
„Indeks
maturzysty”

s.16-17
Najbardziej
kontrowersyjny
kandydat
na premiera PiS

s.4-9

Niezależnie od decyzji prezydenta rząd będzie realizował program SAFE. Ale będzie to mocno utrudnione

SAFE o proc. czy o złotych?

W poniedziałek magazyn

- Dorota Wellman: Nie dałam się przeformatować. Jestem twardą babką
- Sytuacja na Bliskim Wschodzie eskaluje. Co dalej?

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Janusz Michalczyk
publicysta



ŚMICHY-CHICHY I ROZSADEK

Przemysław Czarnek jako kandydat na premiera brawurowo wyśmiał zieloną energię i zebrał owację, a już po kilku godzinach musiał wyjaśniać, dlaczego na dachu swojego domu ma zainstalowane panele fotowoltaiczne. Próbował się ratować narzekając, że nie wie, kiedy mu się zwróci ta inwestycja, ale na podstawie liczb podanych przez niego samego wyliczono, że już po pięciu latach, właśnie teraz, wyjdzie na zero i z każdym kolejnym rokiem będzie się cieszyć zyskiem. Niczym niezrażony zapowiedział, że zdejmie panele po przyszlórocznych wyborach, gdy pełnym blaskiem znów zajaśnieje węgiel, czyli nasze polskie złoto. Wbrew krytykom byłego ministra edukacji twierdzą, że w ten sposób nie tyle dostarczył kolejnego dowodu na zakłamanie polityków, co pokazał, że jest trzeźwo myślącym człowiekiem, który dobrze wie, co jest dla niego dobre w życiu prywatnym, a zatem twardo stąpa po ziemi i potrafi odróżnić slogany niezbędne do pozyskania różnych grup wyborców od twardej rzeczywistości. Bardzo bym się smartwił, gdyby okazało się, że jako jedyny na swoim osiedlu nie ma paneli i codziennie dorzuca do pieca węgiel, bo to by oznaczało, że jest zaślepiony ideologicznie i zatruwa środowisko. Prawie 10 lat temu toczyła się w Polsce debata, czy zakazać handlu w niedzielę. Po obu stronach sporu wysuwano rzeczowe argumenty, więc opinia publiczna była podzielona. W obozie władzy przeważała wówczas koncepcja, by pozamykać duże sklepy. Dlatego zdziwienie wywołały medialne doniesienia o sfotografowaniu ważnego polityka - Joachima Brudzińskiego - podczas niedzielnych zakupów w galerii handlowej. Kiedy poproszono go o wyjaśnienie tej sprzeczności, nie wikłał się w skomplikowane wywody, lecz oświadczył, że dopóki sklepy są czynne, będzie korzystać ze swoich praw obywatelskich, co ucięło temat. Jak mówi popularne powiedzenie, nadgorliwość jest gorsza od faszystów, więc należy docenić każdy przejaw zdrowego rozsądku u polityków.

TO JEST ZAPRZECZENIE TARGOWISKA PRÓŻNOŚCI

Mamy oczy wymęczone nadmiarem. Jeszcze 100 lat temu można było przeżyć życie z niewielu obrazami pod powieką: patrzeć na ten sam krajobraz, gdzie zmienną stanowiły tylko pory roku; widzieć niewielu tych samych ludzi, którzy dzień po dniu, więc niedostrzegalnie, się starzeli. Ludzie oszczędnie korzystający ze zmysłów byli wrażliwi na to, co stanowiło wyłom w rutynie. Na przykład obrazy.

Teraz zewsząd atakują nas obrazki, najczęściej ruchome, kolorowe i przeskalowane. Idą do nas - i po nas - z otoczenia, i z ekranów. Po co jeszcze sięgać po sztukę? Wiem, to jest modne. Wiem, wystawy i wernisaże są jakimś wydarzeniem: można spotkać znajomych, wypić kieliszek wina. Można też się pokazać. Bo uczestnictwo w wydarzeniach artystycznych nabrało charakteru statusowego jako atrybut prestiżu.

To mają jednak znaczenie trzeciorzędne. Kiedy już znamy tysiące sławnych obrazów, kiedy widzieliśmy ileś wystaw mistrzów, kiedy gry statusowe budzą w nas tylko politowanie, a cienkiego (zazwyczaj) wina wernisazowego wolimy nawet nie próbować, wtedy wraca pytanie: po co?

Co nam daje sztuka współczesna? Czy nie jest aby kolejnym nadmiarem pod powieką? Afirmatywnych odpowiedzi będzie wiele. Zależnych od temperamentu i wrażliwo-

Liliana Sonik
publicystka



ści. Są jeszcze artyści. Artysta też jest częścią odpowiedzi. To jego propozycja, jego dzieło nas inspiruje. Albo i nie. Dość nieprofesjonalnie przyznam, że odruchowo zastanawiam się, czy mogłabym z twórcą obrazu, na który patrzę, zaprzyjaźnić się, albo choć zakolegować. Czy autor miałby mi do powiedzenia coś czego nie wiem. Oczywiście nie od dziś wiemy, że „dzieło jest autonomiczne”. Innymi słowy funkcjonuje jako pewien przekaz wyabstrahowany od twórcy i jego życia. Mnie jednak chodzi o coś innego: odpowiedź na pytanie skąd twórca czerpie energię i gdzie ją kieruje.

Wartościowa sztuka zawiera te odpowiedzi niejako 'w sobie'. Na wernisaż w Nowohuckim Centrum Kultury przyszło mnóstwo osób. Być może wielu mieszkańców dzielnicy. Gromadzili się przed płótnami i dzielili uwagami. Wystawę obrazów i rysunków Roberta Bubela zatytułowano: „To bardzo blisko”. On maluje, co widzi, czyli... sceny z Nowej Huty.

Maluje bez kokieterii i wbrew łatwiznie. Widzimy fragmenty dróg, przystanki autobusowe, osiedle, czy park. Kilkadziesiąt pokazanych

w NCK prac układa się w obraz tego, co „bardzo blisko”. Daje świadectwo temu światu.

To świat entropii? Dystopii? Na to wskazuje wąska paleta kilku barw, zatem... niewielu możliwości. W brawurowo malowanych płótnach nie ma ludzi; jest za to dojmujące poczucie samotności.

Hola hola! To tylko pierwsza, naskórkowa lektura, z którą wchodzi w spór uważniejsze spojrzenie. Robert Bubel ukazuje piękno nieoczywiste. Szuka go, znajduje i pokazuje. Pod granatowo-oliwanym niebem, na skraju autostrady, czy podwórku z zimowymi kikutami drzew, drzemie blask. Jest światło, jest życie. Spojrzenie malarza surową przestrzeń nie-dla-ludzi humanizuje. Odkrywa i nadaje sens.

Jak w niemal metafizycznym „Zmierzchu nad MPO”. Trzeba wiedzieć, że MPO to znajdujące się w Nowej Hucie Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania. Każdy kawałek tego zimnego pejzażu nabiera znaczenia. Immanentną składową obrazów Bubela są tytuły, najczęściej o dwojakim znaczeniu: dosłownie ironicznym i poetycko-filozoficznym. Wi-

dzimy pod lazurowym niebem świtu przystanek autobusowy, gdzieś na osiedlu. Tytuł brzmi: „Naprawdę samotne są tylko przystanki”. Niby każdy dobry obraz prezentuje się inaczej w zależności, z którego miejsca nań patrzemy. Tu jednak efekt jest uderzający: warto nie spuszczać oczu z obrazu przejść powoli kilka metrów, żeby dostrzec zmiany koloru i formy. Podobnie dzieje się z intrygującym płótnem opatrzonym nazwą „Miejsce chybionych starań”. Z kolei podwórko wśród bloków w części pograżone w mroku, a w części skąpane w słońcu to „Reets czyli Alicja na tropach przodków”. A szafrowe niebo prześwietlające kładkę nad autostradą oznaczył malarz jako „Łatwość kontaktów”.

Przy innej okazji Robert Bubel mówił: „...za pośrednictwem sztuki opowiadamy historię. I nimi komentujemy, albo próbujemy objaśnić świat. Są jak współczesne mity. Czy pustka i bezruch jest celowa, czy tylko nam się wydaje? Czy aby na pewno bezruch, skoro gwałtowność śladów pędziła temu przeciwy?”

Mając świetny warsztat mógłby bez trudu malować 'kobiety różowe płaskie jak opłatek', opalizujące boa, uda kobiet, zielone rzęsy i szklane spojrzenia. Albo ideolo-manifesty. Inną jednak obrał drogę. I inną Itakę. Malarstwo Bubela jest zaprzeczeniem targowiska próżności.

Apel Izby Wydawców Prasy w sprawie tzw. czystych nośników

Izba Wydawców Prasy apeluje o unowocześnienie przepisów, które będą działały na rzecz poprawienia stanu finansowania kultury. Polska Press Grupa jest członkiem IWP i popiera apel.

Sektor kultury i środowiska kreatywne, od których istnienia i działania zależą losy i stan polskiej kultury, od lat apelują do władz o rozwiązanie tzw. problemu czystych nośników. Nasze środowisko to ponad 300 000 ludzi zatrudnionych w sektorach, które nazywa się kre-

atywnymi. (...) Wspólnie generujemy 4 proc. PKB i chcielibyśmy, by dla dobra kraju ten wskaźnik systematycznie wzrastał.

Sektor kreatywny każdego dnia dostarcza społeczeństwu wartościowe treści, które pomagają nam rozumieć rzeczywistość, śledzić wydarzenia i korzystać z rozrywki. Jest to realna praca, która powinna być godnie wynagradzana. Jednym z elementów tego wynagrodzenia są opłaty od tzw. czystych nośników i urzędzeń służących do kopiowania utworów w ramach dozwolonego użytku osobistego

- stanowiące rekompensatę za możliwość kopiowania utworów na własny użytek. Problem polega jednak na tym, że w obecnym kształcie mechanizm ten jest rozwiązaniem archaicznym, krzywdzącym twórców i producentów kultury. Doceniamy wysiłki państwa w finansowaniu środowisk twórczych, ale musimy po raz kolejny zaapelować o unowocześnienie przepisów, które będą działały na rzecz poprawienia stanu finansowania kultury i to w sposób nieobciążający budżetu państwa! Sprawa nie wymaga regulacji ustawo-

wych. Wystarczy złożenie podpisu na nowelizacji rozporządzenia dot. czystych nośników i urzędzeń służących do kopiowania utworów w ramach dozwolonego użytku osobistego. Nieaktualność obowiązujących przepisów w naszym kraju jest kuriozalna. W Polsce, w odróżnieniu od innych krajów UE, lista nośników objętych opłatą wciąż zawiera m.in. płyty CD, kasety VHS, magnetowidy czy nawet kasety magnetofonowe - czyli nośniki i urządzenia, których mało kto dziś używa i niemal nikt już nie produkuje. W wyka-

zie wciąż brakuje używanych na masową skalę komputerów, smartfonów, telewizorów, czy tabletów. (...)

Czyż nie jest zatem oczywiste, że należy go niezwłocznie objąć niewielką opłatą, uiszczaną przez jego producentów i dystrybutorów? Autorzy tego listu od lat przekonują, że jest to konieczne i również długo czekają na niezbędne regulacje. Bezczynność Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w tej sprawie jest zdumiewająca, tym bardziej, iż projekt nowelizacji był szeroko konsultowany pu-

blicznie i jest gotowy, ale wciąż niepodpisany. Wbrew obietnicom jego wprowadzenia od 1 stycznia 2026 roku, podpisu na stosownym rozporządzeniu nadal nie ma. Dlatego po raz kolejny apelujemy o sprawczość, by hasło: „robimy, nie gadamy” nie pozostało pustym frazesem i aby tysiące polskich twórców, w tym muzycy, filmowcy, aktorzy, twórcy fotografii, grafik i rysunków, pisarze, naukowcy, wydawcy prasy czy dziennikarze - wzorem swoich europejskich koleżanek i kolegów - miały szansę na przetrwanie i rozwój.

Z CZEGO JUTRO ...? CO DZIAŁA, A CO NIE DZIAŁA, CZYLI KOPERNIKAŃSKIE ZASADY SMITHA W USTAWIE WILCZKA

Nieodgadnione do tej pory jest pismo Etrusków, mimo że zostało one odczytane pod kątem fonetycznym. Problemem jest niemożliwość zrozumienia znaczenia większości słów i gramatyki, bowiem język etruski był językiem nieindoeuropejskim. Nie ma znanych „żywych” pochodnych języków, które mogłyby posłużyć jako klucz do jego zrozumienia. Do tej pory nie znaleziono dla etruskiego pisma odpowiednika „Kamienia z Rosetty”, jak stało się w przypadku egipskich hieroglifów, które odczytano dzięki odnalezieniu w roku 1799 starożytnej steli z tekstem w wersji demotycznej i greckiej oraz hieroglificznej. Ciągłe brakuje wystarczająco długich tekstów dwujęzycznych m.in. etrusko-łacińskich, które pozwoliłyby na pełne odszyfrowanie struktury tego języka. Nawet znalezienie w egipskim grobowcu „Lnianej Księgi z Zagrzebia” nie stało się tym kluczem. Etruska księga z czasów starożytnych przetrwała, bowiem pocięto ją na pasy i użyto do owinięcia mumii kobiety z okresu ptolemejskiego. Mimo że zawiera około 1200 słów, w tym ok. 230 unikalnych wobec już poznanych krótkich napisów na grobowcach, to nie doprowadziła jak „Kamień z Rosetty” do złamania tajemnicy pisma Etrusków. Wszystkie ich dzieła literackie, historyczne i religijne zaginęły,

Andrzej Sadowski

Centrum. im. Adama Smitha



a wiedzę o nich czerpiemy głównie z nieprzychylnych im źródeł rzymskich i greckich. Chociaż naukowcy rozumieją dziś około 300–500 słów, to pełne odczytanie języka etruskiego bez znajomości kontekstu wielu czasowników i przymiów sprawia, że precyzyjne przetłumaczenie całych zdań wciąż jest wyzwaniem, a ich język pozostaje jedną z największych zagadek lingwistycznych starożytności. Niektóre etruskie słowa przeniknęły do łaciny, a potem do nawet polszczyzny. Etruskie słowo „phersu” oznaczające maskę lub zamaskowaną postać stało się łacińską „persona”, co pierwotnie oznaczało maskę teatralną, a później rolę społeczną lub osobę. Kongenialnie odnajdujemy jego wielowymiarowość w filmie Ingmara Bergmana z roku 1966 „Persona”.

W Europie do tej pory trwają próby zrozumienia języka Etrusków, a jednocześnie zatracono w niej rozumienie źródeł jej bogactwa, chociaż od marca roku 1776, kiedy ukazują się „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów” Adama Smitha nie są dla „naszego”

świata tajemnicą. Wcześniej poznał je świat arabski dzięki Ibn Chaldunowi, który 400 lat wcześniej opisał koncepcję podziału pracy i jego wpływ na wzrost bogactwa społeczeństw, oraz że to praca jest źródłem wartości towarów. Ibn Chaldun sformułował tezę znaną dziś powszechnie jako „krzywa Laffera”, że nadmierne opodatkowanie niszczy motywację do pracy i zmniejsza wpływy podatkowe, o czym również pisał Smith. Dla obu tych myślicieli wolny rynek był samoregulującym się mechanizmem, który najlepiej funkcjonuje przy ograniczonej ingerencji państwa.

Adam Smith „Bogactwem narodów” dokonał w naukach społecznych przewrotu o skali porównywalnej do dzieła „O obrotach sfer niebieskich” Mikołaja Kopernika, bowiem Kopernik i Smith zmienili centrum układu. Pierwszy z nich usunął Ziemię z centrum wszechświata, stawiając tam Słońce, a drugi usunął monarchę, czyli państwo z centrum gospodarki. Przed nim fałszywy w rozumieniu gospodarki i źródeł bogactwa merkantylizm afirmował drobiazgowo sterowanie każ-

dym aspektem handlu przez rządy, które nakładały na niego tak wysokie cła tak, że „wolny handel” - free trade w powszechnym rozumieniu oznaczał przemyt. Wysokie cła i liczne ograniczenia importowe, które były merkantylistycznym odpowiednikiem geocentryzmu, sprawiają od wieków, że przemysł staje się jedynym sposobem na opłacalne prowadzenie handlu. Stąd Adam Smith w „Bogactwie narodów” z nieskrywaną dozą empatii pisał o przemysłniku, że to często człowiek, który stał się doskonałym obywatelem, gdyby prawo państwowe nie czyniło przestępstwem działań, które natura, czyli wolny rynek nie uznaje za takie.

Kopernikański wymiar Smithowskiego przewrotu polegał na udowodnieniu, że jednostka i jej naturalne dążenia są centrum gospodarki, a bogactwo płynie z wolnej wymiany, nie z królewskich dekretów czy rządowych ustaw. Kopernik i Smith przesunęli środek ciężkości rozumienia świata, odkrywając jego „niewidzialne” prawa. Kopernik, dostrzegając matematyczny porządek tam, gdzie inni widzieli chaos lub interwencję boską, a Smith zważając porządek w pozornie chaotycznych działaniach milionów ludzi na rynku. Jego „niewidzialna ręka” to odpowiednik grawitacji w ekonomii, która jest siłą porządkującą system bez odgórnego planisty i „przedsiębiorczego państwa”. Obaj obalili intuicyjne postrzeżenie „widzenia gołym okiem”, które tworzy złudzenie, że Słońce krąży wokół Ziemi, oraz że bogactwo to tony złota w skarbcu. Myśliciele ci „odblokowali” rozwój ludzkości, bowiem Kopernik otworzył drogę

do nowoczesnej astronomii i fizyki, a Smith do nowoczesnej ekonomii i bezprecedensowego wzrostu gospodarczego, który nastąpił w XIX i XX wieku, a w Polsce po roku 1988 za sprawą zastosowania smithowskiej logiki porządku społeczno-gospodarczego w ustawie Wilczka.

Ustawa praktykowała główną myśl „Bogactwa narodów”, że dążenie jednostek do własnego interesu w warunkach wolnej konkurencji prowadzi za sprawą metaforycznej „niewidzialnej ręki” do maksymalizacji ogólnego dobrobytu w systemie naturalnej wolności, w którym porządek wyłania się spontanicznie z wymiany i podziału pracy. Ustawa nie cytowała „Bogactwa narodów” tylko była jego instytucjonalnym przełożeniem na prawo w warunkach ustroju, który zwalczał wolność i „human action” planując odgórn timer drobiazgowo podział pracy i wytwarzanie.

Podobieństwa Ustawy Wilczka z Bogactwem Smitha wynikają ze wspólnej ontologii porządku spontanicznego, który nie jest projektowany i dekretowany przez władzę. W „Bogactwie” mechanizm tworzenia dobrobytu powstaje jako niezamierzony efekt działań jednostek skoordynowanych przez rynek, a jego pokrewne ujęcie w „Ustawie” polegało na nie definiowaniu, jak ma wyglądać gospodarka, nie wskazywaniu sektorów strategicznych i nie „stymulowaniu” wybranych branż, co dziś jest na porządku obrad rządu i parlamentu. W „Bogactwie” i „Ustawie” państwo przyjmuje rolę strażnika zasad. Fundamentalna w „Ustawie” zasada „co nie jest zakazane” jest reali-

zującą Smithowskiej „niewidzialnej ręki”, bowiem działa tylko wtedy, gdy jednostki mogą swobodnie działać i eksperymentować na własne ryzyko, a prawo ustawy nie kierowało ręką rynku, tylko ją uwalniało.

Mieczysław Wilczek jako przedsiębiorca i przemysłowiec doskonale rozumiał przesłanie Adama Smitha, że źródłem bogactwa jest praca, a nie przywilej, który był immanentną cechą gospodarki planowej i merkantylistycznej. Jego „Ustawa” nie zawierała „strategii wzrostu”, nie miała wskaźników KPI oraz nie obiecywała dobrobytu tylko umożliwiła jego tworzenie. W państwie bez tradycji rynkowych „Bogactwo narodów” w formie „Ustawy” zadziało na poziomie największego tzw. cudu gospodarczego na świecie końca wieku XX, co jest jednym z najsilniejszych empirycznych potwierdzeń tezy Adama Smitha, że wolność i praca wystarczą, by uruchomić proces budowy dobrobytu. Ustawa Wilczka była „Bogactwem narodów” zapisanym w jednym zdaniu normatywnym. Nie tłumaczyła, dlaczego rynek działa ani jak ludzie powinni się zachowywać. Po prostu usunęła przeszkody, pozwoliła działać niewidzialnej ręce, a resztę zrobiła polska praca i przedsiębiorczość.

Jak myśl Smitha pozostaje aktualna, debatowano w lutym podczas „Czwartku u Ekonomistów” Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, bowiem rynki nadal są systemami informacji, praca nadal jest źródłem wartości, a wolność nadal decyduje o tym, czy wysiłek się opłaca. Zmieniły się technologie, nie zmieniła się logika „Bogactwa narodów”.

REKLAMA

0011342566



Royal National Ballet
POTSKHISHVILI
GRUZJA
Dyrekcja: G. POTSKHISHVILI
12 IV
godz. 16.00
PRUSZKÓW
CENTRUM KULTURY I SPORTU

kup bilecik .pl

bil@tyna.pl

eBilet.pl

POLITYCZNA WALKA O SAFE

Prezydent Nawrocki złożył w Sejmie swoją ustawę o „SAFE 0 proc.”, ale marszałek Czarzasty zapowiedział, że nie będzie procedowana, dopóki nie zakończy się proces dotyczący unijnego SAFE. Ustawa w tej sprawie wciąż leży na biurku głowy państwa, a wraz z nią 43,7 mld euro, które może trafić do polskiej armii

Dorota Kowalska



- Z tej ustawy chleba nie będzie, bo to nie jest mąka. To są puste słowa, bo nie ma tych pieniędzy - mówił premier Donald Tusk po spotkaniu w Pałacu Prezydenckim

Weto prezydenta Nawrockiego wydaje się przesądzone. Możemy nie skorzystać z unijnego programu SAFE, przynajmniej w takim wymiarze, w jakim moglibyśmy to zrobić.

We wtorek 10 lutego premier Donald Tusk spotkał się z prezydentem Karolem Nawrockim, aby rozmawiać o tej sprawie. Nie usłyszał chyba tego, co chciał usłyszeć.

- Spytałem pana prezydenta wprost, czy pan to podpisze, bo szkoda każdego dnia, każdej godziny - mówił Donald Tusk. - Pan prezydent powiedział, że ma jeszcze dużo czasu, 10 dni, i że się zastanawia, że mu się to nie podoba i że ma jednak propozycję, żeby wysłuchać propozycji pana Adama Glapińskiego. Ta propozycja w największym skrócie to jest SAFE zero złotych - przekazał premier. Jak ocenił, brakuje w niej konkretów.

W trakcie spotkania strona rządowa zapoznała się z treścią projektu ustawy proponowanej przez prezydenta.

- Z tej ustawy chleba nie będzie, bo to nie jest mąka. To są puste słowa. Nie ma żadnego prezydenckiego projektu sfinansowania polskiego przemysłu zbrojeniowego i polskiej armii, bo nie ma tych pieniędzy - mówił Tusk. - Na razie mamy deklarację pana Glapińskiego, że zrobi jakąś operację na złocie, a właściwie na księgowości i nagle się wygeneruje jakąś niebotyczną sumę pieniędzy. Pięć razy pytałem: jest zysk, wpłać do budżetu państwa, tak jak mówią o tym ustawy. Nie ma zysku, nie kłujcie i nie blokujcie programu SAFE, gdzie są realne pieniądze - powiedział szef rządu.

Projekt ustawy o Polskim Funduszu Inwestycji Obronnych (PFIO) trafił do Sejmu we wtorek, a więc w dniu spotkania prezydenta Nawrockiego z premierem Tuskiem, szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, ministrem finansów Andrzejem Domańskim i prezesem NBP Adamem Glapińskim.

Opublikowany na stronach sejmowych i na stronie prezydenta projekt zakłada utworzenie Polskiego Funduszu Inwestycji Obronnych, którego podstawowym źródłem finansowania będą środki pochodzące z zysku Narodowego Banku Polskiego. Według uzasadnienia zapewni to państwu „suwerenność decyzyjną, stabilność finansową i odporność na ryzyka zewnętrzne”.

„Mechanizm ten polega na kierowaniu części zysku NBP do Funduszu, gdzie środki te mogą być natychmiast przeznaczane na finansowanie wieloletnich przedsięwzięć inwestycyjnych, z pominięciem ograniczeń wynikających z rocznego planowania budżetowego” - czytamy.

Dzięki temu - zaznaczono - PFIO uzyskuje „stabilne, przewidywalne i krajowe źródło kapitału”, które może zostać uzupełnione emisją obligacji, pożyczkami, odsetkami od wolnych środków w złotych przekazanych w depozyt.

Zgodnie z projektem, Fundusz - podobnie jak w przypadku unijnego SAFE - powstanie w Banku Gospodarstwa Krajowego.

„Umiejscowienie Funduszu w BGK zapewni operacyjną zdolność do realizacji zadań: gromadzenia środków, prowadzenia rachunkowości, obsługi emisji instrumentów dłużnych i zarządzania płynnością” - podkreślono.

Wynikający z „rosnącej wyceny rynkowej polskich rezerw złota i walut” wypracowany przez NBP zysk ma zostać skierowany bezpośrednio na finansowanie celów obronnych. Dysponentem Funduszu byłby,

według projektu, minister obrony narodowej.

Tyle tylko że jak przekazał premier Donald Tusk, dwa miesiące temu Adam Glapiński poinformował rząd w oficjalnym piśmie, że NBP ma straty. Wynoszą one 100 miliardów złotych. Prezes NBP stwierdził też, że w kolejnych latach ta sytuacja się nie zmieni.

- Dzisiaj pan Glapiński mówi, że ma 180 miliardów zysku, bo pan prezydent go o to poprosił - skwitował premier Tusk.

Szef rządu powiedział, że jest „rozczarowany”.

- Szczególnie po tym, co usłyszałem od naszych generałów, jeszcze bardziej jestem przejęty tym, że nie znajdujemy zrozumienia w Pałacu Prezydenckim dla potrzeby szybkich decyzji w tej kwestii - mówił.

Ale też wojskowi są zgodni, że SAFE jest potrzebny polskiej armii. Pod koniec stycznia Komisja Europejska zatwierdziła

korzyści dla naszego przemysłu. Mało tego, jak podkreślają ekonomiści, na o wiele droższych warunkach. SAFE to szansa dla polskiego przemysłu zbrojeniowego, rozwój gospodarczy i technologiczny i ostatecznie nowe miejsca pracy. Dlatego tym bardziej dziwię się, że SAFE używany jest do walki politycznej”.

Premier Donald Tusk stwierdził jednak, że nie traci nadziei.

- Mieliśmy bardzo mocne argumenty w czasie tego spotkania i nie tracę nadziei, że przynajmniej część tych argumentów dotrze wreszcie do tamtej strony i że ewidentny, taki oczywisty interes narodowy weźmie górę nad jakąś taką polityczną grą - oświadczył Tusk.

Jak mówił, „kiedy zorganizowaliśmy te wielkie europejskie pieniądze na polski przemysł zbrojeniowy, ktoś się przestraszył, że będzie sukces Polski albo nie daj Bóg mój sukces i postanowił to zablokować i pokłówać, trochę poudawać, że jest jakiś alternatywny program”.

Premier zapowiedział, że do końca będzie czekał na podpis prezydenta pod ustawą wdrażającą unijny program SAFE.

- Wtedy te pieniądze będzie można łatwiej i szybciej wydać na polski przemysł zbrojeniowy - powiedział. - Jeśli jednak pojawi się weto, to na pewno tego samego dnia będziemy mogli realizować plan B, czyli uchwałę Rady Ministrów - ale ze stratą dla na przykład Straży Granicznej. Na tym polega problem. (...) Jeżeli będzie weto, to na wojsko znajdziemy pieniądze, ale nie będzie pieniędzy przez to weto na ochronę granicy wschodniej, wsparcie Straży Granicznej, policji w jej zadaniach na rzecz bezpieczeństwa obywateli, na cyberbezpieczeństwo - wymieniał Tusk.

Trudno nie odnieść wrażenia, że sprawa SAFE od samego początku była sprawą polityczną. Przypomnijmy, że w Sejmie za przyjęciem ustawy wprowadzającej ten unijny program opowiedziało się 236 posłów, przeciw było 199, wstrzymało się 4. Na 180 biorących udział w głosowaniu posłów PiS 179 było przeciw, 1 wstrzymało się od głosu. Wszyscy głosujący posłowie Konfederacji (14 osób) byli przeciw ustawie.

- To co wiemy o programie SAFE napawa nas sceptycyzmem, że jest to racjonalny sposób zadłużania się. Wspieramy wydatki na obronność, na bezpieczeństwo, natomiast to musi być robione z głową - tłumaczył potem lider Konfederacji Krzysztof Bosak. Jego zdaniem, program SAFE nie jest potrzebny, by kupić to, co już jest na rynku.

Trzy dni po głosowaniu, prezes Kaczyński jasno przedstawił stanowisko PiS w sprawie SAFE i zaapelował do prezydenta Na-

wrockiego o zawetowanie ustawy wdrażającej ten unijny program. Według niego SAFE ma „potężne aspekty polityczne”, a jego celem jest zjednoczenie Europy „pod niemieckim przywództwem”.

Zdaniem Kaczyńskiego kwestia programu SAFE ma dwa aspekty. Pierwszym, jak mówił, są „pieniądze, podobno na dobrych warunkach, chociaż ich nie znamy”. Jako drugi z aspektów prezes PiS wymienił zasadę warunkowości i podkreślił, że to właśnie ta kwestia zdecydowała o sposobie głosowania klubu.

- W gruncie rzeczy sprowadza się do tego: jak rządzą ci, których my chcemy - czyli Berlin w istocie chce - to tak, a jak rządzą inni, to nie - stwierdził. Dodał, że taka konstrukcja programu jest dla PiS „absolutnie nie do przyjęcia”.

Kaczyński podkreślił, że SAFE oznacza w praktyce odwrócenie się od takich partnerów jak Stany Zjednoczone i Korea Południowa, co jego zdaniem byłoby szkodliwe dla Polski, a Polska powinna bronić swojej niezależności, pomimo korzystniejszych finansowo ofert związanych z SAFE.

- Polska niepodległość nie ma po prostu ceny - dodał prezes Kaczyński. Jego zdaniem proponowane mechanizmy stawiają Polskę pod „niemieckim butem”.

Prezesowi wtórował były szef MON Mariusz Błaszczak, co o tyle zadziwiające, że jeszcze we wrześniu ubiegłego roku określał SAFE jako szansę dla polskiego przemysłu zbrojeniowego. Dziś politycy PiS przekonują, że „dopiero teraz” okazało się, „czym w rzeczywistości” jest ten program.

Prezydent Nawrocki znalazł się więc w pułapce. Z jednej strony PiS naciska na weto, podobnie jak bliska mu Konfederacja, z drugiej - rozumie chyba jak ważny to program dla polskiej armii, której jest zwierzchnikiem.

Radosław Sikorski uważa, że „Karol Nawrocki czuje powagę chwili, bo wie, że unijny program SAFE jest dobry dla Polski, ale ma szantaż ze strony Nowogrodzkiej”. - Musi dokonać wyboru - czy robi coś, co jest zgodne z jego misją, czy posłucha się Kaczyńskiego. (...) Ja się dziwię, bo w naszych rozmowach pan prezydent powiedział nieraz, że jeszcze się zdziwię, że jest prezydentem obywatelskim. Teraz ma szansę pokazania, ale tego nie robi - powiedział minister resortu dyplomacji w TVN24, odnosząc się do możliwego weta prezydenta w sprawie projektu.

Włodzimierz Czarzasty poinformował, że ustawa o „SAFE 0 proc.” zgłoszona przez Karola Nawrockiego nie będzie procedowana, dopóki nie zakończy się proces dotyczący unijnego SAFE. Ustawa w tej sprawie jest na biurku głowy państwa.

KPO: WYDŁUŻENIE TERMINU NA ROZLICZENIE INWESTYCJI W SILOSY

Zachęcamy wszystkich rolników, którzy podpisali z ARiMR umowy o objęcie wsparciem zakupu i montażu silosów wraz z wyposażeniem, do realizacji założonych inwestycji. Dzięki wprowadzonym przez MRiRW zmianom legislacyjnym termin na zakończenie przedsięwzięć i złożenie wniosku o płatność został przesunięty do 30 kwietnia 2026 r.

W sytuacji, w której rolnik, pomimo zakończenia realizacji przedsięwzięcia do 30 kwietnia 2026 r. i wystąpienia do właściwych organów o wydanie stosownych pozwoleń, oświadczeń czy decyzji (np. decyzji o pozwoleniu na użytkowanie), wspomnianych dokumentów nie otrzyma, wciąż będzie mógł liczyć na otrzymanie pełnej kwoty dofinansowania. Ważne jest, aby wraz z wnioskiem o płatność złożyć dokumenty potwierdzające wykonanie tej



inwestycji. Mogą to być faktury, dowody zapłaty lub inne dokumenty opatrzone datą nie późniejszą niż 30 kwietnia 2026 r. Będą one stanowiły potwierdzenie dokonania w okresie do 30 kwietnia 2026 r. zakupów, montażu, rozruchu maszyn i urządzeń, zakończenia robót budowlanych, złożenie wniosków do organów itp.

Zachęcamy rolników, aby zrealizowali i rozliczyli swoje inwestycje w terminie. W przypadku pytań czy wątpliwości eksperci z ARiMR są do Państwa dyspozycji. Wnioski o płatność końcową należy składać wyłącznie w formie elektronicznej przez skorzystanie z formularza udostępnionego na Platformie Usług Elektronicznych pod adresem: <https://epue.arimr.gov.pl/>. Do 1 marca 2026 r. ponad 6 tys. rolników zakończyło

swoje inwestycje i złożyło wnioski o płatność na kwotę 218,45 mln zł. Do tego czasu ARiMR przekazała na konta beneficjentów 203,5 mln zł.

Przypominamy, że poziom refundacji i wysokość wsparcia, które może otrzymać beneficjent, wynosi:

- 1) do 60% kosztów kwalifikowalnych i nie więcej niż 60 tys. zł – w przypadku młodego rolnika,
- 2) do 50% kosztów kwalifikowalnych i nie więcej niż 50 tys. zł – w przypadku pozostałych wnioskodawców.

W naborze, który został przeprowadzony w 2023 roku (od 5 czerwca do 5 lipca 2023 r.), do ARiMR wpłynęło blisko 13 tys. wniosków o pomoc, z czego 9,35 tys. rolników ma podpisane i aktywne umowy na realizację przedsięwzięć.



NOWA KAMPANIA DOPŁAT – PRZYKOTUJ SIĘ DO ZŁOŻENIE WNIOSKU

Tradycyjnie od 15 marca rolnicy mogą ubiegać się o przyznanie dopłat bezpośrednich i obszarowych w ramach nowej kampanii. Choć do rozpoczęcia naboru pozostała jeszcze chwila, warto już teraz sprawdzić poniższe zasady i przygotować się do złożenia wniosku.

Zadbaj o wpis do EP

Jeśli nie masz numeru EP, w pierwszej kolejności uzyskaj wpis do ewidencji producentów ARiMR. Wniosek o nadanie numeru EP możesz złożyć online (e-Doręczenia), w biurze powiatowym lub pocztą. Formularz wniosku jest dostępny na stronie internetowej Agencji.

Sprawdź numer konta

Poprawny numer konta bankowego pozwoli Agencji na szybką i bezproblemową wypłatę środków.

Przetestuj logowanie do aplikacji eWniosekPlus

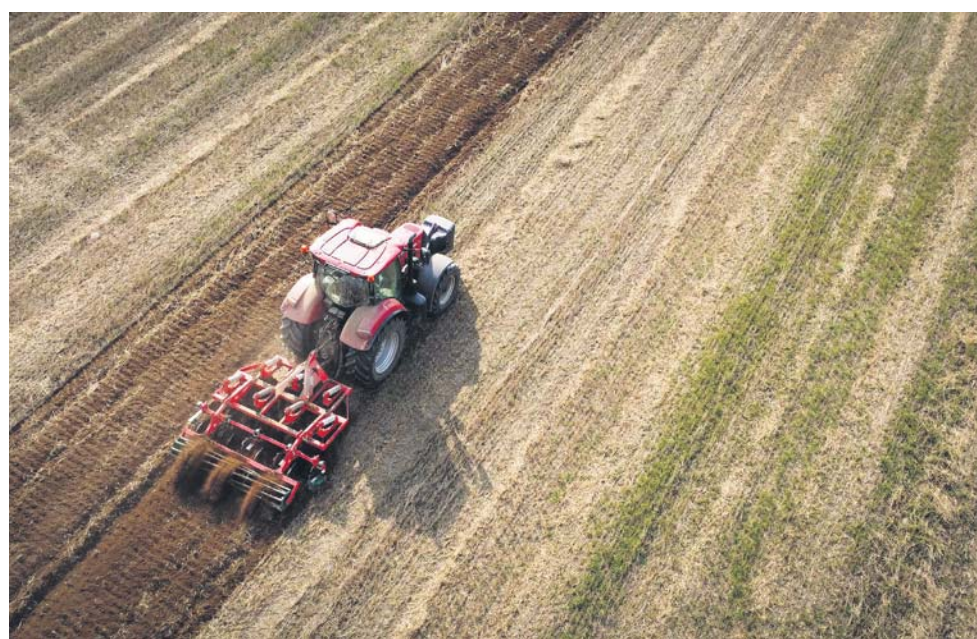
Wniosek o przyznanie płatno-

ści możesz złożyć wyłącznie online, dlatego upewnij się, że masz dostęp do aplikacji eWniosekPlus oraz sprawdź poprawność loginu i hasła. Zajrzyj na stronę internetową Agencji do sekcji „Systemy teleinformatyczne ARiMR”. Do Twojej decyzji pozostaje wybór drogi logowania: za pomocą eWniosekPlus lub Platformy Usług Elektronicznych.

Zaplanuj termin złożenia wniosku

Kampania dopłat 2026 startuje 15 marca. Jeśli zastanawiasz się, kiedy złożyć wniosek, to podpowiadamy – zrób to na początku naboru. W tej sytuacji masz więcej czasu na uzupełnienia lub poprawę deklaracji.

Bądź na bieżąco z zasadami Zapoznaj się z komunikatami i instrukcją wypełniania wniosku, zanim przystąpisz do jego uzupełnienia. W instrukcji znajdziesz m.in. niezbędne informacje na temat rodzajów płatności, logowa-



nia, zakładania konta i odzyskiwania hasła.

Upewnij się, że masz tytuł prawny do działki

Pamiętaj, we wniosku wykazujesz wszystkie posiadane grunty. Do przyznania

płatności kwalifikują się te, do których posiadasz tytuł prawny na dzień 31 maja 2026 roku.

Sprawdź dane na wniosku Dostosuj wniosek do aktualnej struktury zasiewów.

Pozwoli to na uniknięcie błędów, zwłaszcza tych związanych z monitoringiem satelitarnym.

Zapoznaj się z normą GAEC 2

Posiadasz w swoim gospo-

darstwie obszary podlegające ochronie w ramach normy GAEC 2 Ochrona torfowisk i obszarów podmokłych na gruntach użytkowanych rolniczo? Pamiętaj o obowiązku przestrzegania określonych zasad, np. nieprzekształcania i niezaorywania trwałych użytków zielonych, z wyjątkiem płytkiej uprawy gleby i podsiewu (nie częściej niż raz na 4 lata); zaorywania gruntów ornych, z wyłączeniem uprawy gleby do głębokości 15 cm.

Przygotuj wymagane dokumenty

Warto wcześniej przygotować wymagane załączniki do wniosku, np. umowy, oświadczenia czy inne dokumenty. Ułatwisz sobie pracę i zaoszczędzisz czas.

Od 15 marca możesz wypełnić wniosek o przyznanie płatności na rok 2026. Będziesz mógł to zrobić samodzielnie lub z pomocą doradcy. Co ważne – wystanie wniosku należy do Ciebie.

CZY ARMIA BĘDZIE ZAKŁADNIKIEM POLITYCZNEGO BOKSU?

Front tej wojny przebiega przez gabinet prezydenta, siedzibę NBP i gmach Kancelarii Premiera, a jej wynik zdecyduje o tym, czy nasi żołnierze otrzymają obiecany sprzęt, czy jedynie obietnice bez pokrycia

David Kamizela, Robert Szulc

Rządowy program SAFE (Security Action For Europe) opiera się na unijnych mechanizmach dłużnych - to blisko 44 mld euro pożyczek, które mają zasilić modernizację nie tylko wojska, ale i służb podległych MSWiA. Tymczasem propozycja prezydencko-bankowa, która właśnie trafiła do Sejmu, zakłada oparcie zakupów na zyskach Narodowego Banku Polskiego oraz krajowych instrumentach BGK.

Dwa Sejfy, jedna niepewność

Ekspert nie zostawiają jednak na propozycji „SAFE 0%” suchej nitki, wskazując na jej mglistość. Problem polega na tym, że zysk NBP jest zmienny i nieprzewidywalny. Od 2005 roku bank wpłacił do budżetu 66,5 mld zł, ale zdarzały się lata z zerowym wynikiem. Brak sztywnych progów finansowych w ustawie prezydenckiej sprawia, że fundusz ten może okazać się pustą obietnicą. Nazwa „SAFE 0%” sugeruje finansowanie bezkosztowe, oparte na narodowych zasobach (w tym na 550 tonach polskiego złota). Jednak rzeczywistość operacyjna wygląda inaczej. Brakujące środki - czyli różnicę między potrzebami armii a realną wpłatą z NBP - ma generować Bank Gospodarstwa Krajowego.

Jedyną realną korzyścią tego rozwiązania jest fakt, że ciężar spłaty tych zobowiązań zostałby przesunięty z budżetu MON na ogólny budżet państwa.

Kluczowym punktem sporu jest to, gdzie trafią pieniądze. Program unijny wymusza pewną europejską solidarność (limit 35 proc. na zakupy poza Europą). Projekt prezydencki teoretycznie kładzie większy nacisk na krajowy przemysł, ale pozostawia furtkę, która może być interpretowana dowolnie.

Jest mowa oczywiście o polskim przemyśle zbrojeniowym, natomiast jeżeli danej rzeczy nie może wytworzyć nasz polski przemysł, to możemy to kupić u sojuszników. Natomiast tutaj już nie ma takiego podziału, że jest europejska część i jakaś nieeuropejska. Są tylko sojusznicy i przeciwnicy.

W cieniu politycznego „boksu”, jak określają to kome-



tatorzy, stoją generałowie. Ich perspektywa jest uderzająco inna od tej prezentowanej w mediach przez polityków. Dla ludzi odpowiedzialnych za obronę granic, źródło pochodzenia złoćtówki jest drugorzędne wobec tempa jej wydania.

Niestety, obecny pat legislacyjny uderza w ramy czasowe modernizacji. Brak podpisu prezydenta pod unijnym programem SAFE może nie zatrzymać zakupów dla samego wojska (które ma inne ścieżki finansowania), ale uderzy rykoszetem w inne formacje.

Znany priorytet rządowego SAFE

Większość „tortu” trafi do polskiego przemysłu. Największą część przeznaczono na systemy artyleryjskie. Tydzień temu w podwarszawskiej Zielonce rząd ujawnił listę

projektów, które mają zostać sfinansowane z unijnego instrumentu SAFE. Skala środków oraz struktura wydatków pokazują, że Warszawa traktuje ten mechanizm nie jako uzupełnienie, lecz jako jedno z kluczowych narzędzi przyspieszenia modernizacji technicznej SZ RP, a jednocześnie zapewnienia stabilnego finansowania już zawartych kontraktów. Około jedna trzecia puli SAFE, czyli 180 miliardów złotych trafi do Polski, a Komisja Europejska nie wykreśliła żadnego z projektów zgłoszonych przez Warszawę.

Priorytet: artyleria i obrona powietrzna

Największą część środków SAFE - 48,6 mld zł - przeznaczono na systemy artyleryjskie. Wśród nich wskazano moduły ogniowe moździerz przy samo-

bieżnych Rak kal. 120 mm oraz moduły dywizjonowe Regina oparte na haubicach samobieżnych Krab kal. 155 mm.

Oznacza to dalsze wzmocnienie zdolności ogniowych wojsk rakietowych i artylerii, co ważne, realizowane w pełni w oparciu o rozwiązania krajowe, rozwijane przez polski przemysł.

Drugą co do wielkości kategorią (44,2 mld zł) jest obrona przeciwlotnicza, przeciwrakietowa i systemy antydrone. W tej dziedzinie mowa o pozyskaniu systemu antydronegowego SAN oraz systemów rakietowych bardzo krótkiego zasięgu Piorun. W kontekście trwającej wojny na Ukrainie oraz rosnącego znaczenia zagrożeń ze strony środków bezzałogowych, decyzja o silnym dofinansowaniu tej domeny wydaje się oczywista.

Amunicyja i „Bezpieczny Bałtyk”

32,3 mld zł trafi na szeroko pojęte systemy lądowe i wsparcia. W tej kategorii mieszczą się m.in. nowe bojowe wozy piechoty Borsuk oraz kołowe transportery opancerzone Rosomak - w tym drugim przypadku zarówno w wersji podstawowej, jak też w wersji do ewakuacji medycznej. Pozyskanie dużych ilości obywateli tych platform jest kluczowe w kontekście zmiany jakościowej, jakiej potrzebują polskie jednostki zmechanizowane i zmotoryzowane.

23,8 mld zł przewidziano na amunicję i pociski rakietowe - jest to obszar, który po 2022 roku stał się jednym z kluczowych wniosków z konfliktu o wysokiej intensywności, który ma miejsce u naszych wschodnich granic. Stworzenie i uzupełnienie zapasów amunicji artyle-

ryjskiej i raketowej oraz rozwój krajowych zdolności produkcyjnych mają dla resortu obrony znaczenie strategiczne.

Warto odnotować również 3,4 mld zł w ramach inicjatywy „Bezpieczny Bałtyk”. W jej skład mają wejść nowe nawodne systemy bezzałogowe, finansowanie okrętu Ratownik oraz nowy okręt hydrograficzny. Tak mały zakres środków przeznaczonych na domenę morską wynika bezpośrednio z zapisów programu SAFE, dokładniej konieczności zakończenia i rozliczenia programów do 2030 roku. Co w przypadku budowy okrętów jest harmonogramem bardzo trudnym do spełnienia.

Transport strategiczny i komponent kosmiczny

13,6 mld zł zostanie przeznaczone na transport strategiczny oraz „zasoby” kosmiczne. Wśród pewniaków w tej domenie wymienia się samoloty transportowo-tankujące MRTT, śmigłowce szkolno-bojowe, satelity rozpoznawcze SAR oraz pierwszego geostacjonarnego satelitę łączności będącego własnością Polski. Ta ostatnia zdolność, tak jak w przypadku powietrznych tankowców, byłaby w SZ RP zupełną nowością. Dotychczas SZ w obydwu tych dziedzinach musiały korzystać z pomocy czy usług podmiotów i państw trzecich.

Te dwa zakupy wpisują się w dążenie do budowy suwerennych zdolności w domenie kosmicznej i zabezpieczenia operacji powietrznych. W praktyce oznacza to stopniowe uniezależnianie się od zewnętrznych dostawców usług satelitarnych i zwiększanie odporności systemu dowodzenia.

Wydatki z SAFE nie tylko na wojsko

Z puli SAFE ponad 170 mld zł ma trafić bezpośrednio na sprzęt dla Sił Zbrojnych RP, 9 mld zł na infrastrukturę związaną z bezpieczeństwem, a 7 mld zł na wyposażenie Straży Granicznej, Policji i innych formacji porządkowych, takich jak SOP. W tej „domenie” mowa m.in. o nowocześniejszych śmigłowcach wielozadaniowych dla SG, bezzałogowych systemach powietrznych dla Policji oraz kamizelkach balistycznych, broni strzeleckiej i wyposażeniu osobistym.

Refinansowanie i „uwolnione miliardy”

Istotnym elementem jest zapowiedź częściowego refinansowania ze środków SAFE już zawartych umów z polskim przemysłem. Jak wskazał gen. Wiesław Kukuła, mowa o ponad 30 mld zł, które mają zostać „uwolnione” w ten sposób do kasy MON. Mechanizm ten pozwoli sfinansować nowe programy bez zwiększania obciążenia budżetu państwa.

JOŃSKI: POLSKA NIE MOŻE STAĆ SIĘ ZAKŁADNIKIEM POLITYKI PREZYDENTA

Uważam, że należy SAFE przyjąć. A jeśli ze strony prezydenta i NBP pojawia się propozycja SAFE II, to należy ją też przyjąć – mówi Dariusz Joński, europoseł Koalicji Obywatelskiej

Agaton Koziński

Ile jest polityki, a ile merytoryki w dyskusji o SAFE?

Jeśli chodzi o program obejmujący 19 krajów europejskich, który był negocjowany przez prawie 12 miesięcy, to jest on w 100 proc. merytoryczny. To coś, na co wszyscy czekali.

A jak te proporcje układają się w dyskusji w Polsce?

Można powiedzieć, są one mocno rozchwiane. Dziwi mnie przede wszystkim, że posłowie, którzy tak chętnie mówią o tym programie, nawet nie poszli zobaczyć tej słynnej listy podmiotów, które są nim objęte.

Bo jest ona tajna.

Jest tajna, ale zdecydowana większość posłów może się

z nią zapoznać – wystarczy, że mają oni dostęp do informacji niejawnych. Dlatego nie rozumiem tej dyskusji, która się toczy w Polsce na ten temat. Najgorsze jest to, że my naprawdę graniczymy z Rosją i z Białorusią. Gdybyśmy zadowalali się dalej, moglibyśmy toczyć jałowe dyskusje, ale w naszym przypadku jest inaczej. Te pieniądze powinny być wyjęte poza nawias sporu politycznego.

Stało się inaczej – dyskusja o SAFE przebiega dokładnie według podziału politycznego.

Uważam, że należy SAFE przyjąć – a jeśli ze strony prezydenta i Narodowego Banku Polskiego pojawia się realna



FOT. ADAM JANKOWSKI

Joński: My naprawdę graniczymy z Rosją i z Białorusią. Te pieniądze powinny być wyjęte poza nawias sporu politycznego

propozycja SAFE II, to jego należy przyjąć również. Lepiej mieć dwa SEJF-y niż jeden.

Opozycja przytacza szereg argumenty przeciwko unijnemu SAFE. Po pierwsze podnosi, że lista objętych nim projektów nie jest jawna. Po drugie, że te pieniądze są przyznawane Polsce przez Unię Europejską warunkowo. Po trzecie, że nie znamy wysokości oprocentowania tego kredytu. Nie można było wcześniej wyjaśnić tych wątpliwości?

Wszystkie te trzy kwestie zostały już wyjaśnione. Lista projektów jest tajna, bo nie chcemy dawać na tacy Putinowi szczegółów, jakie tech-

nologie zamierzamy rozwijać. Poza tym wiele tych projektów już jest znanych.

Po drugie, warunkowość. Zawsze, gdy bierze się kredyt, trzeba spełniać jakieś warunki – wie to każdy, kto pożyczal pieniądze z banku. W przypadku SAFE będziemy musieli spełnić warunki dotyczące uczciwości i transparentności. Po trzecie, oprocentowanie. Ono też jest znane – to będzie ok. 3 proc. Pojawiają się też argumenty, że kredyt w euro wystawia nas na wahania kursowe – ale przed tym można się zabezpieczyć, wykupując ubezpieczenie. Taka propozycja pojawiła się niedawno na stole i wydaje mi się bardzo rozsądna.

Jeśli prezydent Karol Nawrocki zawetuje ustawę o SAFE, w jaki sposób zareaguje rząd?

Trzeba wtedy wprowadzić plan B, bo Polska nie może być bezbronna, stać się zakładnikiem polityki Karola Nawrockiego i jego uśmiechu w kierunku Konfederacji, a być może wschodu. To, jak ten plan B będzie wyglądał, opowiedzą w odpowiednim momencie premier i minister finansów. Ale mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne. Apeluję do prezydenta Nawrockiego, by skorzystał z SAFE 1, i z SAFE 2. To pozwoli nam stać się bardziej bezpiecznymi i wzmocnić polską gospodarkę.

©

GEN. POLKO: SAFE TO KONIECZNOŚĆ

To jest konieczny program, który odpowiada na wieloletnie zapóźnienia w uzbrojeniu Wojska Polskiego. Ponadto SAFE to inwestycja we własny przemysł, który rozwinie gospodarkę – mówi gen. Roman Polko, były dowódca GROM

Arkadiusz Biernat

Co Pan sądzi unijno-rządowym programie SAFE i toczącej się dyskusji dotyczącej propozycji prezydenta?

To jest konieczny program odpowiadający na wieloletnie zapóźnienia w wyposażeniu Wojska Polskiego. Armia potrzebuje jednoczesnej realizacji wielu programów zbrojeniowych. Żaden budżet nie jest w stanie temu sprostać, bez dodatkowego wsparcia. Dziwię się, że rozmawiamy o tym czy SAFE jest potrzebny. Równie dobrze można debatować o tym, czy policja i straż graniczna jest nam potrzebna. Z niesmakiem obserwuję ten zenujący spektakl wokół tego programu, niestety z udziałem prezydenta RP. W sprawach oczywistych, a do nich należy bezpieczeństwo, nie powinno być podziałów. SAFE popierają armia i pozostałe służby, korzy-

ści dostrzega większość ekonomistów, „za” jest przemysł zbrojeniowy i prywatny.

Przeciwnicy, czyli przede wszystkim prezydent oraz Prawo i Sprawiedliwość mówią o ograniczeniu suwerenności, a także zadłużeniu i to w obcej walucie.

Tylko zwrócę uwagę, że ogromne ilości potrzebnego sprzętu, jakie zamawialiśmy w Stanach Zjednoczonych czy Korei Południowej też odbyło się na kredyty i w obcej walucie, na ogół bez korzyści dla naszego przemysłu. Mało tego, jak podkreślają ekonomiści, na o wiele droższych warunkach. SAFE to szansa dla polskiego przemysłu zbrojeniowego, rozwój gospodarczy i technologiczny i ostatecznie nowe miejsca pracy. Dlatego tym bardziej dziwię się, że SAFE używany jest

do walki politycznej. Zwłaszcza w kontekście Unii Europejskiej. Muszę to podkreślić, że UE nie jest jakąś obcą i odległą organizacją, UE to również Polska. Zagrożenie jest na wschodzie, a nie na zachodzie. Trafnie minister Radosław Sikorski ironicznie mówił w Sejmie o tym, że niektórzy w relacjach z Niemcami cofnęli się do etapu średniowiecza. Przecież Krzyżacy nie wrócą walczyć pod Grunwaldem czy odbijać Malbork. Niemcy to nie wróg, ale nasz partner handlowy. Dobrze widzimy, że jak coś źle się tam dzieje w gospodarce, to również to odczuwamy w Polsce. Co do zagrożenia suwerenności... Po to się zbroimy, żeby właśnie strzec suwerenności. Podkreślić należy, że nikt poza Polską nie decyduje, co mamy kupić, to lista przygotowana przez Wojsko Polskie.

Bo to sprzęt potrzebny, aby armia realizowała nałożone przez cywilnych zwierzchników zadania?

Dokładnie. Mówiłem o opóźnieniach w dozbrajaniu armii, ale także w innych służbach. Tylko przypomnę, że z tego powodu dzisiaj na granicy stoi Wojsko Polskie, bo Straż Graniczna nie jest w stanie samodzielnie jej strzec. Co ciekawe, SAFE to także potrzebny sprzęt dla policjantów i strażników. W zasadzie nie wiem nad czym debatujemy? Z jednej strony dajemy szansę naszemu przemysłowi, a z drugiej przecież dzięki SAFE zwalniamy środki, które można na uzbrojenie, którego nie jesteśmy w stanie sami wyprodukować, a więc na zakupy w np. Stanach Zjednoczonych więc nie zrywamy transatlantycznej więzi.



FOT. ANATOL CHOMICZ

Gen. Polko: Z niesmakiem obserwuję ten zenujący spektakl wokół SAFE

Na liście Kraby, Rosomaki, Borsuki i wiele innych platform. Rząd deklaruje, że większość pieniędzy z SAFE trafi do polskich firm zbrojeniowych.

To sprawdzone i potrzebne uzbrojenie. Nie może być tak, że kupujemy tylko w Stanach Zjednoczonych, nie bacząc na możliwości polskiego i europejskiego przemysłu. Naszą siłą jest też polska i europejska gospodarka, które budujemy poprzez zamówienia również w zbrojeniówce. Zwrócę uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt rozwoju rodzimych zdolności w przemyśle zbrojeniowym. Nie możemy kolo-kwialnie mówić tylko małowac zamówionego sprzętu, ale przede wszystkim musimy sami wytwarzać, aby później samemu produkować części i samodzielnie serwisować uzbrojenie. W województwie śląskim mamy np. Bumar i Rosomak, ale też prywatne firmy. Zbrojeniówka może częściowo wypełnić lukę po przemyśle w toczącej się transformacji.

Co Donald Trump chce osiągnąć poprzez wojnę w Iranie? Należy patrzeć na tę wojnę z dwóch różnych perspektyw: militarnej i politycznej. Z wojskowego punktu widzenia Amerykanie osiągnęli właściwie wszystkie cele, które zamierzali zrealizować. Całkowicie zniszczyli choćby irańską obronę powietrzną, co sprawia, że mogą dowolnie atakować wybrane przez siebie cele. Pewnym zaskoczeniem był atak Iranu na inne kraje arabskie, ale zakładam, że Amerykanie też sobie z tym poradzą. Nie spodziewam się natomiast, żeby USA czy Izrael zdecydowały się na wykorzystanie swoich sił lądowych na większą skalę.

Ostatnio pojawiły się spekulacje na ten temat. Być może do jakiejś ograniczonej operacji sił specjalnych, na przykład przy zabezpieczeniu posiadanych przez Iran zasobów uranu lub wokół Cieśniny Ormuz.

Takiej szybkiej piłki - jaką choćby widzieliśmy w Wenezueli - Pan nie wyklucza? Może dojść do niej nawet w szerszym zakresie i dotyczyć będzie jakiegoś niewielkiego obszaru w Iranie. Ale nie dojdzie do jakiejś większej akcji. Proszę pamiętać, że Iran to nie Irak. Skala wyzwania jest dużo większa.

W czasie II Wojny w Zatoce w 2003 r. amerykańska armia w ciągu trzech tygodni przejęła kontrolę nad całym Irakiem. To było możliwe, bo Irak to głównie pustynia, można było po tym terenie bardzo szybko się przemieszczać. Ale sytuacja Iranu jest jeszcze bardziej złożona. To dużo większy kraj, poza tym dużo bardziej górzysty, więc opanowanie go stanowi większe wyzwanie. Może nie tak duże jak Afganistanu, ale to też byłby skomplikowany proces.

Dlatego Amerykanie skupiają się na działaniach z powietrza. W ten sposób zresztą wyeliminowali najważniejszych przywódców irańskich. Nie jestem pewien, czy zabicie ajatollaha Chameneiego przybliżyło USA do zwycięstwa. Okoliczności, w jakich zginął, sprawiają, że dla Irańczyków stał się on męczennikiem. W krajach religijnych stanowi to wyzwanie. Do pewnego stopnia analogiczną sytuację obserwowaliśmy pod koniec II wojny światowej w Japonii. Wtedy Japończycy nie chcieli się poddać, nawet gdy było widać, że nie zdołają wyjść zwycięsko z konfliktu. Byli gotowi walczyć aż do śmierci. Podobnie to może wyglądać teraz w Iranie - bo gdy trwa święta wojna, to śmierć w walce

bywa postrzegana jako szczyt. Choćby z tego powodu trudno przewidzieć, jak będzie wyglądać ostateczny scenariusz tego konfliktu.

Rozpoczęcie wojny wywołało wiele komentarzy o możliwości zmiany reżimu rządzącego w Iranie. To realne? Z mojego punktu widzenia taka zmiana byłaby bardzo korzystna. Problem polega jednak na tym, że irańska opozycja działa głównie poza granicami kraju, a nie w samym Iranie. W tym miejscu pojawia się problem z realizacją celów politycznych.

Nie ma poparcia w samym Iranie.

Do pewnego stopnia przypomina to sytuację opozycji w Rosji czy na Białorusi. Tam również duża część środowisk opozycyjnych funkcjonuje poza granicami tych państw. W takich warunkach niezwykle trudno jest zachęcić społeczeństwo do realnej zmiany władzy.

Na razie cały świat odczuwa tę wojnę z powodu wzrostu cen ropy.

Poważne wyzwanie, choć też nie jest to problem, z którym Zachód nie jest w stanie sobie poradzić. Przecież mamy coraz większe możliwości dzięki odnawialnym źródłom energii.

Z kolei Chiny przez Cieśninę Ormuz importują prawie 50 proc. swojej ropy.

Tak, ale dla Chin to problem. Również dla Europy. Choć dla nas główny problem polega na tym, że Rosja zarabia więcej na swojej ropie.

W wielkiej polityce jednym ruchem osiąga się kilka celów jednocześnie. USA rozbiły wojska Iranu, ale też wysłały sygnał do Chin, Europy i Rosji. Jak on został tam odczytany według Pana?

Od początku tej wojny Donald Trump mówi, że przede wszystkim chce chronić obywateli amerykańskich. Mam problem z tym argumentem, gdyż dokładnie ten sam argument wykorzystuje Władimir Putin przeciwko Ukrainie. W praktyce prowadzi to do legitymizowania jego działań. To dla nas bardzo poważne wyzwanie. Dodatkowo wojna przeciwko Iranowi utrudnia dalsze wspieranie Ukrainy przez USA. W efekcie większa odpowiedzialność spada na Europę, która powinna zwiększyć swoją pomoc dla Ukrainy. Tyle że w Unii Europejskiej pojawiają się blokady polityczne. Przykładem jest postawa premiera Węgier, który blokuje udzielenie Ukrainie kolejnej pożyczki.

Zgodnie z tą logiką Putina powinna cieszyć operacja USA

TERRAS: EUROPA DZIAŁA DZIŚ SZYBCIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK WCZEŚNIEJ. ALE TO WCIAŻ ZA MAŁO

– USA pokazują światu, że dysponują siłą i są w stanie zrobić to, co uznają za konieczne. Jednocześnie koncentrują się głównie na własnych interesach – mówi generał Riho Terras, europoseł były dowódca Estońskich Sił Obronnych

Agaton Koziński

w Iranie. Myśli Pan, że tak jest?

Kreml patrzy na tę sytuację z mieszanymi uczuciami. Wyższe ceny ropy są dla niego korzystne, choć wiele wskazuje na to, że może to być jedynie zjawisko tymczasowe.

Z drugiej strony sojusznicy Putina - najpierw Maduro, teraz Chamanei - tracą władzę.

Jestem pewien, że ta kwestia niepokoi Putina już od czasów utraty władzy przez Saddama Husajna i Muammara Kaddafiego. Słyszałem, że dokładnie oglądał filmy pokazujące przebieg sytuacji w Iraku i Libii i analizował różne scenariusze. To z tego powodu zawsze był przeciwny wszystkim kolorowym rewolucjom wybuchającym w sąsiedztwie Rosji.

W Wenezueli i Iranie nie mieliśmy do czynienia z żadną rewolucją, tylko bezpośrednią ingerencją wojskową USA.

Coraz wyraźniej widać, że Putin nie jest w stanie skutecznie chronić swoich sojuszników. Może ogłaszać różne partnerstwa i sojusze, jednak w praktyce nie idzie za tym realna zdolność działania. To osłabia jego pozycję w polityce międzynarodowej. Pozostaje jednak pytanie, jak w tej sytuacji zachowują się Chiny i jakie decyzje podejmą chińskie władze. Moim zdaniem Chiny nie są zainteresowane wybuchem globalnego konfliktu na miarę trzeciej wojny światowej. Obecna niepewność

w relacjach międzynarodowych jest dla Chin w pewnym sensie korzystna, ponieważ pozwala im rozwijać handel i zarabiać pieniądze. Choć trudno uznać, by obecna eskalacja na Bliskim Wschodzie była dla nich szczególnie opłacalna. Bardziej prawdopodobne jest więc to, że będą starały się takiej eskalacji unikać.

Tyle że na Bliskim Wschodzie w tym momencie niewiele zależy od nich.

W przypadku ataku USA na Iran nie widzę, jaki jest jego końcowy cel polityczny. Z militarnego punktu widzenia działania mogą trwać tak długo, jak długo istnieją cele do zniszczenia. Gdy ich zabraknie, bombardowania po prostu się kończą. Wydaje się, że właśnie taki etap działań obserwujemy obecnie. Kluczowe jest natomiast pytanie o strategiczny i polityczny rezultat tej wojny. Ten trudno mi dostrzec. Nie widzę możliwości zmiany systemu w Iran bez wewnętrznego powstania lub znaczącego wsparcia ze strony społeczeństwa. Być może Izrael przygotował się na taki scenariusz, ale na tym etapie nie jestem tego pewien.

Trump powtarza, że władza w Iranie leży na ulicach, licząc na to, że Irańczycy wyjdą na te ulice i ją przejmą.

Jeśli tak, to rozpoczął ten konflikt za późno. Protesty w irańskich miastach zaczęły się w grudniu - ale reżim ajatollahów krwawo je stłumił

zabijając kilkadziesiąt tysięcy osób.

Uważa Pan, że teraz nie ma komu wyjść w Iranie na ulice?

Tak. Powstanie było możliwe w tamtym momencie - z udziałem tych ludzi, których już nie ma. Dlatego właśnie mam problem ze zrozumieniem strategicznego celu politycznego tej wojny. Kolejna zmiana na szczytach władzy w świecie, który USA postrzegają jako sobie wrogą. Dlatego właśnie wcześniej szukałem porównań z Rosją. Mimo wszystko nie sądzę, aby w głowie Donalda Trumpa Władimir Putin znajdował się w tej samej szufladce co tacy przywódcy jak Nicolás Maduro czy irańscy ajatollahowie. Raczej mam wrażenie, że Trump postrzega Putina jako partnera, podobnie jak Xi Jinpinga. To przecież wokół nich powstała grupa BRICS, obejmująca m.in. Brazylię, Iran czy RPA. Kluczowe pytanie brzmi: czy Trump chce się z nimi konfrontować, czy raczej próbować z nimi współpracować. Na razie nie wygląda to na bezpośrednią próbę konfrontacji.

Ale też amerykańskie działania w Wenezueli, a teraz w Iranie trudno uznać za gest przyjaźni i wyrazy uznania wobec BRIC.

Bardziej przypomina to wywieranie presji i sygnalizowanie: „zobaczcie, co może się wydarzyć”, jeśli interesy Stanów Zjednoczonych zostaną zagrożone. Napięcia

między Waszyngtonem a krajami BRICS pozostają realne.

Nicolás Maduro i Ali Khamenei byli chronieni przez sprzęt wojskowy dostarczany przez Rosję i Chiny. Ten sam sprzęt znajduje się przecież także w arsenale Moskwy i Pekinu.

Nie jestem przekonany, czy w myśleniu Donalda Trumpa logika idzie aż tak daleko. Mam wrażenie, że jego podejście jest znacznie prostsze. Chodzi przede wszystkim o pokazanie światu, że Stany Zjednoczone dysponują siłą i są w stanie zrobić to, co uznają za konieczne. Jednocześnie koncentrują się głównie na własnych interesach. Taki sposób myślenia było widać już podczas pierwszej kadencji Trumpa, między innymi w Syrii. W czasie tamtejszej wojny domowej doszło do starcia, w którym siły USA zaatakowały oddziały wspierane przez rosyjską grupę Wagnera. W wyniku amerykańskich uderzeń z powietrza zginęło wielu napastników, co było jednym z najbardziej bezpośrednich starć między siłami powiązanych z Rosją a Stanami Zjednoczonymi w ostatnich latach. Na pewno tego typu logika działania wpływa na wojnę na Ukrainie. Ten konflikt osłabia Rosję, ponieważ zwiększa presję międzynarodową. Z drugiej strony taka sytuacja może sprawić, że Rosja będzie działać bardziej desperacko na froncie ukraińskim -



FOT. PAPIEPA/ROYAL THAI NAVY / HANDOUT

Terras: Z wojskowego punktu widzenia Amerykanie osiągnęli w Iranie właściwie wszystkie cele. Ale nie wiadomo, jak osiągną cele polityczne

bo ma świadomość, że nie ma odwrotu.

W ostatnich tygodniach Ukraina zaczęła odzyskiwać utracone terytoria w Donbasie. Nie są to duże obszary, ale zmienił się kierunek przesuwania się frontu. Należy wyciągać z tego dalekosiężne wnioski?

To pokazuje, że sytuacja na froncie pozostaje dynamiczna i wciąż może się zmieniać. Ukraińcy operują małymi grupami i stali się bardziej efektywni, ponieważ Rosja straciła dostęp do Starlinka. Poza tym żołnierze rekrutowani obecnie przez stronę rosyjską są znacznie słabiej wyszkoleni i nie są w stanie odrobić strat. Według danych publikowanych przez stronę ukraińską liczba ofiar po stronie Rosji przekroczyła już milion zabitych i rannych. To pokazuje skalę konfliktu i jego ogromne koszty ludzkie. Na to jeszcze nakłada się zmiana struktury ofiar. W klasycznych konfliktach zbrojnych proporcja między zabitymi a rannymi zazwyczaj wynosi około jednego do trzech – na jednego poległego przypada mniej więcej trzech rannych. W tej wojnie wygląda to jednak inaczej. Ze względu na powszechne użycie dronów coraz częściej mówi się o strukturze strat, w której około 60 proc. stanowią zabici, a 40 proc. ranni. To oznacza istotną zmianę w charakterze współczesnej wojny.

Przejście Ukraińców do ofensywy to po prostu taktyczna

zmiana sytuacji czy może zapowiedź wiosennej kontrofensywy?

Jest to przede wszystkim zmiana taktyczna, być może także operacyjna na polu walki, ale nie strategiczna. Mimo wszystko Rosja nadal dysponuje tam dużą siłą. Choć też otrzymujemy sygnał, że Rosja nie jest w stanie zrobić znacznie więcej, niż do tej pory. Także wojna w Iranie dowodzi, że rosyjski sprzęt wojskowy nie ma już takiego znaczenia na polu walki jak kiedyś. Podobnie zresztą jak irański. Wcześniej drony Shahed miały duży wpływ na przebieg wojny w Ukrainie. Dziś nie mają już takiego znaczenia.

W listopadzie Polska została zaatakowana przez drony. Jak bezzałogowce zmieniają sposób prowadzenia wojny? Czy na polu walki potrzebne są jeszcze drogie czołgi, skoro drony są dużo tańsze?

Nie, pojawienie się dronów nie oznacza to końca broni pancernej. Jeśli brygady czołgów działają z odpowiednią osłoną powietrzną, drony nie są w stanie tak łatwo ich zniszczyć. Drony mają ogromny wpływ na codzienne działania piechoty i na taktykę walki na poziomie pola bitwy. Ale też nie spodziewałbym się radykalnych zmian teatru wojennego. Historia pokazuje, że za każdym razem, gdy wchodzi do użytku nowa technologia wojskowa, pojawiają się też prognozy o całkowitej zmianie charakteru wojny. Tak było z lotnictwem na po-

czątku pierwszej wojny światowej i z czołgami na początku drugiej wojny światowej. W praktyce po jakimś czasie różne systemy uzbrojenia zaczynają po prostu funkcjonować razem i wzajemnie się uzupełniać.

„Wall Street Journal” opisał w lutym ćwiczenia wojskowe oddziałów z krajów NATO z Ukraincami, które odbyły się w Estonii - i okazało się, że żołnierze ukraińscy, wykorzystując drony, rozbili ofensywę prowadzoną przez brytyjską i estońską brygadę. Odebrano to jako dowód, że wojska NATO nie są przygotowane na wojnę dronową.

Wszyscy uczyliśmy się dziś od Ukraińców, dlatego tak ważna jest współpraca z nimi. Dzięki temu możemy bezpośrednio korzystać z ich doświadczeń z pola walki. Konflikt na Ukrainie jest stale obserwowany, a zdobyte doświadczenia są dziś stopniowo wprowadzane do praktyki wojskowej.

Z drugiej strony Ukraińcy okazali się na tym polu dużo lepsi - jakby armie krajów NATO nie wyciągały pełnych wniosków z trwającej tam wojny.

Można wskazać przykłady wielu ćwiczeń wojskowych, w których jeden batalion artylerii jest w stanie zdominować inny – na przykład dlatego, że jest lepiej wyszkolony w obsłudze sprzętu albo dysponuje artylerią o większym zasięgu. Lepsze wy-

szkolenie i lepszy sprzęt zawsze przekładają się na skuteczność. Dlatego tak ważne jest korzystanie z doświadczeń żołnierzy, którzy uczestniczą w realnych działaniach bojowych. Właśnie z tego powodu Ukraińcy biorą udział w naszych ćwiczeniach wojskowych. Bo trudno, żeby kraje NATO wchodziły do wojny tylko po to, żeby zdobywać doświadczenie. Wojsko musi szkolić się w oparciu o dostępne środki i przygotowanie.

Ursula von der Leyen wygłosiła przemówienie, w którym jasno powiedziała, że świat oparty na wartościach się rozpadł, że czasy szukania kompromisu dobiegły końca. Brzmiała jak silni współcześni liderzy pokroju Trumpa, Putina, Xi. Jak Pan zrozumiął

słowa szefowej Komisji Europejskiej?

Nie spodobały mi się jej stwierdzenia, nie uważam, że są one pomocne. Choć mądrze w tym, że nie możemy pozwolić, aby Orbán robił, co mu się podoba. Na niego należy wywierać presję, aby zmienił swoje stanowisko i przestał blokować pożyczki dla Ukrainy.

Myśli Pan, że ona to mówiła do Orbána, a nie do Trumpa? Jej wypowiedź brzmiała jednak tak, jakby sugerowała szerszą zmianę podejścia Europy do relacji międzynarodowych i zapowiedź federalizacji UE.

Interpretacje są różne. Faktem jest, że Europa pozostaje wspólnotą suwerennych państw, a nie „Stanami Zjednoczonymi Europy”. Osta-

teczne decyzje należą do przywódców państw członkowskich, a nie do instytucji unijnych.

Komisja Europejska tworzy nowe mechanizmy finansowe takie jak SAFE. One również są postrzegane jako instrumenty służące większej integracji UE.

Mówimy w przypadku SAFE o sprzęcie wojskowym. Proszę zauważyć, że nie kupujemy go jako UE, jakby istniała jedna europejska armia. Kupują go poszczególne kraje według ich własnych potrzeb. Oczywiście zdarzają się wspólne zakupy, ale ostatecznie sprzęt trafia do narodowych armii, które pozostają odrębnymi strukturami. Te zakupy są też powiązane z wymaganiami stawianymi przez NATO.

Ale zdecydowana większość zakupów musi być realizowana tylko w Europie.

Sam jestem rozczarowany tym, że pominięto w tej kwestii Wielką Brytanię, mimo że to państwo dysponuje znaczącym przemysłem obronnym. W każdym razie jestem zdecydowanym zwolennikiem takiej współpracy, choć uważam, że nie należy wykluczać naszych sojuszników z NATO z tego rodzaju projektów. Uważam, że w obszarze bezpieczeństwa powinniśmy raczej wzmacniać współpracę z partnerami, niż ją ograniczać. Pozostaje jednak pytanie, jakie będą kolejne elementy rozwijanego mechanizmu bezpieczeństwa i w jakim kierunku będzie on dalej ewoluował.

Wydarzenia w tym roku jeszcze przyspieszyły - najpierw Wenezuela, teraz Iran. Czy UE ma szansę nadążyć za tym tempem zdarzeń?

Europa działa dziś znacznie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Jednocześnie wciąż istnieje przekonanie, że tempo tych działań nadal nie jest wystarczające w obliczu obecnych wyzwań bezpieczeństwa.

REKLAMA

0111461412

Czynne w każdą
NIEDZIELE
niektóre sklepy

CM
ELEGANCJA

Al. Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

Najgorszy możliwy wybór dla USA. Kim jest Modżtaba Chamenei, nowy przywódca Iranu?

Modżtaba Chamenei jako nowy najwyższy przywódca Iranu gwarantuje twardy kurs i wojnę. Oto, jak syn Alego Chameneiego wyszedł z cienia

Grzegorz Kuczyński

Chcemy kogoś, kto zapewni Iranowi harmonię i pokój - mówił Donald Trump na krótko przed wyborem nowego najwyższego przywódcy. Dostali zupełnie kogoś innego, przynajmniej z ich punktu widzenia. Ten wybór to ostateczne zwycięstwo najbardziej radykalnego skrzydła reżimu, ściśle powiązanego z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC).

Syn swojego ojca

Modżtaba Chamenei, 56-letni drugi syn Alego, jest duchownym, który dotychczas działał głównie za kulisami irańskiej sceny politycznej i religijnej. W przeciwieństwie do swojego ojca, przez długi czas pozostawał w cieniu. Nigdy nie piastował stanowisk państwowych, nie wygłaszał publicznych przemówień ani nie udzielał wywiadów, a w otwartym dostępie opublikowano tylko niewielką liczbę jego zdjęć i nagrań wideo.

Jednak przez wiele lat krążyły pogłoski, że za kulisami irańskiej polityki ma on znaczący wpływ. W depeszach dyplomatycznych USA opublikowanych przez WikiLeaks pod koniec pierwszej dekady XXI wieku opisywano go jako „siłę w tle” - osobę, którą wielu członków rządzących kręgów uważało za „zdolną i zdecydowaną”.

Strażnik rewolucji islamskiej

Modżtaba urodził się 8 września 1969 roku, w mieście Meszhed w północno-wschodnim Iranie, jest drugim z sześciorga dzieci Chameneiego. Większość dzieciństwa spędził jednak na północnym zachodzie kraju, najpierw w mieście Sardaszt, a potem w Mahabadzie, gdzie zaczął chodzić do szkoły. Po islamskiej rewolucji w 1979 r. jego rodzina przeniosła się do Teheranu, gdzie jego ojciec - zaufany współpracownik Chomeiniego - szybko piął się po szczeblach kariery politycznej.

Średnie wykształcenie Modżtaba zdobył w szkole religijnej Alawi w Teheranie. W 1986 roku, w wieku 17 lat (jego ojciec był wówczas prezydentem Iranu), Modżtaba Chamenei podobno wstąpił do batalionu Habib ibn

Mazahir, aby walczyć w toczącej się wówczas wojnie z Irakiem. Batalion ten podlegał 27. Dywizji Mohammad Rasulullah IRGC, tzw. dywizji Teheranu.

Wielu żołnierzy batalionu Habib objęło później wysokie stanowiska w IRGC, w tym w paramilitarnej milicji ochotniczej Basidż i irańskim aparacie wywiadowczym. Uważa się, że niezbyt długa służba Modżtaby w batalionie Habib pomogła mu nawiązać ściśle kontakty z Korpusem.

Ajatollah z Kom

W 1999 roku (jego ojciec był już od dekady najwyższym przywódcą) Chamenei udał się do Kom - świętego miasta uważanego za jedno z najważniejszych centrów teologii szyickiej - aby kontynuować edukację religijną. Nie jest jasne, dlaczego zdecydował się wstąpić do seminarium dopiero w wieku 30 lat, podczas gdy zazwyczaj robi się to w młodszym wieku.

Wśród jego nauczycieli byli ajatollah Lotfollah Safi Golpayegani, ultrakonserwatywny duchowny i teoretyk polityczny Mesbah Yazdi oraz ajatollah Sayyed Mohsen Kharrazi. Najbardziej wpływowym nauczycielem Modżtaby był jednak Mahmoud Hashemi Shahroudi, który później został szefem irańskiego wymiaru sprawiedliwości, przewodniczącym Zgromadzenia Ekspertów, a następnie potężnej Rady Wyższej Bezpieczeństwa Narodowego. Wśród uczniów Shahroudiego był również późniejszy lider Hezbollahu Hassan Nasrallah (zabity przez Izraelczyków 2024 roku).

W 2009 r. Modżtaba sam zaczął nauczać w seminarium w Kom, co jest powszechnie postrzegane jako oznaka doświadczenia duchownego, które mogło wzmocnić jego pozycję jako potencjalnego następcy. W 2024 r. zawiesił jednak swoje wykłady. Doniesienia na temat jego rangi duchownej są różne. Od dawna uważano, że posiada rangę hojjatoleslama, o jeden stopień niższą od ajatollaha, ale w 2022 r. strona internetowa seminarium w Kom po raz pierwszy określiła go mianem ajatollaha.

Konstytucja Iranu stanowi, że najwyższym przywódcą powinien być ajatollah, ale Ali Chame-



Modżtaba Chamenei uważany był za wpływową postać w kręgu współpracowników swojego ojca, mimo że nie piastował żadnego stanowiska rządowego

nei został mianowany najwyższym przywódcą w 1989 r., mimo że w tym czasie posiadał rangę hojjatoleslama. Konstytucja została następnie zmieniona, aby obniżyć formalne kwalifikacje teologiczne wymagane na tym stanowisku.

Brutalny ultrakonserwatysta

Modżtaba Chamenei od dawna uważany był za wpływową postać w kręgu najbliższych współpracowników swo-

jego ojca, mimo że nie piastował żadnego formalnego stanowiska rządowego. Uważa się, że wywierał znaczący wpływ poprzez sieci kontaktów otaczające biuro ojca, powiązane z aparatem bezpieczeństwa. Podobno odgrywał również jakąś rolę w nadzorowaniu IRIB, państwowego koncernu medialnego.

Imię Modżtaby po raz pierwszy znalazło się w centrum uwagi opinii publicznej podczas wyborów prezydenckich w 2005 roku, które zakończyły się zwy-

cięstwem populisty-konserwatysty Mahmuda Ahmadineżada. W otwartym liście do Chameneiego kandydat reformatorski Mehdi Karroubi oskarżył Modżtabę o wspieranie kandydatury Ahmadineżada poprzez nielegalne zaangażowanie w jego kampanię meczetów, IRGC i Basidż.

Cztery lata później ponownie postawiono Modżtabie takie same zarzuty. Kontrowersyjna reelekcja Ahmadineżada w 2009 r. wywołała masowe demonstracje znane jako Zielony Ruch,

jedną z największych fal protestów od czasu islamskiej rewolucji w 1979 r. Mustafa Tajzade, który pełnił wówczas funkcję wiceministra spraw wewnętrznych, nazwał wyniki „wyborczym zamachem stanu”. Spędził siedem lat w więzieniu i twierdził, że stało się to „z woli Modżtaby Chameneiego”.

Szara eminencja

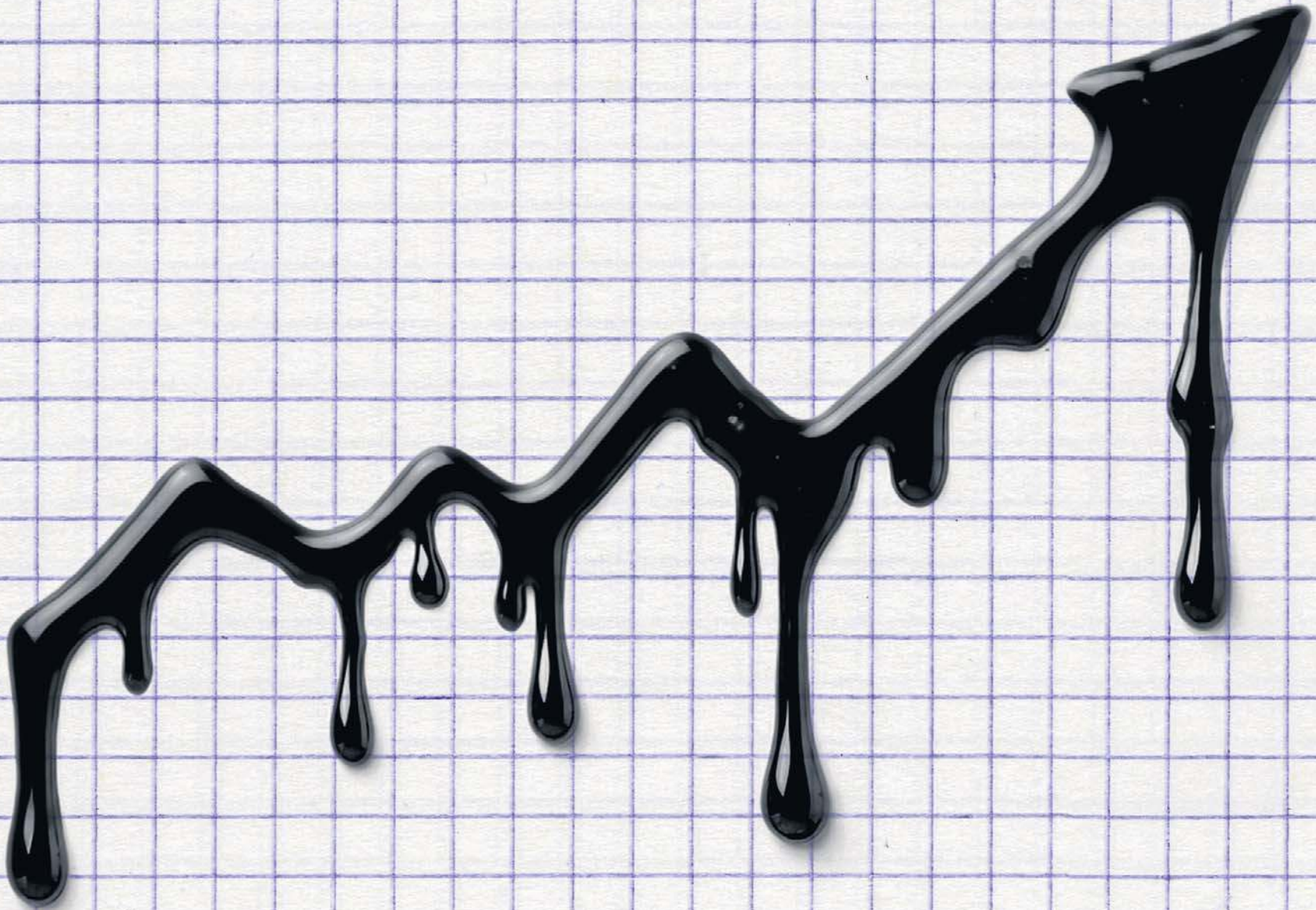
W 2019 r. Departament Skarbu USA nałożył sankcje na Modżtabę, twierdząc, że ściśle współpracował on z szefem Sił Quds IRGC i Basidż, aby „realizować destabilizujące ambicje regionalne i represyjne cele krajowe swojego ojca”. Pod koniec stycznia br. agencja Bloomberg informowała, że Modżtaba Chamenei nadzorował tajemnicze „rozległe imperium inwestycyjne” swojej rodziny, obejmujące szwajcarskie konta bankowe i luksusowe nieruchomości w Europie. Publiczne wystąpienia z 2024 r. sugerują, że Modżtaba utrzymuje kontakty z wysokimi rangą przywódcami Hezbollahu. Po zabiciu przez Izrael długoletniego przywódcy grupy, Hassana Nasrallah, we wrześniu 2024 r., irańskie media opublikowały zdjęcia Modżtaby spotykającego się w biurze Hezbollahu w Teheranie z Abdullahem Safieddine, bratem Hashema Safieddine, który stał na czele rady wykonawczej Hezbollahu, zanim został zabity przez Izrael w następnym miesiącu. Kandydatura Modżtaby Chameneiego jako następcy była rozważana już od dawna. Początkowo mówiono jednak, że ta opcja jest mało prawdopodobna, ponieważ sam Chamenei senior rzekomo był przeciwny dziedzicznemu przekazywaniu władzy - aby nie kojarzyło się to z Iranem szachów. Jednak stopniowo sytuacja uległa zmianie.

Posłaniec zemsty

Modżtaba jest bardziej radykalny niż jego ojciec. Aktywnie uczestniczył w tłumieniu protestów w 2009 roku. Dodatkowo będzie go napędzać poczucie obowiązku wobec ojca i poczucie zemsty. W ataku zginęli bowiem nie tylko rodzice, ale również żona Modżtaby, Zahra Haddad Adel, z którą miał trójkę dzieci. Niektórzy uważają, że człowiek, który stracił ojca, matkę i żonę w wyniku ataków Stanów Zjednoczonych i Izraela, raczej nie pójdzie na ustępstwa pod presją Zachodu.

Stoi przed nim trudne zadanie - zapewnienie przetrwania Islamskiej Republiki i przekonanie społeczeństwa, że to właśnie on jest w stanie wyprowadzić kraj z kryzysu politycznego i gospodarczego. Jego zdolności przywódcze pozostają w dużej mierze niesprawdzone, a przekazanie władzy z ojca na syna może jeszcze bardziej wzmocnić niezadowolenie społeczne. No i najważniejsze: Izrael i USA będą chciały dopaść go tak, jak jego ojca.

Próg bólu wojny?



R+

PULS
#207

Alicja Polewska

ZANIM ZNIKNIĘ
CZŁOWIEK

Co dzisiaj oglądamy? Rytualne pytanie pada wieczorem, kiedy odbębniemy tv newsy i gadające głowy, zaparzę herbatę, zapalę świecę. Najczęściej szukamy na chybił trafił, ale czasami gdzieś przeczytam, że warto albo że bije rekordy popularności.

Tak było wczoraj. Na jednej z platform streamingowych czteroodcinkowy serial o dinozaurach zmiótł z planszy „Ołowiane dzieci” i kolejny sezon „Bridgertonów”. „Czego nie wiemy o dinozaurach” produkcji samego Stevena Spielberga, u nas czytany głosem Krystyny Czubówny, w oryginale – Morgana Freemana.

Przed oczami stanęła mi natychmiast książka „Zanim pojawił się człowiek” Zdenka Spinara, która ukazała się w Polsce jakoś w latach 90. XX wieku. Była wyjątkowa. Bogato ilustrowana, wydana z pietyzmem, niemal albumowa; dzisiaj można ją kupić w antykwariatach za kilka złotych, wtedy się ją „zdobywało”. Na przykład w legendarnej bydgoskiej księgarni Współczesna; zapisałam się w kolejkę po nią. Zawsze uwielbiałam ładne wydania, a ta książka była i piękna, i dobrze napisana. Po latach, kiedy córka obejrzała „Park Jurajski”, razem sięgnęłyśmy po nią, żeby porównać wygląd stworów.

Serial Spielberga jest spektakularny, ba – to epicki dokument, jak przeczytać można na stronie dystrybutora... Jak „Park Jurajski”, który w 1993 roku wyreżyserował Spielberg.

Sztuczna inteligencja miała tutaj pole do popisu i sprawiła się, że hej!
Gorzej z logiką.

Pierwszy odcinek – „Świt”, opowiada o czasie sprzed dinozaurów. Zamiast nich Ziemię mają we władaniu pragady. Okej, to się zgadza z wiedzą, którą dzisiaj mamy. Dalej jednak coś się zaczyna – jeden z jaszczurów zbliża się do gniazda(?), w którym widzimy jaja. Wylęgają się właśnie dwunożne Marasuchus, uznawane za jednego z przodków późniejszych gigantów. Maluchy rozbiegają się, by uniknąć kresu w szczękach jaszczura. Udaje się to tylko jednemu. I to on właśnie ma dać początek dinozaurom...

Skąd się wzięły te jaja z nowym gatunkiem – ani słowa. Tak samo, jak o tym, jak z tego jednego malucha rozwinęła się cała populacja. Skrót myślowy? Nie kupuję tego. Tym bardziej że takich przeskoków ewolucyjnych w filmie jest więcej.

Brad Pitt w spektakularnym pojedynku z Tomem Cruise’em. Zapowiedź hitu kina akcji? „Mimo plotek o długotrwałej rywalizacji, Tom Cruise i Brad Pitt (którzy wystąpili razem tylko raz, w „Wywiadzie z wampirem” w 1994 r.) utrzymują chłodne, ale profesjonalne relacje” – podpowiedziała mi sztuczna inteligencja. Filmik z okładaniem się po przystojnych licach rozgrzał Hollywood, bo okazało się, że to właśnie zaawansowana AI „zrobiła” ten pojedynek. Larum zagrali: koniec kina! Kto ma prawo do wizerunku aktorów?!

Tej rzeki już nie da się zawrócić. Pozostaje tylko czasami zebrać szczękę z podłogi i puknąć się w głowę, kiedy „dokument” sprzed 300 niemal milionów lat jest zwyczajnym picem, a Brad z Tomem nie chodzą razem na wódkę.

A może jednak chodzą, tylko się z tym kryją? Zapytam AI.

Adam Bula

O JEDEN SEJF
ZA DALEKO

Z programem SAFE kłopot jest taki, że wyjaśnienie każdego z kłamstw na jego temat wymaga wywodu. Co w tiktokowym świecie z definicji daje przewagę kłamcom właśnie, bo oni do swoich okrzyków nie potrzebują żadnych wyjaśnień. I dlatego, drogie dzieci, Polska zbliża się do krawędzi.

Bo drugi problem ze sporem o plan skokowego uzbrojenia armii przez zamówienia w polskim przemyśle związany jest z pierwszym i z niego wynika, ale jest dużo groźniejszy. Łatwość uprawiania tepej propagandy o skomplikowanych sprawach to tylko narzędzie. Ale kiedy tydzień temu pisałem o SAFE, że „sprawy zaszły na tyle daleko, że do gry wchodzi duże słowa, z działaniem wprost na szkodę interesów Polski na czele”, to dzisiaj mogę tylko dodać: jest tak samo, tylko bardziej.

Zakładam, że możemy zostawić za sobą poziom podstawowy tej nawalanki, który wprost wykląda szczujnia pana Sakiewicza: „SAFE prezydenta dla Polski kontra >Der SAFE< Tuska Für Deutschland”.

To, że w sumie to samo i na tym samym poziomie mówią politycy PiS, to też nie nowość. Po ikonicznej wpadce ich kandydata na premiera, który w ramach wyrzucanego do kosza OZE-sroze zamontował sobie na dachu fotowoltaikę z unijną dopłatą... No wiecie, zauważyć, że polityk PiS powie każdą brednię, jeśli taki akurat będzie przekaz partii, no to nie jest błyskotliwe odkrycie.

Nie nowym też problemem jest, że partia prezesa Kaczyńskiego podporządkowuje interes Polski i jej rozwoju taktycznym, politycznym rozgrywkom. Można było jeszcze marudzić, że bezpieczeństwo kraju miało być wyjęte z tej polaryzacyjnej miazgi, no ale już nie jest. Unijny SAFE to dla PiS nie jest kwestia, czy i jak bardzo pomoże on uzbroić polską armię, tylko jak bardzo może pomóc Tuszkowi w przyszłorocznych wyborach. Że mamy do czynienia z patriotami partii, a nie Polski – no znów jakby to już było wiadomo. Umówmy się zresztą – każda partii podchodzi tak do sprawy, nie każda tylko posuwa się w tym równie daleko.

Po kolejnym tygodniu wiemy jednak, czym miał być „Polski SAFE” prezydenta Nawrockiego. I dlatego uważam, że zbliżamy się do krawędzi.

Nie chodzi o to, że nie ma i nigdy nie było żadnych „darmowych” pieniędzy z Narodowego Banku Polskiego. Po godzinnej konferencji prezesa Glapińskiego nadal nie wiadomo, jaki dokładnie był plan na zdobycie alternatywnych dla unijnej pożyczki środków. Wiadomo tylko, że zapasy złota NBP miały być fizycznie wyprzedawane przez kilka lat, a pierwsze pieniądze dla armii pojawiłyby się najwcześniej... tuż przed wyborami w 2027 r.

To znaczy niekoniecznie i nie na pewno. „Im dłużej myślę o wypowiedziach pana prezesa, tym bardziej dochodzę do wniosku, że nie do końca wiedział, co mówi” – ten cytat z profesora Joanny Tyrowicz jest w zasadzie dla Adama Glapińskiego bardzo życzliwy. Oczywiście – dalej pojawiają się szczegóły – ale to już kilka zdań na trudny temat, a przecież chodzi o to, żeby nie było „Tuska Für Deutschland”.

Ale to też nieważne. Umówmy się, że NBP jakoś te 180 mld załatwi i że te kilka lat zwłoki w ich przekazywaniu nie będzie katastrofą. Bo klucz do zdania, że zbliżamy się – jako państwo – do krawędzi, leży w ogłoszonej po spotkaniu prezydenta z premierem ustawie o tym, jak te przyszełe zyski NBP ze sprzedaży złota będą wydawane.

W tym celu powoła się nowe ciało: Polski Fundusz Inwestycji Obronnych. Jego kasą będzie zarządzał Komitet Sterujący, w którym prezydent będzie miał 2 głosy na pięć, ale każda decyzja wymaga większości 4 głosów – bez prezydenckich zatem nic się nie da zrobić. Dopóki kasy z NBP nie będzie albo będzie jej za mało, to wyskoczyć z niej będzie musiał Bank Gospodarstwa Krajowego, emitując obligacje. To, owszem, będzie pożyczka 2 razy droższa niż unijna, no ale nasza.

Więc jest tak: niezależny prezes NBP wprost ogłasza, że może mieć blisko 200 mld zysku, ale go nie da dla Polski, bo dziś wydawałby je Tusk. Za to może je dać, jak trafi ona do wymyślonego przez prezydenta, nowego Funduszu, zasilanego kasą bez ohydnej, unijnej warunkowości wypłat.

Teraz uwaga: przeciwnicy SAFE nie wierzą, że Tusk wyda 180 mld w 89% w polskim przemyśle, bo nie ma tego w ustawie. To zgadnijcie, ile zapisano w projekcie prezydenckiego Funduszu, że ma u nas wydać? I dlaczego pomysł z całą tą gimnastyką pojawił się dopiero po tym, jak administracja prezydenta Trumpa wprost ogłosiła, że unijny SAFE się jej nie podoba?

Tydzień temu pisałem, że się kupczy dla doróżnej polityki polskim bezpieczeństwem. Dziś być może robimy już krok dalej znad tej krawędzi. A tam, w dole, majączy już słowo: zdrada.

Propozycja prezesa NBP to w największym skrócie jest SAFE zero złotych. W tej chwili nie mamy żadnych pieniędzy: mamy słowa, mamy projekt ustawy. W tym projekcie ustawy nie ma pieniędzy, jest nowe ciało, rada, nowa biurokracja, dziesiątki przepisów niepotrzebnych

FOTOkomentarz tygodnia



11 MARCA, BLISKI WSCHÓD

Ten mężczyzna z karabinem na plecach został sfotografowany na plaży w Tel Awiwie. Izrael już wcześniej ogłosił mobilizację 100 tys. rezerwistów w związku z wojną w Iranie. Kraj jest pod ciągłym ostrzałem - ale też nieustannie atakuje cele na terytorium irańskim. Wojna między Iranem a Izraelem i USA, trwa od kilkunastu dni. Najbardziej jej zapalnym punktem stała się Cieśnina Ormuz, kluczowa ze względu na transport nią ropy naftowej. Radosław Sikorski, szef MSZ, wykluczył możliwość dołączenia Polski do tego konfliktu

FOT. PAP/EPA/ABIR SULTAN



11 MARCA, WARSZAWA. Dyskusja o programach SAFE i „SAFE O proc.” na pierwszym planie postawiła polskie złoto. Mamy 12. największe rezerwy tego kruszcu. Złoto jest składowane w kilku miejscach świata. Donald Tusk wezwał Adama Glapińskiego, by je ściągnął do Polski. Prezes NBP odparł, że to niebezpieczne



11 MARCA, KRAKÓW. Zebrano niemal 134 tys. podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania Aleksandra Miszalskiego. Prezydent miasta ma 50 dni, by przed tym wnioskiem się obronić



11 MARCA, KOREA PÓŁNOCNA. Kim Dzu Ae, 13-letnia córka Kim Dzong Una, testuje nowy typ pistoletu. Północnokoreański lider chętnie z nią się pokazuje publicznie - często na testach broni

– Są dwa skrajne scenariusze. Pierwszy zakłada szybką deeskalację i spadek cen ropy. Scenariusz najbardziej pesymistyczny zakłada wojnę regionalną z udziałem wielu państw Bliskiego Wschodu i długotrwały paraliż dostaw ropy i paliw z i poprzez ten region. Wówczas ceny będą dalej rosnać – mówi Wojciech Jakóbiak, analityk sektora energetycznego, Ośrodek Bezpieczeństwa Energetycznego, podcast Energy Drink

Dorota Kowalska

WOJCIECH JAKÓBIK: CZARNE SCENARIUSZE CO DO CEN PALIW JESZCZE SIĘ NIE REALIZUJĄ

Będziemy płacić 10 złotych za litr benzyny?

W najczarniejszym scenariuszu być może tak, ale na razie ten scenariusz nie jest realizowany.

Wzrost ceny ropy i gazu to jest wynikiem zablokowania cieśniny Ormuz, prawda?

Wzrost cen ropy i paliw to przede wszystkim skutek rosnącego ryzyka związanego z dostawami ropy. Na tym etapie nie ma niedoborów ropy ani paliw w krajach Unii Europejskiej, natomiast są sygnały o takiej możliwości w Azji, na przykład w Pakistanie.

Dlaczego w takim razie rosną ceny benzyny i diesla?

Cena, po której kupujemy paliwa na stacji, jest wyznaczana przez sprzedawcę, który bierze pod uwagę różne czynniki. Oczywiście także swoją marżę, ale też bieżącą sytuację geopolityczną. Zwykle sprzedawcy wyceniają sprzedaż w właśnie w odniesieniu do niej, ale potem, jeżeli na przykład cena ropy spada, nie spieszą się z obniżkami.

Cena benzyny to dzisiaj 6,5 złotego za litr, diesla zbliża się do 8 złotych. Ceny diesla rosną szybciej. Dlaczego?

Kraje Bliskiego Wschodu są ważnymi dostawcami diesla, czyli paliwa wytwarzanego z ropy naftowej. Wojna z Iranie zagroziła nie tylko dostawom ropy, ale także dostawom i produkcji paliw gotowych, takich jak olej napędowy. Warto przypomnieć, że

Europa czerpie nawet jedną trzecią importu diesla z Arabii Saudyjskiej.

Ale z tego, co Pan mówi, wynika, że dostawcy tę podwyżkę cen robią trochę profilaktycznie.

Nie, dostawcy robią podwyżkę ze względu na wzrost cen, po jakich kupują paliwo już teraz i w odniesieniu do swoich bieżących zakupów wyceniają inaczej sprzedaż na stacjach.

Jak Pan myśli, w jakim kierunku to się może rozwinąć? Jakie są możliwe scenariusze?

Są dwa skrajne scenariusze. Pierwszy zakłada szybką deeskalację i spadek cen ropy, czyli zjawisko, które obserwowaliśmy na końcu wojny dwunastodniowej z czerwca 2025 roku. Wówczas ceny ropy i paliw uspokoiły się po kilku tygodniach od zakończenia ostrej fazy konfliktu. Scenariusz najbardziej pesymistyczny zakłada wojnę regionalną z udziałem wielu państw Bliskiego Wschodu i długotrwały paraliż dostaw ropy i paliw z i poprzez ten region. Wówczas ceny będą dalej rosnać i trudno sobie wyobrazić, kiedy i na jakich warunkach taka wojna by się skończyła.

Mnie zastanawia jeszcze jeden fakt: Amerykanie nie importują z tamtego rejonu surowców, natomiast cena benzyny w Stanach Zjednoczonych wzrosła o 30 procent. Dlaczego właściwie?

Działamy na globalnym rynku, gdzie giełdy wyceniają sytuację w odniesieniu do zdarzeń na drugim końcu świata. To jest system naczyń połączonych. Amerykanie również mogą mieć problemy logistyczne związane z potencjalną blokadą cieśniny Ormuz. Dlatego też ich sprzedawcy również wyceniają swoją ofertę w odniesieniu do zdarzeń geopolitycznych, tak samo jak nasi sprzedawcy paliw.

Teraz wytłumaczmy: co idzie za taką sytuacją, bo my ją odczuwamy, droższa benzyna to droższe produkty, droższe ceny usług.

Koszyk paliwowy i energetyczny jest jedną z głównych składowych wyznaczania inflacji. Warto przypomnieć kryzys energetyczny zapoczątkowany działaniami rosyjskiego Gazpromu, spotęgowany inwazją Rosji na Ukrainę. Wówczas właśnie mieliśmy najpierw skok cen gazu, potem energii elektrycznej, również cen ropy i paliw. I to spowodowało, że działalność gospodarcza wszelkiego rodzaju była droższa, podróż transport i w ten sposób koszyk paliwowy i energetyczny dał efekt szyb-

kiego wzrostu inflacji na całym globie. Dzisiaj jeszcze nie jesteśmy w tym miejscu. Konflikt trwa dopiero niecałe dwa tygodnie. Natomiast, jeżeli on byłby długotrwały i pełen eskalacji, to moglibyśmy się spodziewać podobnego efektu. Na razie jednak ropa znówu tanieje ze względu na sygnały o deeskalacji z obu stron konfliktu.

Dobrze, ale Donald Trump twierdzi, że ta wojna jest na etapie końcowym, jego generałowie twierdzą, że właściwie się rozpoczyna. Póki co, nie widać końca tego konfliktu.

Wiarygodność komunikatów Białego Domu jest podważana ze względu na to, że one się zmieniają z dnia na dzień i czasami są wewnętrznie sprzeczne. Natomiast sytuacja na polu bitwy jest taka, że nie doszło do zmiany władzy, którą początkowo postulowali i Izrael, i Stany Zjednoczone. Doszło natomiast do wstępnej rewizji celów tej agresji. Dzisiaj Biały Dom mówi na przykład o ograniczeniu programu jądrowego, zniszczeniu floty irańskiej. To USA będą definiować, w jaki sposób rozumieją zakończe-

nie tego konfliktu. Z tego względu można się spodziewać, że nawet, jeżeli nie wszystkie zakładane pierwotnie cele zostaną osiągnięte, Amerykanie na pewnym etapie umyją ręce.

No tak, ale Iran nie padł na kolana, pewnie Stany Zjednoczone nie spodziewały się takiego oporu.

Tego nie wiemy. Musielibyśmy sięgnąć do danych wywiadowczych, poza tym nie mamy pełnego rozstrzygnięcia tego konfliktu. Na tym etapie nie udało się doprowadzić do zmiany władzy. Reżim, który stracił jednego przywódcę, znalazł szybko następcę i deklaruje, że jest w stanie dalej się bronić. Natomiast słychać informacje o woli rozmów. Irańczycy rozmawiają z Europejczykami, z innymi krajami Bliskiego Wschodu. Amerykanie z kolei mają presję wewnętrzną. Wzrost ceny paliw na ich krajowym rynku powoduje, że przed wyborami przedterminowymi do parlamentu amerykańskiego prawdopodobnie trzeba będzie znaleźć jakieś rozwiązanie tych konfliktów.

Kraje Bliskiego Wschodu, które także są atakowane przez Iran, ponieważ znajdują się tam amerykańskie bazy, wyrażają już niezadowolone z postawy Stanów Zjednoczonych, które nie potrafią zakończyć tej wojny. Czy te kraje mogą w jakiś sposób oddziaływać na Stany Zjednoczone?

Ten konflikt trwa dopiero dwa tygodnie, natomiast ma doniosłe skutki gospodarcze w sektorze paliw, logistyki i turystyki na Bliskim Wschodzie, czego symbolem niech będzie spadek wartości nieruchomości w Dubaju. Dlatego też kraje regionu będą oczekiwać jak najszybszego zakończenia konfliktu. Natomiast one także zostały zaatakowane, więc jeszcze nie wiadomo, w którą stronę ta presja będzie zmierzać i czy doprowadzi do zatrzymania działań zbrojnych USA, czy na przykład do operacji wojskowej, takiej jak walka z terrorystami Huti podjęta pod przewodnictwem Arabii Saudyjskiej.

Wydaje się, że najbardziej wygranym na tej wojnie póki co jest Benjamin Netanjahu, prawda?

Jeżeli nie uda mu się zrealizować jego celów, to nie będzie wygranym tego konfliktu. Natomiast to Izrael domaga się przede wszystkim zmiany władzy w Iranie, podsyca ruchy insurekcyjne w regionie i prze do dalszej konfrontacji.

A Putin? On też wygrywa, bo ceny ropy rosną i jest mu to na rękę.

Krótkoterminowo ceny ropy rosną i są na rękę skarbcowi Kremla, który ma poważne deficyty przez sankcje i właśnie spadek cen ropy. Natomiast bardziej długofalowo utrata Iranu jako kluczowego sojusznika na Bliskim Wschodzie byłaby przegraną Rosji.

Słyszałam opinie, że Chiny politycznie zyskują, dlatego że świat obraca się trochę przeciwko Stanom Zjednoczonym, natomiast gospodarczo tracą, bo też z tamtego rejonu sporo importują.

Chiny są głównym kupcem ropy irańskiej. Poza tym polegają na szlakach dostaw przez Bliski Wschód jako największy eksporter wszystkiego na świecie. Dlatego z punktu widzenia ekonomicznego to jest dla nich fundamentalne zagrożenie, szczególnie w czasie, gdy mają problemy ekonomiczne i są wysoko zależni od eksportu dóbr. Natomiast, jeżeli awantura w Iranie zostanie wykorzystana do podważenia pozycji USA na arenie międzynarodowej, to takie rozstrzygnięcie byłoby na korzyść Chin.

Myśli Pan, że Chiny mogą podejmować jakieś działania mające na celu zakończenie tego konfliktu?

Na razie Chiny wspierają Iran danymi wywiadowczymi i satelitarnymi. Na Bliskim Wschodzie jest specjalny statek wykorzystywany do tego celu. Chińczycy mogą jednak być zainteresowani ochroną ich transportu w cieśninie. Są pierwsze sygnały z Iranu

WIARYGODNOŚĆ KOMUNIKATÓW BIAŁEGO DOMU JEST PODWAŻANA ZE WZGLĘDU NA TO, ŻE ONE SIĘ ZMIENIAJĄ Z DNIA NA DZIEŃ I CZASAMI SĄ SPRZECZNE



FOT. PAPICAF. CEZARY LANGDA

Wojciech Jakóbiak: Nie doszło do zakłócenia żadnej dostawy na rynek polski, więc jeszcze nie jesteśmy w momencie kryzysowym

o gotowości do rozłożenia takiego parasola, ale efektywność będzie ograniczona przez to, że dowódcy irańscy działają autonomicznie.

W Stanach Zjednoczonych nawet Republikanie są podenerwowani takim rozwojem sytuacji. Boją się, jak Pan wspominał, wyniku wyborów jesiennych. Myśli Pan, że na Trumpa mogą być wywierane jakieś naciski, żeby tę wojnę najszybciej zakończył? Część Republikanów wręcz religijnie podchodzi do tego konfliktu. Są tacy, którzy twierdzą, że należy przeć do końca i o tym też mówi prezydent Trump. Natomiast jest też grupa bardziej umiarkowanych Republikanów, którzy obawiają się, że interwencja, która bardziej przypomina wojnę w Afganistanie niż wojnę dwunastodniową z Iranem z zeszłego roku, zagrozi Stanom Zjedno-

czonym, zwiąże ich siły na Bliskim Wschodzie, dając szersze pole do popisu rywalom takim jak Rosja czy Chiny w innych częściach świata.

Pana zdaniem, który scenariusz jest bardziej prawdopodobny: ten, który zakłada szybkie zakończenie tego konfliktu, czy ten, według którego on będzie trwał tygodniami?

Na tym etapie nie można wykluczyć żadnego z tych scenariuszy. Przede wszystkim ze względu na nieprzewidywalność administracji amerykańskiej, która wysłała sprzeczne komunikaty. Natomiast pozytywne są sygnały o tym, że podejmowane są już pierwsze zakulisowe próby rozmów. Nieoficjalne informacje mediów sugerują także, że Amerykanie przekonują Izraelczyków do ograniczenia ambicji w Iranie, więc być może uda się zakończyć to starcie w spo-

sób bardziej dyplomatyczny. Warto zastrzec, że Stany Zjednoczone i Izrael wielokrotnie zaskakiwały świat różnymi asami w rękawie, które powodowały, że nagle dochodziło do istotnej zmiany sytuacji. Warto przypomnieć walkę z Hezbollahem poprzez wykorzystanie systemu pagerów, które ci terroryści wykorzystywali do tego, żeby nie być inwigilowanymi. Okazało się, że pagery zostały podłożone przez wywiad izraelski razem z ładunkami wybuchowymi i przywództwo tej organizacji terrorystycznej zostało z dnia na dzień wyeliminowane. Wiemy, że Amerykanie stosowali różne nieszablonowe rozwiązania, nieznane opinii publicznej podczas interwencji w Wenezueli. Być może zaskoczą nas jeszcze czymś tutaj.

Dobrze, teraz wróćmy na nasz rodzime podwórko. Wy-

sokiem ceny paliw to wyższa inflacja i co jeszcze? Jakie skutki może pociągnąć taka sytuacja, jeśli potrwa dłużej? Mniejszy wzrost gospodarczy? Mniejsze inwestycje? Dłuższy szok oznaczałby zjawisko podobne do kryzysu energetycznego z 2022 roku, czyli wyższą inflację i spowolnienie gospodarcze. Przed wojną w Iranie wskaźniki ekonomiczne w Polsce ulegały poprawie. Ten trend uległby wówczas odwróceniu.

Co właściwie w sytuacji tak wysokich cen paliw może zrobić rząd? To zależy od tego, czy sytuacja będzie krótkotrwała, czy mamy do czynienia z nowym kryzysem energetycznym, bo nie należy nic robić, jeżeli za chwilę dojdzie do uspokojenia sytuacji. Po wojnie dwunastodniowej ceny szybko spadły, kiedy zakończyły się działania wojny. Jeżeli byśmy pospieszyli się z nadto z interwencją, możemy zaszkodzić budżetowi, który i tak już jest napięty przez różne potrzebne wydatki, na przykład w sektorze obronnym. Dlatego też na tym etapie warto rozmawiać o rozwiązaniach na poziomie europejskim. Należy przypomnieć, że grupa G7 miała możliwość wypuszczenia rezerwy ropy na rynek i jeszcze tego nie zrobiła z jakiegoś powodu. Więc być może jeszcze nie jesteśmy w tym momencie, w którym należałoby dokonywać interwencji. Natomiast warto rozmawiać o różnych uproszczeniach, liberalizacji przepisów, które na stałe obniżą nam ceny w koszyku energii i paliw, ponieważ są to kluczowe wyzwania z punktu widzenia konkurencyjności gospodarki polskiej i europejskiej, o czym Warszawa przypomina od lat. Mamy za wysokie ceny energii i surowców.

Orlen już obniżył marżę na diesla z 25 groszy „niemal do zera”, co ma ograniczyć skutki gwałtownego wzrostu cen paliw na świecie. Spółka oferuje do 35 groszy rabatu na benzynę i olej napędowy w najbliższe osiem weekendów.

To jest działanie, które można uzasadnić bezpieczeństwem energetycznym, ale z punktu widzenia inwestorów na giełdzie może nie być tak ciepło przyjęte ze względu na to, że Orlen prowadzi działalność gospodarczą i ogranicza sobie przychody. Natomiast być może jest to jakiś kompromis, który pozwala unikać na razie szerszej interwencji, która byłaby zagrożeniem dla finansów publicznych.

PiS zapowiedział złożenie projektu ustawy przewidującego czasowe obniżenie VAT na paliwo z 23 do 8 procent oraz zmniejszenie akcyzy o ok. 9–10 procent. To dobry ruch?

Przede wszystkim to nie politycy dyktują cenę paliwa i nie jesteśmy już w czasach słusznie minionych, kiedy takie dyktando było wprowadzane, a potem brakowało towarów w sklepach. Cena maksymalna paliwa i inne rozwiązania tego typu były wprowadzane na Węgrzech i skończyło się niedoborem paliwa. Dlatego też należy ostrożnie podchodzić do takich interwencji. Warto przypomnieć, że Prawo i Sprawiedliwość słusznie zareagowało tarczą antyinflacyjną w 2022 roku, kiedy rozpoczął się największy konflikt konwencjonalny po II wojnie światowej na Ukrainie. Wtedy też doszło do takiej interwencji, właśnie w postaci obniżki

VAT na paliwa. Natomiast niekoniecznie jeszcze jest czas na zastosowanie tego rozwiązania. Nie jest jasne, czy dochodzimy do tego momentu, który mieliśmy w marcu 2022 roku, gdy cena baryłki wyskoczyła do 115 dolarów.

Czyli Pana zdaniem rząd powinien jeszcze czekać? Nie powinien nic robić?

Można podejmować działania na rzecz ustalenia sytuacji, to znaczy konsultacji z sojusznikami w ramach organizacji paliwowych, bo ten konflikt trwa dopiero dwa tygodnie. Jego oddziaływanie na rynek jest mniejsze niż w czasie kryzysu energetycznego i dopiero, kiedy dojdzie do dalszej eskalacji, należałoby podjąć interwencję.

Jaką?

To zależy od sytuacji, bo nie wiemy, co wydarzy się za tydzień, dwa. W sytuacji najczarniejszego scenariusza oczywiście różne tarcze osłowne, przede wszystkim dla najsłabszych, będą wskazane, ale nie jesteśmy jeszcze w tym miejscu.

Na tak, ale przewoźnicy już się boją! Twierdzą, że w hurcie paliwo jest 30 procent droższe i oni sobie nie poradzą.

Jesteśmy pod wpływem cen na rynku globalnym. To jest sytuacja, którą odczuwają przewoźnicy na całym świecie. Rolą polityka nie jest wyznaczanie ceny po to, żeby było na pewno tanio, bo nikt nie chce płacić drogo. Jednak gra rynkowa ma znaczenie także z punktu widzenia bezpieczeństwa dostaw i tego, czy będziemy mieli paliwo na stacjach. Oczywiście w sytuacji głębokiego kryzysu różne rozwiązania wchodzi w grę i były wprowadzane w 2022 roku, natomiast jeszcze nie jesteśmy w tym miejscu.

Czyli zaleca Pan spokój i czekanie na to, jak się ten konflikt się rozwine?

Oczywiście spokój jest najważniejszy przy podejmowaniu decyzji strategicznych. Mamy zapasy paliw, mamy rezerwy, które też moglibyśmy uwolnić. Nie doszło do zakłócenia żadnej dostawy na rynek polski, więc jeszcze nie jesteśmy w momencie kryzysowym. 2022 rok pozwolił wdrożyć różne mechanizmy zwiększające bezpieczeństwo dostaw, zwiększające bezpieczeństwo ekonomiczne kraju, więc powinniśmy reagować adekwatnie do sytuacji. Na tym etapie nie można wykluczyć, że za tydzień ta awantura się skończy ani że przerodzi się w coś większego, kiedy właśnie będzie odpowiedni moment, by działać.

Mówiło się, że Przemysław Czarnek będzie kandydatem PiS w wyborach prezydenckich, ostatecznie prezes postawił na Karola Nawrockiego. Teraz Czarnek - oczywiście, jeśli PiS wygra wybory albo będzie potrafiło stworzyć parlamentarną większość - ma zostać premierem. Przez najbliższe półtora roku to on będzie stał na pierwszej linii frontu. Pytanie, czy i tym razem Jarosław Kaczyński w ostatniej chwili nie wskaże innego szefa rządu

Dorota Kowalska

KONTROWERSYJNY KANDYDAT NA PREMIERA PiS

Przemysław Czarnek znowu w swoim żywiole. W poniedziałek bladym świtem zameldował się na stacji benzynowej.

- Kryzys na Bliskim Wschodzie spowodował, że ceny ropy, ceny benzyny na stacjach paliw w Polsce sięgają już niekiedy nawet ośmiu złotych - alarmował.

Przedstawił więc projekt ustawy, który czasowo obniża podatek VAT z 23 do 8 proc. oraz obniża akcyzę na paliwo. Podpisy pod dokumentem złożyli parlamentarzyści PiS.

- Chodzi o to, żeby dziś Polacy poczuli, że państwo ich wspiera w czasie kryzysu. Państwo nie może łupić obywatela. Państwo musi wychodzić naprzeciwko oczekiwaniom obywatela, który nie czuje się dziś w tym państwie bezpiecznie, ponieważ widzi, co się dzieje na rynkach światowych i widzi państwo w niemocy, a był przyzwyczajony do innego państwa - tłumaczył.

Było też o tym, że „Tusk łupi Polaków” i że „dziś państwo nie interweniuje, a to jest dramat dla polskich rolników, przewoźników”. - Czy pamiętają państwo kryzys z czasów, kiedy rządziło PiS i kiedy prezesem Orłenu był Daniel Obajtek? Wówczas ceny ropy, baryłki ropy na rynkach światowych sięgały 120 dolarów, a dolar w Polsce był po 4,30. Dziś baryłka na rynkach światowych kosztuje ponad 90 dolarów, o 30 dolarów mniej niż wówczas, ale i dolar jest tańszy, bo nie dochodzi do czterech zł. Ceny natomiast są dokładnie takie jak wówczas, kiedy Daniel Obajtek był prezesem Orłenu, kiedy rządziło PiS - ciągnął były minister edukacji.

Mijał się z prawdą, bo w poniedziałek rano cena baryłki ropy sięgnęła 106 dolarów, ale kto tam przejmuje się takimi szczegółami.

Ze stacji benzynowej Przemysław Czarnek pobiegł do Radia

Zet. W rozmowie z Bogdanem Rymanowskim odpowiedział Krzysztofowi Bosakowi, liderowi Konfederacji. Ten stwierdził, że były minister edukacji „odpowiada za projekt »willa plus«, czyli uwłaszczenie nomenklatury pisowskiej na majątku publicznym”.

- Napisali sobie ustawę i przywłaszczili budynki - stwierdził Bosak.

- Krzysztof Bosak kłamie. Idzie w retorykę Platformy Obywatelskiej i to nie jest dobry kierunek dla prawicy. Na prawicy musi być spokój i musi być widać jednego wroga, który niszczy państwo, czyli Tuska. Niech Krzysztof Bosak zastanowi się, co mówi, bo ja nie chcę wojny na prawicy. Wróg jest jeden: Tusk, który dusi Polskę - odpowiedział mu polityk PiS.

Przemysław Czarnek musi biegać, bywać w mediach, błyszczeć. Po tym, jak został oficjalnie ogłoszony kandydatem PiS na premiera, to na nim skupiła się uwaga opinii publicznej. I już na starcie przyszło mu się tłumaczyć nie tylko z „willi plus”, ale i z fotowoltaiki.

O co chodzi? W swoim wystąpieniu zaraz po tym, jak został oficjalnie ogłoszony kandydatem PiS na premiera, zaatakował obecny rząd i samego Donalda Tuska, mówił też o polityce energetycznej państwa, cenach prądu i ostro krytykował odnawialne źródła energii.

- Co musi zrobić silne państwo, stając u boku Karola Nawrockiego? To państwo ma pojechać do Brukseli i powiedzieć, że nie mamy już ETS-u w Polsce - wypowiadamy to. Nie mamy waszego miksu energetycznego, nie mamy żadnego Zielonego Ładu, nie mamy żadnych OZE-sroze. My mamy nasz miks węglowy, bo mamy nasze bogactwa naturalne i wara wam od nich. My mamy nasz węgiel - mówił.

Tyle tylko, że następnego dnia europoseł PSL Krzysztof

Hetman zauważył, że Przemysław Czarnek sam założył w swoim domu fotowoltaikę. Informacja wywołała burzę w sieci, bo nie wiadomo - śmiać się czy płakać.

- Fotowoltaikę zamontowałem chyba pięć lat temu, kiedy w naszej gminie był program z dofinansowaniem. Zapłaciłem za to 8100 zł, płacąc za energię wówczas jakieś 2-2,5 tys. zł rocznie. Po zamontowaniu fotowoltaiki płaciłem za energię 1000-1200 zł rocznie - kontynuował swoje tłumaczenia poseł Czarnek.

Zapowiedział też likwidację paneli.

- I tak codziennie myślę o tym, czy na tym dachu mi się ta fotowoltaika nie zapali, co się stanie, jak to się zepsuje. Będę demontował te panele z dachu w pewnej perspektywie, dlatego że one w ogóle nie byłyby potrzebne, gdyby energia bazowała na tym, co mamy - stwierdził. - OZE tylko przyczynia się do wysokich cen energii w Polsce. Kiedy fotowoltaika produkuje mi w ogóle prąd, to i tak wszystkie nasze elektrownie muszą być w pełnej gotowości, i tak za nie wszyscy płacimy. To jest bez sensu, to jest OZE-sroze - brnął dalej kandydat PiS na premiera.

Co ciekawe, dziennikarze szybko ustalili, że boom na odnawialne źródła energii miał miejsce właśnie za czasów rządów PiS, choćby dzięki systemowi dotacji. Sam Czarnek także postawił wtedy na fotowoltaikę.

**NIE MAMY WASZEGO MIKSU
ENERGETYCZNEGO, NIE MAMY
ŻADNEGO ZIELONEGO ŁADU,
NIE MAMY ŻADNYCH „OZE-SROZE”
- MÓWIŁ CZARNEK**

Słowa polityka PiS o demonstacji paneli zaintrygowały polityków.

„Przecież to irracjonalne. Jeśli już poniósł koszty, to teraz ma czysty przychód. U fundamentalistów ideologia zawsze wygrywa z logiką” - stwierdził szef MSZ Radosław Sikorski.

Posłanka Lewicy Anna-Maria Żukowska zasugerowała, że „skoro chce płacić za prąd, to jego wybór - niech płaci”.

Europoseł Łukasz Kohut dodał: „Proponuję jeszcze sprzedać niemieckie Volkswageny i przesiąść się do Poloneza”.

Sławomir Mentzen opublikował na platformie X grafikę, na której przedstawił własną wersję słynnej „piątki Kaczyńskiego”, którą nazwał „piątką Czarnka”.

„Kaucje sraucje”, „wiatraki srauki”, „eko sreko”, „elektryki sryki”, „panele srele” - wyliczał, drwiąc z sobotnich słów byłego ministra edukacji.

Cóż, Przemysław Czarnek początek miał raczej słaby. Jarosław Kaczyński, wskazując właśnie na niego jako przyszłego premiera, dał wszystkim do zrozumienia, że stawia na radykalnych „maślarzy”. Konserwatywny, nacjonalistyczny Czarnek ma walczyć o wyborców z Braunem, Mentzenem i Bosakiem. Ale nie wszyscy wierzą, że mu się to uda. Po pierwsze dlatego, że Czarnek nie przyciągnie do siebie młodych ludzi, których zraził sobie, będąc ministrem edukacji narodowej. Kolejna sprawa - nie może być anty-Braunem, bo pewnych rzeczy powiedzieć nie

może w przeciwieństwie do oryginu. No i ciągnie się za nim rządowa przeszłość, którą dość szybko wypomniał mu Krzysztof Bosak.

Co ciekawe, także z sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski wynika, że Polakom nie podoba się wybór Przemysława Czarnka na kandydata na premiera PiS. Łącznie aż 58,3 proc. ocenia go negatywnie - 41 proc. wskazało odpowiedź „zdecydowanie źle”, a 17,3 proc. „raczej źle”. Pozytywne zdanie o decyzji Kaczyńskiego ma łącznie 23,7 proc. respondentów.

Komentatorzy sceny politycznej zauważają, że decyzja prezesa o postawieniu na Czarnka w dobie obecnych kłopotów i fatalnych sondaży PiS-u jest rozwiązaniem bezpiecznym i w pewnym stopniu zachowawczym. Partia postawiła na stały i znany już kurs radykalizacji języka i przekazu. Czarnek doskonale wywiąże się z tego zadania. Pytanie, czy to wystarczy. Prof. Jarosław Flis, socjolog, w rozmowie z Onetem zauważył, że „ten wybór pokazuje, iż PiS nie uczy się na błędach, bo działa tak, jakby w czasach swoich rządów nie zrobili niczego złego i w zasadzie nie wiadomo, dlaczego oddał władzę”.

- Powstaje wrażenie, że od roku 2023 tkwią w tym samym miejscu. Wtedy wczesną jesienią przekonywali, że ataki na Tuska są najlepszą bronią, dzięki której zdobędą w wyborach samodzielną większość. Cóż, to się wyjątkowo brzydko zestarzało. Być może za wyborem Czarnka stoi założenie, że obóz przeciwnika zrobi tak fatalne błędy, jakie zrobił w kampanii prezydenckiej. To jednak może być zawodne, tym bardziej że to będą zupełnie inne wybory - tłumaczył ekspert.

I podkreślił, że Mateusz Morawiecki ryzykowałby bardzo wiele, gdyby uniósł się honorem i opuścił PiS po namaszczeniu

przez prezesa na przyszłego premiera lidera zwalczającej Morawieckiego frakcji „maślarzy”.

- Dziś Morawiecki nie ma powodów, żeby tak po prostu z PiS zrywać. Przecież do wyborów jeszcze dwa lata, zmiennych tak w Polsce, jak na świecie jest ogromnie dużo, zaś Czarnek może się jeszcze spalić jako kandydat. A wtedy może się okazać, że konieczna jest zmiana strategii i PiS może sięgnąć po „zasób kadrowy”, który jest sprawdzony w boju, i postawić, jeśli nie na samego Morawieckiego, to być może na kogoś z jego ludzi. W polityce czasami lepiej jest poczekać - podsumował prof. Flis.

Właśnie, bo wybór Czarnka to jeszcze jedno niebezpieczeństwo dla PiS-u: możliwość rozłamów w partii.

Dlatego, niektórzy snują hipotezy, że tak naprawdę byłyby minister edukacji będzie przez najbliższe półtora roku przyjmował i zadawał ciosy, a w przypadku wygranych przez PiS wyborów parlamentarnych premierem zostanie ktoś inny.

Może i tak. Czarnek doskonale się do walki nadaje: wyraziści, inteligentny, niektórzy dodają jeszcze - z charyzmą. Ci, którzy za nim nie przepadają, mówią, że to bulterier Prawa i Sprawiedliwości, chamski, cyniczny i pozbawiony zasad. Jego zwolennicy wyliczają jednym tchem: świetny mówca, wykształcony, potrafiący pociągnąć za sobą tłumy. I na dowód przywołują wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych - Przemysław Czarnek „jedyneką” na liście PiS w wyborach do Sejmu w okręgu nr 6 zdobył ponad 121 tys. głosów - najwięcej ze wszystkich kandydatów.

Zaraz po nich wszedł do Komitetu Wykonawczego Prawa i Sprawiedliwości, ponoć na wyraźne polecenie prezesa Kaczyńskiego. Cieszy się zaufaniem przewodniczącego klubu Błaszczaka i samego prezesa, który



INDEKS MATURZYSTY

DODATEK INFORMACYJNO-EDUKACYJNY



naszemiasto.

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

REKLAMA

0011481037



**collegium
novum**

Stacjonarne kursy maturalne
Warszawa

Skutecznie od ponad 20 lat!

Więcej godzin
Doświadczeni wykładowcy
Rozsądna cena

-5%

do 30.04.26 hasło **GAZETA**
www.collegiumnovum.pl

zdałam maturę i mam indeks



Gdzie najtrudniej o indeks w Warszawie?

Rekrutacja. Ponad dwadzieścia osób chętnych na jedno miejsce. Tak w skrócie można opisać walkę o indeksy na największych uczelniach w Warszawie. Marzec to dla maturzystów ostatni dzwonek na wybór strategii, a nic nie daje lepszego obrazu sytuacji niż twarde dane z ubiegłorocznych rekrutacji.

Joanna Postrzednik

W Warszawie znajdują się najlepsze uczelnie w naszym kraju, więc nic dziwnego, że zdobycie tu indeksu wymaga coraz częściej wyników bliskich ideałowi. Uczelnie co roku publikują rankingi najbardziej obleganych kierunków. Popularna jest nie tylko medycyna i prawo, ale również cyberbezpieczeństwo czy analiza danych. Sprawdziliśmy dane z rekrutacji 2025/2026 na najważniejszych warszawskich uczelniach. Co z nich wynika?

Kierunek lekarski na czele na Uniwersytecie Warszawskim

Zacznijmy od Uniwersytetu Warszawskiego. Uczelnia co roku publikuje statystyki dotyczą rekrutacji na studia stacjonarne I stopnia i jednolite studia magisterskie na rok akademicki 2025/2026. Największą liczbę chętnych osób na jedno miejsce odnotowano na kierunkach: lekarski: 24 kandy-

datów na miejsce, Business and Management: 22,2 kandydata na miejsce, orientalistyka - japońska: 20,4 kandydata na miejsce, kryminologia: 14,7 kandydata na miejsce, orientalistyka - sinologia: 14,0 kandydata na miejsce, psychologia: 13,1 kandydata na miejsce, stosunki międzynarodowe: 11,4 kandydata na miejsce, filologia angielska (językoznawstwo oraz literatura i kultura): 10,4 kandydata na miejsce.

Warto również zwrócić uwagę na rosnące zainteresowanie naukami ścisłymi o profilu medycznym i technologicznym. Chemia jądrowa i radiofarmaceutyki oraz nanoinżynieria przyciągnęły po 8,5 kandydata na jedno miejsce, wyprzedzając pod względem statystycznym popularną informatykę (4,8) czy prawo (3,8).

Co ciekawe, najmniejszą liczbę chętnych w przeliczeniu na miejsce odnotowano na nauczaniu języków obcych oraz ukrainistyce z językiem angielskim.

Wielu chętnych na cyberbezpieczeństwo

Zacięta rywalizacja także miała miejsce na kolejnej uczelni w stolicy, czyli Politechnice Warszawskiej. Największym wyzwaniem dla maturzystów okazało się cyberbezpieczeństwo. O jeden indeks walczyło aż 21 kandydatów.

Sporym zainteresowaniem cieszyła się też automatyka i robotyka stosowana (14,37 aplikacji na miejsce). Listę najbardziej obleganych kierunków technicznych zamykają mechanika i projektowanie maszyn (13,37 osób chętnych na miejsce) oraz inżynieria i analiza danych, gdzie o indeks walczyło 11 osób.

Psychologia nadal popularna

Dobrymi wynikami pochwalili się także warszawski Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

W 2025 roku na uczelni chciało studiować aż 20 tys. osób, czyli o 5 tys. więcej niż rok wcześniej. Najbardziej obleganym kierunkiem była psychologia na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej. W tym przypadku na jedno miejsce przypadało aż 22 chętnych.

Tuż za nią znalazły się najbardziej prestiżowe kierunki medyczne: lekarski (prawie 21 osób na miejsce) oraz pielęgniarstwo (11 osób na miejsce) na Wydziale Medycznym Collegium Medicum.

Na kolejnych miejscach uplasowały się kierunki społeczne i ekonomiczne, które również przyciągnęły dużą liczbę kandydatów: stosunki i prawo międzynarodowe, ekono-



FOT. PIOTR SMOLINSKI

W ubiegłym roku na Uniwersytet Warszawski zarejestrowało się ponad 32 tys. osób. Łącznie dokonano przeszło 61 tys. rejestracji

mia, socjologia, komunikacja medialno-kulturowa oraz zarządzanie publiczne - każdy z nich cieszył się sporym zainteresowaniem i pokazał, gdzie konkurencja była największa.

Zarządzenie i finanse

Z kolei w roku akademickim 2025/2026 w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego największym zainteresowaniem wśród kandydatów cieszyły się kierunki

związane z zarządzaniem i finansami. Na zarządzanie przypadało średnio ponad 9 osób na jedno miejsce, a na finansach i rachunkowości ponad 8.

Dużą popularnością wyróżniała się również ekonomia, gdzie o jedno miejsce ubiegało się około 7 osób. Spory tłok panował także na architekturze oraz kierunkach takich jak gospodarka przestrzenna i logistyka, przyciągających po około 5-6 kandydatów na miejsce.

Studia, które mogą zmienić życie. Warszawa oferuje kierunki łączące technologię i biznes. Które wybrać?

Mateusz Bagieński

Coraz częściej słyszymy, że sztuczna inteligencja i automatyzacja mogą przejąć część pracy ludzi. Warszawskie uczelnie, takie jak SWPS czy Uniwersytet Warszawski, oferują kierunki przygotowujące do zawodów przyszłości. W artykule sprawdzamy, które studia dają największe szanse na stabilną karierę i gdzie w stolicy warto studiować. Szczegóły w tekście.

Najnowsze trendy w rekrutacji

W ostatnich latach w Warszawie utrzymuje się zainteresowanie klasycznymi kierunkami, które od lat przyciągają najwięcej kandydatów. Najczęściej wybierane są m.in. zarządzanie, prawo, psychologia, ekonomia i informatyka. To pokazuje, że tradycyjne obszary nauki wciąż są postrzegane jako droga do stabilnej pracy po studiach, mimo rosnącej automatyzacji

i zmieniających się wymagań rynku pracy.

Jednak popularność kierunku nie zawsze pokrywa się z realnym zapotrzebowaniem pracodawców. Raporty wskazują, że wielu absolwentów kończy studia, które nie odpowiadają na największe luki na rynku pracy. W Warszawie widać to zwłaszcza w naukach humanistycznych i zarządzaniu - kierunki te są chętnie wybierane, ale często wymagają dodatkowych kwalifikacji lub szkoleń, by znaleźć dobrą płatną pracę.

UW stawia na przyszłość

Uniwersytet Warszawski stawia na kierunki, które odpowiadają na rosnące potrzeby rynku pracy w technologii i biznesie. Do najważniejszych należą: informatyka, cyberbezpieczeństwo, analiza danych, programy związane ze sztuczną inteligencją.

UW oferuje też programy z zakresu projektowania systemów cy-

frowych, automatyzacji i technologii webowych. Wiedza z programowania, bezpieczeństwa sieci i analizy danych od razu znajduje zastosowanie w pracy, co czyni absolwentów jednymi z najbardziej poszukiwanych specjalistów w stolicy.

AI, UX i cyberbezpieczeństwo

Na SWPS w Warszawie studenci mogą rozwijać umiejętności łączące



Rośnie zainteresowanie kierunkami skierowanymi na sztuczną inteligencję. Kompetencje w AI, analizie danych i inżynierii oprogramowania są dziś jednymi z najbardziej pożądanymi

psychologię i technologie cyfrowe. Do najważniejszych obszarów należą: psychologia łączona z technologiami cyfrowymi - w szczególności badania i projektowanie doświadczeń użytkownika (UX Research & Design), analiza zachowań użytkowników oraz projektowanie interfejsów i usług cyfrowych. To konkretne kompetencje, które pozwalają zrozumieć, jak ludzie korzystają z aplikacji i serwisów internetowych, co jest dziś kluczowe w firmach technologicznych i start-upach.

- Na naszych studiach poznasz najnowsze trendy w projektowaniu User Experience. Przejdziesz całą ścieżkę tworzenia produktu i usługi. Poznasz różne metody badawcze. Nauczysz się prowadzić warsztaty, wywiady indywidualne czy przeprowadzać analizę danych zastanych - czytamy na stronie uczelni.

Dodatkowo uczelnia oferuje kierunki i specjalizacje w obszarze informatyki, cyberbezpieczeństwa oraz

podstaw sztucznej inteligencji, przygotowujące do pracy w IT i sektorze nowych technologii. Studenci uczą się m.in. ochrony danych, bezpiecznego projektowania systemów czy podstaw programowania pod kątem analizy danych i automatyzacji procesów. To realne kompetencje, które w najbliższych latach będą wysoko cenione na rynku pracy w Warszawie i całej Polsce.

Studia przyszłości

Oprócz kierunków oferowanych przez Uniwersytet Warszawski i SWPS, w Warszawie coraz większym zainteresowaniem cieszą się studia związane z technologią, inżynierią i analizą danych. Na Politechnice Warszawskiej największą popularnością wśród kandydatów cieszą się m.in.: automatyka i robotyka, inżynieria i analiza danych, lotnictwo i kosmonautyka, cyberbezpieczeństwo, informatyka i informatyka stosowana.

Poza tym w rośnie zainteresowanie kierunkami skierowanymi na sztuczną inteligencję. Kompetencje w AI, analizie danych i inżynierii oprogramowania są dziś jednymi z najbardziej pożądanymi przez pracodawców w stolicy i w całej Polsce.

**ALIOR
BANK**

OGARNIJ ALIOR KONTO

PROWADZENIE**ZA 0zł****ZYSKAJ NAWET****500zł**
Z KODEM BONUS500www.aliorbank.pl

Sprzedaż premiowa „Młodzi zyskują” obowiązuje od 16.02.2026 r. do 31.12.2026 r. Z oferty mogą skorzystać osoby, które w okresie trzech lat przed złożeniem wniosku nie posiadały w Alior Banku konta osobistego. Oferta skierowana jest do osób pełnoletnich, które w dniu zawarcia umów o konto i kartę nie ukończyły 26 lat. Warunkiem udziału w sprzedaży premiowej „Młodzi zyskują” jest wpisanie we wniosku o konto kodu BONUS500. Szczegóły opisane zostały w Regulaminie Sprzedaży premiowej „Młodzi zyskują”, który udostępniamy w placówkach Alior Banku i na stronie internetowej banku. Opłata 0 zł za Alior Konto dotyczy prowadzenia konta. Nie pobierzemy opłaty 7 zł za obsługę karty debetowej, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym zrealizujesz 5 płatności kartą lub BLIKIEM (nie liczymy przelewów na telefon BLIK) lub jeśli nie masz ukończonych 18 lat. Szczegółowe zasady dot. prowadzenia Alior Konta, obsługi karty oraz usługi bankowość elektroniczna są zawarte w Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych, w Regulaminie kart płatniczych Alior Banku S.A., Regulaminie korzystania z Kanałów Elektronicznych dla Klientów Indywidualnych (w tym w zakresie usługi BLIK), Taryfie Opłat i Prowizji Alior Banku S.A. dla Klientów Indywidualnych i w Taryfie Opłat i Prowizji Alior Banku S.A. dla Klientów Indywidualnych – Usługa BLIK zbliżeniowy. Dostawcą usług BLIK jest Polski Standard Płatności S.A. Wszystkie wskazane dokumenty dostępne są w placówkach Alior Banku oraz na stronie internetowej banku. Alior Bank SA, ul. Chmielna 69, 00-801 Warszawa, Sąd Rejonowy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy, KRS: 0000305178, REGON: 141387142, NIP: 1070010731, kapitał zakładowy: 1 305 539 910 zł (opłacony w całości). Stan na 16.02.2026 r.

Dyplom dyplomowi nierówny. Zarobki absolwentów różnią się w zależności od miast. Gdzie płacą najlepiej?

Katarzyna Mazur

Dyplom wciąż pozostaje jednym z najważniejszych dokumentów w życiu zawodowym młodych ludzi, ale jego wartość na rynku pracy nie jest jednakowa w całym kraju. To, ile zarobi absolwent tuż po studiach, zależy nie tylko od kierunku kształcenia, lecz także od miasta, w którym wchodzi w dorosłość zawodową, oraz od decyzji podejmowanych jeszcze w trakcie nauki.

Absolwenci zarabiają różnie. Różnice sięgają niemal 1,8 tys. zł Średnie wynagrodzenie absolwentów polskich uczelni wynosi 5,9 tys. zł brutto miesięcznie. Najwięcej zarabiają osoby kończące studia w Warszawie, aglomeracji górnośląsko-zagłębiowskiej i w Białymstoku, najmniej - w Rzeszowie i Krakowie. Różnica między miastem o najwyższych i najniższych średnich zarobkach to blisko 1,8 tys. zł.

Takie dane przedstawił eksperci Programu Kariera Polskiej Rady Biznesu, analizując informacje z ogólnopolskiego systemu monitorowania Ekonomicznych Losów Absolwentów. Z obliczeń wynika, że osoby, które ukończyły studia w 2023 r., zaraz po uzyskaniu dyplomu zarabiały przeciętnie 5940,46 zł brutto ze wszystkich źródeł. To średnia dla

trzynastu przeanalizowanych aglomeracji.

Najwyższe wynagrodzenia odnotowano w Warszawie - 6750,95 zł, w aglomeracji górnośląsko-zagłębiowskiej - 6343,84 zł oraz w Białymstoku - 6016,27 zł. Najniższe w Rzeszowie, gdzie średnia miesięczna pensja absolwentów wynosi 4958,44 zł.

Różnice w zarobkach absolwentów uczelni z różnych miast wynikają z wielu czynników. Trzy najważniejsze to ukończony kierunek, moment rozwoju zawodowego, w którym ktoś decyduje się na studia oraz branże, które działają w danym ośrodku akademickim - mówi Marian Owerko, twórca i szef Programu Kariera, wiceprezes Polskiej Rady Biznesu.

Kierunek studiów wpływa na pierwsze wynagrodzenie Z danych ELA wynika, że absolwenci z licencjatem nauk humanistycznych zarabiali średnio 3990 zł brutto miesięcznie. Dla porównania osoby po kierunkach inżynieryjno-technicznych otrzymywały przeciętnie 6038 zł, czyli o połowę więcej.

Różnice widoczne są także między poziomami ukończonych studiów. Absolwenci studiów licencjackich zarabiali średnio 5427,03 zł brutto. Osoby, które po licencjacie

ukończyły studia magisterskie drugiego stopnia - 6774,33 zł brutto. Natomiast absolwenci jednolitych studiów magisterskich mogli liczyć na 5478,88 zł brutto.

Nie tylko sam poziom studiów odgrywa tak dużą rolę w przyszłych zarobkach, ale też to, co się na studiach robiło. Szczególnie dotyczy to tych, którzy są na czwartym i piątym roku. Oprócz książek ważne jest też zdobywanie doświadczenia zawodowego. Co ważne, powinno ono dotyczyć tej branży, w której będziemy chcieli pracować w przyszłości. A najlepiej także być blisko związane ze stanowiskami, o których marzymy - tłumaczy szef Programu Kariera.

Migracje zawodowe zwiększają szanse na wyższą pensję

Ekspert zwraca uwagę również na znaczenie mobilności zawodowej. Z danych Programu Kariera wynika, że studenci rzadko decydują się na pierwsze doświadczenia zawodowe poza miejscem zamieszkania lub studiowania, co wpływa na ich możliwości zarobkowe.

W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że Kraków to miasto kultury, a zarobki w tym sektorze są relatywnie niskie. Z kolei Bydgoszcz i Toruń to przemysł oraz sektor bezpieczeństwa, które były



Oprócz książek ważne jest też zdobywanie doświadczenia zawodowego, szczególnie na czwartym i piątym roku studiów

w niezłej kondycji w okresie postcovidowym i po agresji Rosji na Ukrainę. Warszawa natomiast to usługi specjalistyczne i firmy międzynarodowe. A pierwsza poważna praca określa przyszłe szanse zawodowe - tłumaczy wiceprezes Polskiej Rady Biznesu. I dodaje:

Początek kariery jest bardzo ważny. To jak skok z trampoliny. Im mocniej się odbijemy i trampolina

będzie lepsza, tym wyżej polecimy. Dlatego warto w okresie studiowania zdobywać doświadczenie i warto zdobywać je w najlepszych firmach, także poza miejscem, gdzie zazwyczaj studiujemy. Doświadczenie zdobyte w najlepszych firmach, których oddziały czasami znajdują się w małych miastach, to inwestycja, która zapoczątkuje wyższymi gażami - podsumowuje Marian Owerko.

REKLAMA

0011488744



**AKADEMIA
WYCHOWANIA
FIZYCZNEGO**
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W WARSZAWIE



**TWOJA
SIŁA
NASZA
WIEDZA**

DZIEŃ OTWARTY
21.03.2026
godz. 12.00
HALA GIER

www.awf.edu.pl

Warszawskie uczelnie wysoko w światowym rankingu. Studenci i wykładowcy mają powód do dumy

Jędrzej Cichocki

Najnowsza edycja THE World University Rankings by Subject 2026 po raz kolejny potwierdza rosnącą pozycję polskich uczelni na arenie międzynarodowej. W tegorocznym zestawieniu znalazło się ponad czterdzieści szkół wyższych z Polski, w tym - rzecz jasna - uczelnie z Warszawy. Które z nich zostały sklasyfikowane i w jakich kategoriach?

Warszawskie uczelnie nagrodzone

Najnowsza edycja THE World University Rankings by Subject 2026 potwierdza silną i coraz bardziej ugruntowaną pozycję warszawskich uczelni na arenie międzynarodowej. W tegorocznym zestawieniu, obejmującym łącznie 44 polskie szkoły wyższe, instytucje ze stolicy znalazły się w czołówce krajowej w wielu kluczowych dyscyplinach, nie tylko utrzymując swoje miejsca, ale także awansując do wyższych przedziałów rankingowych.

Warszawskie uczelnie zostały sklasyfikowane w szerokim spektrum obszarów naukowych, obejmujących między innymi sztukę i nauki humanistyczne, informatykę, prawo, nauki przyrodnicze, nauki



THE World University Rankings by Subject 2026 porównuje ponad osiemset światowych uczelni w jedenastu dziedzinach

ściśle, psychologię oraz nauki społeczne.

Tegoroczne wyniki rankingu jasno wskazują, że polskie uczelnie nie są już jedynie sporadycznymi uczestnikami globalnych rankingów, lecz coraz częściej budują stabilną i rozpoznawalną obecność, opartą na jakości badań, umiędzynarodowieniu oraz konsekwentnym rozwoju instytucjonalnym - mówi prof. Bogumiła Kaniewska, przewodnicząca KRASP.

THE World University Rankings by Subject 2026 umożliwiają porów-



W tegorocznym zestawieniu, obejmującym łącznie 44 polskie szkoły wyższe, instytucje ze stolicy znalazły się w czołówce krajowej w wielu kluczowych dyscyplinach

nianie uczelni z całego świata w ramach różnych dyscyplin. Są opracowywane w oparciu o tę samą kompleksową i sprawdzoną metodologię, która stosowana jest w THE World University Rankings. Co istotne, wagi poszczególnych wskaźników są każdorazowo dostosowywane do specyfiki danej dyscypliny, co pozwala na rzetelne odzwierciedlenie jej priorytetów, sprawiedliwą ocenę mocnych stron instytucji.

Sztuka i nauki humanistyczne

W rankingu Arts and Humanities 2026 najwyższą spośród polskich uczelni uplasował się Uniwersytet Warszawski, zajmując przedział 151-175, co czyni go krajowym liderem w tym obszarze.

Informatyka

W zestawieniu Computer Science 2026, oceniającym m.in. rozwój oprogramowania, sztuczną inteligencję i cyberbezpieczeństwo, Uniwersytet Warszawski został sklasyfikowany w przedziale 301-400, będąc najlepiej notowaną polską uczelnią w tej dyscyplinie.

Prawo

Również w rankingu Law 2026 wysoką pozycję zajął Uniwersytet Warszawski, plasując się w przedziale

176-200 wśród uczelni z całego świata.

Nauki przyrodnicze

W rankingu Life Sciences 2026, obejmującym m.in. nauki biologiczne i nauki o sporcie, Uniwersytet Warszawski znalazł się w przedziale 501-600.

Nauki ścisłe

W obszarze Physical Sciences 2026, uwzględniającym m.in. fizykę, chemię i matematykę, Uniwersytet Warszawski ponownie okazał się liderem wśród polskich uczelni, zajmując miejsce w przedziale 401-500.

Psychologia

W rankingu Psychology 2026 wśród wyróżnionych uczelni znalazły się aż dwie warszawskie instytucje:

Uniwersytet Warszawski - 251-300, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz Uniwersytet SWPS - 401-500.

Nauki społeczne

W zestawieniu Social Sciences 2026, obejmującym m.in. socjologię, nauki polityczne i studia nad mediami, Uniwersytet Warszawski został sklasyfikowany w przedziale 501-600, ponownie będąc najlepiej notowaną polską uczelnią w tej kategorii.

REKLAMA

Połącz naukę z praktyką - zacznij swoją przyszłość w Lubelskiej Akademii WSEI

Chcesz studiować w miejscu, które łączy praktykę z nowoczesnym podejściem do kształcenia? Szukasz uczelni, która da Ci nie tylko dyplom, ale i realnie przygotuje do wejścia na rynek pracy? Wybierz Lubelską Akademię WSEI z Filią w Warszawie. To Uczelnia, która stawia na rozwój, innowację i realne przygotowanie do kariery.

Lubelska Akademia WSEI to Uczelnia z 25-letnią tradycją i doświadczeniem na edukacyjnej mapie Lublina, regionu, Polski, ale i świata. Według najnowszego raportu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego jest 2. najczęściej wybraną uczelnią w Polsce na studia niestacjonarne i 8. najczęściej wybraną uczelnią w Polsce na studia stacjonarne.

- W Lubelskiej Akademii WSEI studenci zdobywają doświadczenie już w trakcie studiów, biorąc udział w licznych projektach, warsztatach, praktykach zawodowych. Zdobyta w naszej Akademii wiedza oraz współpraca z pracodawcami sprawiają, że po dyplomie nasi studenci są gotowi do pracy - podkreśla Teresa Bogacka, dr h.c., Prezydent Lubelskiej Akademii WSEI. Akademia WSEI kształci dziś ponad 11 tys. studentów i jest drugą, największą uczelnią w Lublinie. Prowadzi studia w języku polskim i angielskim na 4 wydziałach:



- Wydział Administracji i Nauk Społecznych,
- Wydział Nauk o Zdrowiu,
- Wydział Psychologii i Pedagogiki,
- Wydział Transportu i Informatyki.

W swojej ofercie Uczelnia ma ponad 30 kierunków studiów, m.in. Psychologię ze specjalnością Psychoterapia, Pielęgniarstwo, Zarządzanie, Informatykę, ale i Sztuczną inteligencję w logistyce i transporcie, Tworzenie

gier komputerowych, grafikę i technologie interaktywne, E-biznes: e-marketing & e-commerce czy Diagnostykę sportową & coaching. Wśród proponowanych kierunków nie ma kierunków przypadkowych, wszystkie są wypracowane we współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym w oparciu o systematyczne badania zapotrzebowania na rynku pracy.

Studia w Lublinie i w Filii w Warszawie

Lubelska Akademia WSEI prowadzi Filie w Warszawie. Mieści się ona przy ul. Twardej, ale jeszcze w tym roku studenci przeprowadzą się na ul. Kordeckiego, gdzie powstaje nowoczesne Centrum Symulacji Medycznej. Obecnie Filia Akademii WSEI ma w ofercie studia na kierunkach: Pielęgniarstwo - studia I i II stopnia, Informatyka - studia I stopnia, a w organizacji jest Zarządzanie - studia I stopnia. Wszystkie kierunki prowadzone są zarówno w języku polskim, jak i angielskim.

Akademia WSEI - Twój krok w stronę kariery

Uczelnia prowadzi także Szkołę Dokorską oraz studia podyplomowe, w tym prestiżowe studia MBA. Warto dodać, że studenci Lubelskiej Akademii WSEI mają możliwość połączenia studiów II stopnia ze studiami podyplomowymi, co pozwala na uzyskanie 2 dyplomów w 2 lata. Akademia WSEI realizuje współpracę z różnymi uniwersytetami z całego świata, dzięki czemu studenci mogą brać udział w programach wymiany studenckiej i zdobywać doświadczenie także poza Polską. - Nasi studenci nie są jedynie numerami w indeksie. Otrzymują realne wsparcie od władz Uczelni, Biura Karier i wykładowców, którzy pomagają im rozwijać swoje pasje oraz wspierają w realizacji celów - dodaje Prezydent Teresa Bogacka. Co ważne, w ramach Kampusu Uczelnia dysponuje własną bazą hotelową dla studentów wraz z restauracją i parkingami. Dołącz do studentów Lubelskiej Akademii WSEI - studiuj praktycznie, nie tylko teoretycznie.

Lubelska Akademia WSEI
ul. Projektowa 4,
20-209 Lublin
tel. 81 749 17 77
e-mail: bos@wsei.pl

Filia w Warszawie
ul. Twarda 14/16,
00-105 Warszawa
tel. 502 616 408
e-mail: filia.warszawa@wsei.pl

www.wsei.pl



FOT. FACEBOOK / NINA MYLSKA

Nastawienie ma duży wpływ na to, jak poradzimy sobie z sytuacją stresującą

Stres przed maturą? Przewodnik po emocjach

Poradnik. Jak zrozumieć mechanizmy stresu i skutecznie zarządzać emocjami, by nie doprowadzić do paraliżu? O stresie rozmawiamy z Niną Mylską, pedagogiem, psychoterapeutką, trenerką oraz wykładowczynią akademicką

Urszula Kosiór

Stres przed maturą to zjawisko niemal powszechne. Co dokładnie dzieje się z naszym ciałem i umysłem, gdy jesteśmy zestresowani w trakcie intensywnych przygotowań?

Stres jest naturalną reakcją adaptacyjną w sytuacjach, które nam towarzyszą w życiu. „Adaptacyjną”, czyli stres pojawia się wtedy, gdy musimy dostosować się do nowych, wymagających od nas reakcji sytuacji. Różnie go odczuwamy, bo jesteśmy różni. Jedni będą się dzięki niemu mobilizować do działania, pomoże im to lepiej się skupić i skoncentrować. Często aktorzy mówią o tremie mobilizującej - trema to także stres. Ale są i tacy, dla których stres to nieprzyjemne uczucie, dyskomfort zarówno dla umysłu, jak i ciała. Stres rzeczywiście może sprawić, że zapomnimy przysłowiowego języka w gębie lub wylecą nam ważne informacje z głowy. Mnie się zdarzyło w sytu-

acji silnego stresu zapomnieć, jak się nazywam - naprawdę! Teraz cieszę się, że to mi się przydarzyło, lepiej rozumiem swoich pacjentów i dzięki temu mogę im lepiej pomóc.

Jakie są główne objawy stresu, na które młody człowiek powinien zwrócić uwagę, żeby nie dopuścić do paraliżu? Kiedy stres staje się destrukcyjny?

Przede wszystkim zachęcam do uważności na samego siebie i przyjrzenia się swoim reakcjom w podobnych sytuacjach. Jeśli doświadczamy paraliżu zamiast mobilizacji - pora zaopiekować się sobą i swoimi emocjami. Pomocne może być przegadanie z psychologiem, na przykład szkolnym, jak stres się u nas objawia, co z nim zrobić, w czym potrzebujemy wsparcia, konkretnych działań. Bo może stres to informacja, że trzeba zwiększyć koncentrację na nauce i zadaniach? A może potrzebujemy ćwiczeń na poprawę koncentracji i uwagi? Może warto wprowadzić

techniki relaksacyjne? Pomyśleć, co pomoże w opanowaniu stresu w czasie matury? Na pewno warto też zadbać o ciało: wyspać się, jeść zdrowo, a nie śmieciowo, by dostarczać odpowiednie składniki organizmowi, a nade wszystko zadbać o higienę cyfrową. Wyeliminować zbędne godziny spędzane na ekranach.

Wiele osób boi się, że nie zdąży się odpowiednio przygotować do matury. Jakie myśli i mechanizmy myślenia mogą prowadzić do tego, że zaczynamy czuć się przytłoczeni?

Obawę, że jest za mało czasu, warto wykorzystać do realnego działania, czyli zacząć się przygotowywać. Tu może pomóc plan działania: rozpisanie na konkretne dni, godziny i zadania: czyli uczenie się, robienie testów itd. A kiedy pojawi się myśl „nie zdążę”, mamy kontrargument: „zdążę, bo działałam”! A gdy pojawi się myśl: „nic nie umiem”, mamy kontrargument: „umiem, bo się uczę, a jeśli czegoś jeszcze nie umiem, to się nauczę”! Warto też pamiętać, że takie myśli to absolutnie normalne zjawisko. Maturzyści poradzili sobie w tylu podobnych sytuacjach: egzamin ósmoklasisty, testy, sprawdziany, testy kompetencji - jest wiele dowodów na to, że dali radę!

Jakie techniki pomagają szybko opanować poziom stresu, gdy zauważymy, że jest on już na tyle silny, że zaburza naszą koncentrację i efektywność nauki?

Jest wiele takich technik, ja zachęcam do poszukiwania własnej, byle zdrowej. Na pewno wrogiem będzie niewyspanie, zmęczenie, nadmierna ekspozycja na ekraniki, brak ruchu, złe odżywianie się. Kiedy pokonamy te wrogie czynniki, a stres wciąż będzie obecny, warto poszukać swojego sposobu na jego opanowanie. Może rozmowa z kimś bliskim? Może muzyka w tle, gdy się uczymy? Może spacer, bieg, ćwiczenia? A może relaksacja? W internecie jest mnóstwo propozycji technik relaksacyjnych. Techniki oddechowe pomagają uspokoić bijące zbyt szybko serce. Boli Cię brzuch ze stresu? Może ciepła herbata miętowa, zmiana pozycji, w której się uczysz? Sprawdź, co ci pomoże! Miejsce, w którym się uczysz, również ma znaczenie. Jedna z moich pacjentek zaczyna naukę od uporządkowania pokoju, wywietrzenia i zrobienia herbaty rumiankowej. To jej pomaga, daje poczucie kontroli nad sytuacją.

Co powinno znaleźć się w planie dnia maturzysty, aby unikać nadmiernego stresu? Jakie działania mogą pomóc w zachowaniu równowagi między nauką a odpoczynkiem?

Do tych, o których już mówiłam: sen, jedzenie, brak dystraktorów, higiena cyfrowa, dodałabym jeszcze nagradzanie siebie za wykonaną pracę. Mózg lubi takie „głaski”. Przeczytałeś/przeczytałaś coś nudnego, acz koniecznego? Może w nagrodę spacer? Jakaś drobna przyjemność? Zrobiłeś/zrobiłaś sto trudnych zadań - brawo, jesteś wielki! Może teraz czas na film, kino, pogaduchy z przyjaciółmi?

Jakie są najczęstsze błędy popełniane przez maturzystów w zarządzaniu stresem? Na co warto zwrócić uwagę, aby nie pogłębiać poczucia presji?

Warto myśleć o stresie jak o sprzymierzeńcu, o czymś, co ma nas wspierać, mobilizować do działania. Coś naturalnego. Należy go oswoić. „Aha, mam stres, wiem o tym, ale wiem też, że pomagają mi wtedy spokojne oddechy, muzyka, znam sposoby radzenia sobie w takich sytuacjach”. Ewidentnym błędem jest zostawienie nauki na ostatni weekend przed maturą.

W dniu przed maturą stres jest często najsilniejszy. Jakie konkretne strategie można zastosować, aby opanować niepokój i przygotować się mentalnie na egzamin?

Jeśli pracowaliśmy przez cały ten czas nad eliminowaniem niepożądanych skutków stresu, jeśli nauczyliśmy się skupiać i koncentrować na działaniu - uwierzmy, że będzie dobrze! Nie ma jednej konkretnej strategii radzenia sobie ze stresem. To cały zestaw działań i troski o siebie, które warto włączyć wcześniej. Każdy z nas wie, co może mu pomóc przed wejściem do sali egzaminacyjnej. Na pewno trzeba być wyspanym i nawodnionym.

Czy krótkoterminowa intensywna nauka (tzw. last minute) może wywołać dodatkowy stres? Jakie techniki pomagają nie dać się przytłoczyć ilości materiału?

Znam osoby, które potrafią nauczyć się w krótkim czasie dużych porcji materiału, ale... jest ich bardzo niewiele. Dla większości zostawienie nauki na ostatnią chwilę to prosty sposób na wywołanie ogromnego stresu, lęku i porażki. Plan nauki, systematyczność oraz świadomość „przecież tyle już umiem, tyle zadań zrobiłem/zrobiłam” sprawdzają się znacznie bardziej.

W jaki sposób radzić sobie z lękiem tuż przed maturą, zwłaszcza w trakcie samego egzaminu, kiedy poziom stresu może wzrosnąć do niebezpiecznego poziomu?

W trakcie egzaminu sprawdzą się wypracowane wcześniej, znane i lubiane techniki. Może ćwiczenia oddechowe? Może chwile myślenia o czymś miłym i dobrym? Sprawdź już dziś, co może ci pomóc.

Na koniec, co warto zrobić, aby w przyszłości nie tylko przed maturą, ale także w innych stresujących sytuacjach, nauczyć się lepiej zarządzać stresem i nie pozwalać, by nas sparaliżował?

W życiu ciągle zdajemy jakieś matury, warto zadbać o siebie i swoje emocje. A zdana matura - ta matura! - da pozytywny przykład, który będzie można przywołać: „Skoro zdałem/zdałam maturę, dałem radę - dam radę i teraz!” Poza tym - tyle milionów osób zdało maturę, czemu miałyby się to nie udać i nam? A nawet jeśli... zawsze można spróbować raz jeszcze, poprawić wyniki i dostać się na wymarzone studia. Powodzenia!



Nie ma jednej konkretnej strategii radzenia sobie ze stresem. To cały zestaw działań i troski o siebie, które warto włączyć wcześniej. Każdy z nas wie, co może mu pomóc przed wejściem do sali egzaminacyjnej.



ZESKANUJ

Twoja przyszłość zaczyna się w UTH.

WYBIERZ NAJLEPSZE STUDIA DLA SIEBIE

Kryminologia i kryminalistyka, Budowa i tuning samochodów,
Social media & digital marketing,
Architektura wnętrz II st., Motorsport ► Nowości

UTH UCZELNIA
TECHNICZNO-HANDLOWA
im. H. Chodkowskiej
w Warszawie

SIEDZIBA GŁÓWNA
ul. Jutrzenki 135, 02-231 Warszawa

UTH.edu.pl

Błąd kardynalny na maturze z polskiego. To może zaważyć na wyniku całego egzaminu

Magdalena Konczal

● Błąd kardynalny na maturze to pomyłka, której obawiają się wszyscy maturzyści. Uczniowie zastanawiają się, czy pomylenie nazwiska autora lub tytułu można określić mianem błędu kardynalnego. W momencie, gdy błąd ten zostanie popełniony, za całą pracę pisemną otrzymuje się 0 punktów.

Co to jest błąd kardynalny i czym różni się od błędu rzeczowego?

Błąd kardynalny można popełnić na maturze z języka polskiego, a dokładniej w ostatniej części egzaminu, czyli rozprawce maturalnej. Występuje on w momencie, gdy uczeń wykazuje się zupełną nieznajomością lektur obowiązkowych.

Jak podaje Centralna Komisja Egzaminacyjna, błąd kardynalny to „błąd rzeczowy świadczący o nieznajomości tekstu lektury, do którego odwołuje się zdający, oraz kontekstu interpretacyjnego przywołanego przez zdającego”.

Podobnie jest z błędem kardynalnym na maturze w formule 2023. W tym przypadku również trzeba wykazać się zupełną nieznajomością utworu, o którym się pisze.

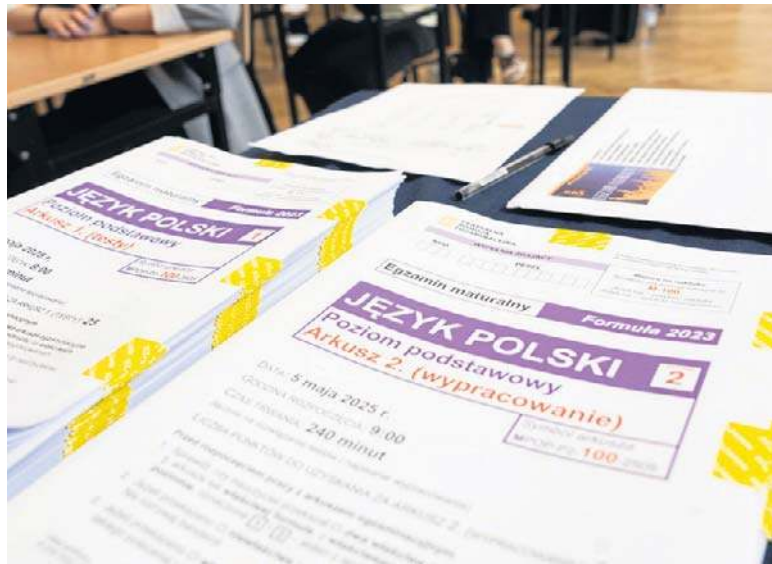
- Błąd kardynalny może dotyczyć wyłącznie lektur obowiązkowych wskazanych w podstawie programowej jako lektury do omówienia w całości (nie we fragmentach) - można przeczytać w Informatorze do matury w formule 2023.

Według CKE błąd kardynalny jest błędem rzeczowym, który świadczy o nieznajomości treści i problematyki lektury obowiązkowej, do której odwołuje się zdający w zakresie: fabuły, w tym głównych wątków utworu, losów głównych bohaterów, w tym np. łączenie biografii różnych bohaterów.

Czym jest błąd rzeczowy?

Warto wyjaśnić także, czym jest błąd rzeczowy. Jest to rodzaj błędu, który dotyczy treści na przykład danej lektury. Sporo osób zastanawia się, czy pomylenie tytułu lub autora to błąd kardynalny. Uczeń może pomylić imię bohatera, nazwisko autora (także lektury obowiązkowej) czy nawet nazwę epoki. Poważnym błędem rzeczowym będzie więc:

- napisanie, że głównym bohaterem „Lalki” Prusa był Sławomir Wokulski;
- napisanie, że autorem „Dziadów” jest Słowacki;
- napisanie, że epoka, w której tworzyli Mickiewicz i Słowacki, to pozytywizm.



Maraton maturalny rozpocznie się 4 maja egzaminem obowiązkowym z języka polskiego na poziomie podstawowym

Nie są to jednak błędy, za które wyzerowana zostanie cała praca.

Przykłady błędu kardynalnego

Wielu maturzystów obawia się, że popełni błąd kardynalny na maturze. Jednak w rzeczywistości egzaminatorzy bardzo rzadko decydują się, by zaznaczyć obecność takiego błędu, a tym samym przyznać

uczniowi 0 punktów za całe wypracowanie. Podanie przykładów błędów kardynalnych jest dość trudne, bo zazwyczaj nie jest nim pomylenie imienia czy nazwiska, ale wykazywanie się całkowitą nieznajomością lektury obowiązkowej.

Sprawdźcie przykłady błędu kardynalnego:

● gdy mamy do napisania rozprawkę o pracy i piszemy, że Stanisław Wokulski nie miał żadnej pracy, nic nie robił przez całe dni, a jedynie zabiegał o to, by przypodobać się Helenie Stawskiej;

● kiedy piszemy o przemianie i zaznaczamy, że Jacek Soplica w ogóle nie zmienił się po zastrzeleniu Stolnika, a ksiądz Robak to jego brat bliźniak.

Czy można zdać maturę z błędem kardynalnym?

Za w pełni poprawnie rozwiązany arkusz mamy szansę otrzymać 60 punktów (w tym 35 punktów za wypracowanie). Aby zdać maturę, należy więc zdobyć przynajmniej 18 punktów, jeśli więc popełnimy błąd kardynalny i wyzerujemy wypracowanie, to wciąż możemy zdać maturę (uzyskując wymaganą liczbę punktów w innych częściach: teście historycznoliterackim i języku polskim w użyciu). Jednak szanse na zdanie matury zdecydowanie maleją.

Warto dobrze poznać treść lektur obowiązkowych na maturę, by nie popełnić błędu kardynalnego. Jeśli nie znamy konkretnego utworu, zdecydujemy się na wybranie innego tekstu literackiego.

REKLAMA

0011481980



UNIwersytet PRZYRODNICZY
w Lublinie

160 WARSZTATÓW | POKAZY | WYKŁADY



Dzień otwarty

Wywiadówka
O studiach - dla rodziców
15.00 - 18.00

od 9.00

19 marca 2026



Wymiana międzynarodowa, pełnowymiarowe studia za granicą, a może międzyuczelniany program? Możliwości jest wiele

Barbara Wesola

Włączenie Polski do Unii Europejskiej ponad 20 lat temu oraz postępująca globalizacja, znacznie zwiększyły możliwości kontynuowania studiowania za granicą przez absolwentów i absolwentki polskich szkół ponadpodstawowych.

Wybór jest szeroki - młodzi ludzie mogą wybierać między pełnowymiarową nauką na uczelniach zagranicznych, międzynarodowymi programami studiów na kilku uniwersytetach równocześnie, czy wymianami studenckimi, które mogą trwać nawet rok. Wśród tych ostatnich, największą popularnością cieszy się program Erasmus+, w którym każdego roku bierze udział ok. 300 tys. studentów i studentek głównie z krajów Unii Europejskiej - choć nie tylko.

Wśród innych programów studiów międzynarodowych wymieni można Erasmus Mundus, CEMS MiM (dla szkół biznesowych), Środkoeuropejski Program Wymiany Studenckiej CEEPUS, program podwójnego dyplomu oferowany przez niektóre polskie uczelnie oraz wymiany bilateralne, które umożliwiają studentom i studentkom wyjazd do krajów niebędących członkami Unii Europejskiej.



Studia za granicą przestają być marzeniem nielicznych. Dla młodych to inwestycja w rozwój, język i niezależność

Problemem finanse

Dla wielu osób, które rozważają edukację za granicą, kwestie finansowe są najważniejszym czynnikiem decydującym o wyborze destynacji i formy wyjazdu. Koszty życia, w tym przede wszystkim zamieszkania i żywienia na miejscu, znacznie różnią się w każdym regionie. W niektórych krajach, studenci - zarówno ci na wymianie, jak i ci studiujący pełnowymiarowo - mogą liczyć na wsparcie uczelni lub miejscowego rządu w wynajmie lokum studenckiego czy pozyskaniu bonów obiadowych.

Poza kosztami życia osoby decydujące się na pełnowymiarowe studia za granicą najczęściej muszą opłacić

czesne. Istnieją jednak wyjątki - w Danii, Szwecji, Finlandii, Norwegii, Niemczech, Austrii i Słowenii studia są darmowe dla obywateli i obywaterek Unii Europejskiej.

- Kandydaci i kandydatki na studia zagraniczne znajdujący się w trudnej sytuacji finansowej oraz ci mający na swoim koncie dodatkowe osiągnięcia, mogą ubiegać się o stypendia socjalne lub naukowe. Inną możliwością finansowania edukacji za granicą są kredyty studenckie, dostępne często na preferencyjnych warunkach - mówi Karol Glonek, Premium Education Consultant w Elab Education, firmie, która pomaga młodym Polkom i Polakom w dostaniu się na studia za granicę.

Jako pierwszy program wspierający naukę za granicą na myśl może przyjść znany i popularny Erasmus+, w ramach którego przyznawane są stypendia dla studentów w wysokości od 600 do 700 euro miesięcznie w zależności od wybranego kraju. Studenci i studentki wyjeżdżający się na wymianę zagraniczną nie zawsze muszą jednak opłacać czesne.

Warto sprawdzić, jakie programy stypendialne dla studentów z zagranicy są aktualnie prowadzone w różnych krajach.

Na co warto zwrócić uwagę?

Oprócz aspektów finansowych warto podejmować decyzję o formie studiów

za granicą także pod kątem innych czynników. Chodzi np. o kwestie merytoryczne, a więc te związane z poziomem nauki na danym uniwersytecie, podejściem do studenta, czy proporcjami między teorią a praktyką.

- Pełnowymiarowe studia za granicą, w szczególności na renomowanych uczelniach, z pewnością dają więcej możliwości osobom planującym późniejszą karierę poza Polską. Istotne w tym kontekście jest uzyskanie dyplomu danego uniwersytetu zagranicznego, czego nie osiągniemy wybierając się tam jedynie na wymianę - komentuje Karol Glonek

Wśród czynników, na które studenci i studentki często zwracają uwagę są także kwestie kulturowo-językowe. Podczas wymiany, która zwykle trwa między 6 a 10 miesięcy, trudno jest perfekcyjnie opanować lokalny język i szczegółowo zagłębić się w lokalnej kulturze. Osoby biorące udział w wymianie spędzają zwykle więcej czasu w gronie międzynarodowych studentów, mają wspólne zajęcia, co może utrudniać im odkrywanie miejscowej kultury.

Mają oni też mniej czasu na budowanie trwałych znajomości z lokalnymi mieszkańcami, którzy nie zawsze chcą nawiązywać głębsze relacje z osobami z wymiany, gdyż wiedzą, że po kilku miesiącach wrócą one do swojego kraju.



Młodzi ludzie mogą wybierać między pełnowymiarową nauką na uczelniach zagranicznych, międzynarodowymi programami studiów czy wymianami studenckimi

REKLAMA

0011485893




Uczelnia publiczna idealna dla Ciebie!

Nasze kierunki:

Edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych	Pedagogika resocjalizacyjna
Fizjoterapia	Pedagogika resocjalizacyjna z socjoterapią
Logopedia	Pedagogika specjalna
Pedagogika	Pedagogika zdolności i informatyki
Pedagogika opiekuńczo-wychowawcza i szkolna	Praca socjalna
Pedagogika przedszkolna i wczesnoszkolna	Psychologia
	Socjologia





aps.edu.pl

Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej

rok założenia 1922



Warto wybierać kierunek ciągłego rozwoju zamiast rynkowego hype`u

Lucja Mazurek

Jak wybrać studia w 2026 roku?
To bardzo ważne pytanie, które powinien zadać sobie każdy maturzysta. Z pomocą przychodzi ekspert, który wskazuje, na co warto zwracać uwagę przed wyborem dalszej drogi kształcenia.

Czym kierować się przy wyborze kierunku studiów?

O tym, na co zwrócić uwagę przy wyborze kierunku studiów, opowiedział dr Radosław Stojek, Dziekan Wydziału Informatyki Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych (PJATK) w Gdańsku. Ekspert zwraca uwagę, że niezmiennie warto iść za swoimi predyspozycjami, nie za rynkiem - „Warto wybierać kierunek ciągłego rozwoju zamiast rynkowego hype`u”.

Jak wskazują dane OPI PIB, w latach 2012-2020 średnio 40 proc. osób, które zaczęły kształcić się na uczelniach wyższych, zostało skreślonych z listy studentów. W praktyce to około 1,3 mln niesfinalizowanych toków studiów. Co więcej, aż dwie trzecie z osób, które zostały skreślone z listy, nie zdecydowało się na ponowne podjęcie nauki w ciągu roku od tego zdarzenia.

Zjawisko tzw. drop outu nabiera na sile. Często za takimi sytuacjami stoi niewłaściwy wybór kierunku. Co ciekawe, częściej z nauki rezygnują studenci uczelni publicznych niż niepublicznych.

Według dr. Stojka z PJATK proces wyboru kierunku studiów powinien zaczynać się od trzech elementów: autoanalizy, opinii bliskich, diagnozy predyspozycji.

Kluczowe jest odejście od myślenia o przypisywaniu się do jednego zawodu.

- Największym błędem jest wybieranie studiów „na rynek”. Ten rynek za trzy lata będzie wyglądał inaczej. Młody człowiek powinien wybrać nie zawód, lecz przestrzeń, w której będzie mógł rozwijać swoje predyspozycje - podkreśla dr Radosław Stojek, doktor nauk ekonomicznych w zakresie nauk o zarządzaniu. - Tożsamość zawodowa nie rodzi się sama. Ona wymaga refleksji, namysłu, ale i sprawdzenie się w działaniu - dodaje.

Najpierw poznaj siebie

Świadoma decyzja, oparta na realnym poznaniu siebie, znacząco zwiększa szanse na satysfakcję ze studiów i przyszłej pracy. Im wcześniej uczniowie zaczną eksplorować swoje zainteresowania, tym łatwiej będzie im wybrać kierunek przyszłego rozwoju, który nie tylko odpowiada ich talentom, ale także daje poczucie sensu działania i motywacji.

Kompetencje przyszłości czy teraźniejszości?

Czy pojęcie „kompetencji przyszłości” jest mylące? Według Radosława

Stojka, zestaw umiejętności kryjący się dziś pod tym modnym hasłem to w rzeczywistości uniwersalne zdolności o bardzo dużym zastosowaniu w szeregu zawodów. Warto jednak pamiętać, że kompetencja to składowa wiedza, umiejętności, ale i postawy.

- Pracodawcy coraz częściej deklarują jednak, że to nie sama wiedza i doświadczenie decydują o zatrudnieniu, ale coraz częściej zdolność do adaptacji, współpracy i szybkiego uczenia się w zmieniającym się otoczeniu. Krytyczne myślenie, komunikacja, ciekawość, umiejętność uczenia się i pracy z AI - to są umiejętności potrzebne już dziś, nie za jakiś czas - mówi ekspert.

Uczelnie, które chcą realnie przygotować młodych ludzi do rynku pracy, muszą podchodzić do rozwijania tzw. umiejętności przyszłości systemowo, traktując je jako element podstawowego programu kształcenia. Zdaniem eksperta PJATK, niezależnie od kierunku, każdy młody człowiek powinien rozwijać:

kreatywność i rozwiązywanie problemów poza schematem, umiejętność regulacji emocji, kompetencje społeczne i umiejętność pracy w zespole, myślenie projektowe, obsługę i weryfikację pracy narzędzi AI.

Otwartość na pracę w tych obszarach to inwestycja w odporność zawodową, która pozwala absolwentom różnych kierunków odnaleźć się w wielu branżach, nawet jeśli technologie czy wymagania rynkowe ulegną zmianie.

Co z tą sztuczną inteligencją?

Umiejętność krytycznej oceny danych generowanych przez algorytmy oraz świadome korzystanie z technologii są równie istotne jak tradycyjne kompetencje akademickie i pozostaną cenionymi umiejętnościami nie do zastąpienia.

- AI nie zastąpi człowieka, który jest kreatywny, empatyczny i potrafi zadawać dobre pytania. Może natomiast uderzyć w osoby, które wykonują powtarzalne zadania oraz te, które mają tzw. fixed mindset. Z tego powodu kompetencje poznawcze i społeczne są dzisiaj ważniejsze niż kiedykolwiek - wyjaśnia dziekan PJATK w Gdańsku. - Młodzi ludzie nie będą pracować „obok” AI, ale z AI, wykorzystując ją jako narzędzie wspierające analitykę, projektowanie, czy planowanie - zaznacza ekspert.

Dodaje, że współczesne technologie nie eliminują roli człowieka, lecz znacząco ją redefiniują. Jego zdaniem to właśnie zrozumienie, jak działa sztuczna inteligencja i jakie są jej ograniczenia, będzie jednym z kluczowych wyróżników dających realną przewagę na rynku pracy najbliższych lat.

Zmiana kierunku to nie porażka

Współczesny system edukacji daje znacznie większą elastyczność niż jeszcze dekadę temu: możliwość przeniesienia się na inny kierunek



dr Radosław Stojek, dziekan Wydziału Informatyki Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Gdańsku, podkreśla, że niezmiennie warto iść za swoimi predyspozycjami, nie za rynkiem

czy tryb studiów staje się naturalnym elementem procesu uczenia się o sobie. Warto jednak podkreślić, jak ważną rolę w procesie wyboru studiów spełniają rodzice. Ich rolą jest zadawać pytania, pokazywać perspektywę i budować odwagę, a nie wybierać kierunek za swoje dziecko. Największym darem, jaki rodzic może dać młodemu człowiekowi, jest ciekawość, a nie gotowy plan.

Wsparcie emocjonalne ze strony dorosłych ma kluczowe znaczenie dla podejmowania odważnych decyzji. To ono pomaga młodym ludziom zaufać swoim kompetencjom i budować niezależność, która będzie potrzebna w ich dalszej karierze akademickiej i zawodowej.

Studia to nie koniec edukacji - to początek drogi

Świat wymagający ciągłej adaptacji w zmianach sprawia, że uczenie się przez całe życie staje się normą. Ekspert PJATK zwraca uwagę, że kluczową przewagą konkurencyjną staje się umiejętność szybkiego przyswajania nowych informacji i otwartość na „nowe”.

- Współczesny student będzie aktualizował swoją wiedzę kilkanaście razy w życiu zawodowym. Dzisiejsze zawody ewoluują, a niektóre z nich

znikają szybciej, niż młodzi ludzie kończą studia. Dlatego najcenniejszą kompetencją jest gotowość do rozwoju i ciekawość, która napędza poszerzanie wiedzy - podkreśla dr Radosław Stojek. - Uczenie się nie kończy się na dyplomie. On jest dopiero początkiem drogi, która wymaga aktywności, odwagi i świadomości, że rozwój jest procesem, a nie jednorazowym wyborem - podsumowuje.

Według dr. Stojka uczelnie powinny tworzyć środowisko, które promuje samodzielne myślenie i eksperymentowanie, a także zachęcają studentów do sięgania po nowe narzędzia i metody pracy.

Dr Stojek podkreśla, że decyzja o studiach nie powinna być traktowana jako zamknięcie możliwości, lecz jako pierwszy świadomy krok w stronę budowania własnej ścieżki zawodowej. Zdaniem eksperta, najważniejsza zmiana nastawienia polega na zrozumieniu, że: - Nie wybieramy kierunku życia i rozwoju. A on powinien wynikać z tego, kim jesteśmy i jak chcemy działać w świecie, który zmienia się coraz szybciej.

Dodaje, że im bardziej młody człowiek skupi się na tym, co go naprawdę angażuje, tym większą szansę na trwałą motywację i sukces.



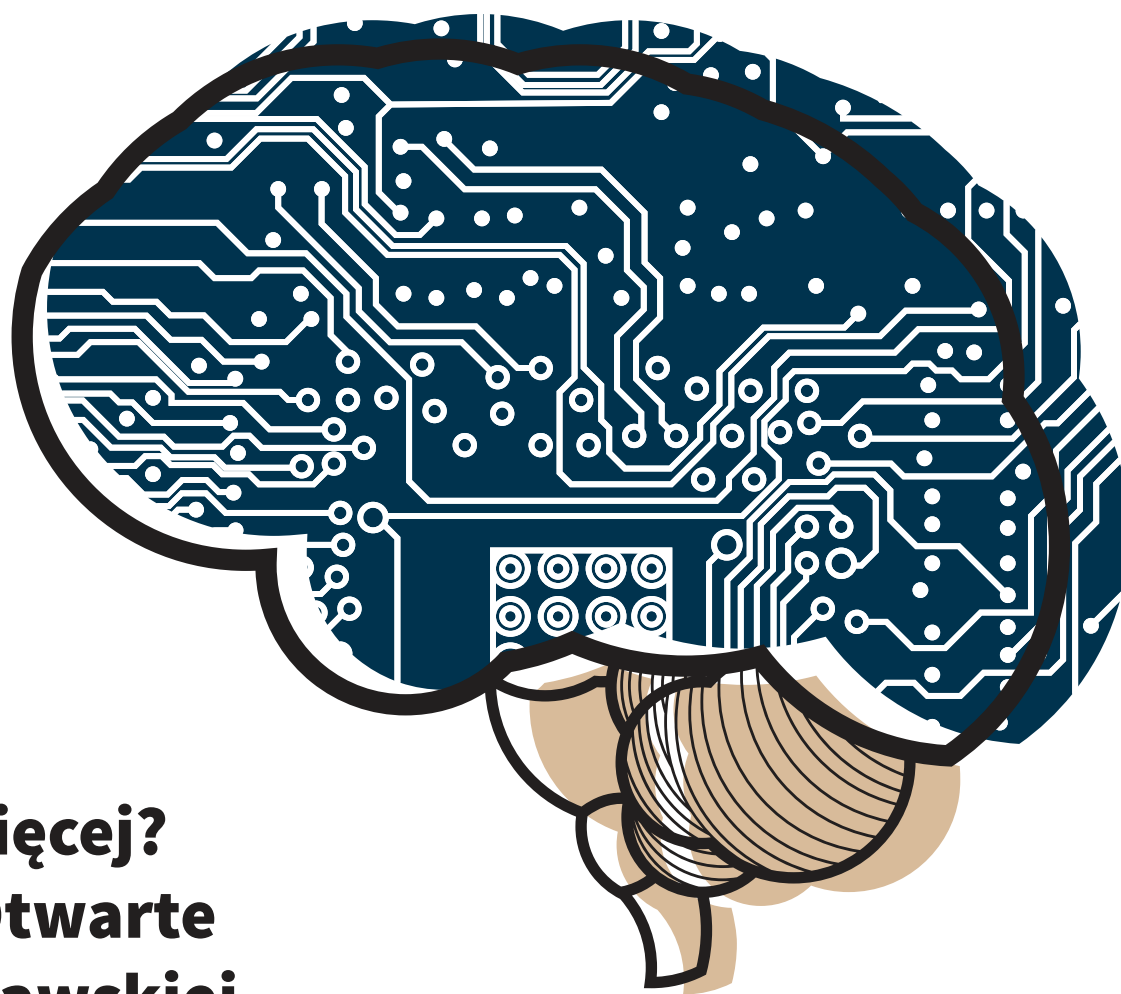
Największym błędem jest wybieranie studiów „na rynek”. Ten rynek za trzy lata będzie wyglądał inaczej. Młody człowiek powinien wybrać nie zawód, lecz przestrzeń rozwoju

Politechnika Warszawska
#zawszeciekawi

Rozbudź ciekawość

Studiuj na Politechnice Warszawskiej

www.pw.edu.pl/studia



Chcesz wiedzieć więcej?
Przyjdź na Drzwi Otwarte
Politechniki Warszawskiej

23 maja, godz. 10.00–15.00

Gmach Główny PW,
Pl. Politechniki 1 oraz Wydziały PW

Wstęp wolny

200 | lat
Politechniki
Warszawskiej

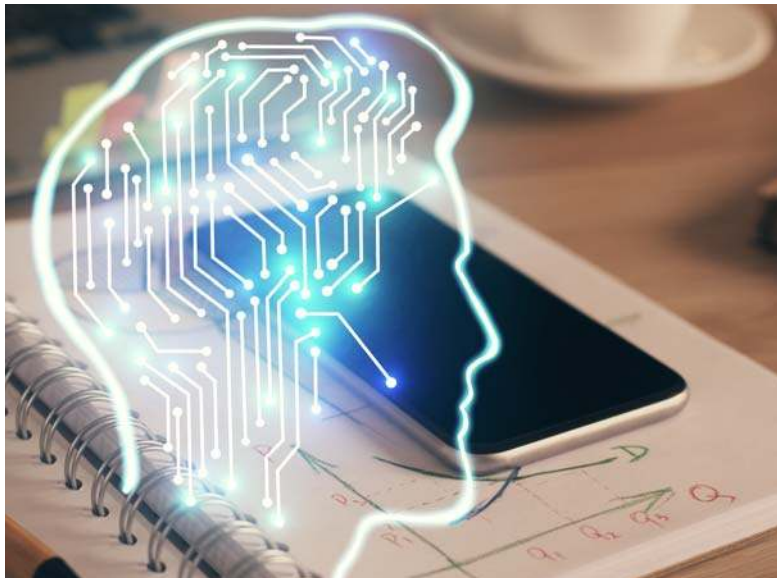
Prof. Jerzy Surma: Dlaczego warto budować polską sztuczną inteligencję

Anita Czupryn

Argumentów za rozwojem polskiej sztucznej inteligencji jest wiele. Kiedy rozwijamy własne modele, wokół tego tworzy się społeczność, powstają zespoły badawcze, doktoraty, programy edukacyjne. Rosnie polska wiedza i polskie kompetencje w tej dziedzinie - mówi prof. Jerzy Surma z w Instytutu Informatyki i Gospodarki Cyfrowej Szkoły Głównej Handlowej.

Obywatel Bielik to polski model sztucznej inteligencji, przy tworzeniu którego pracują naukowcy z wielu uczelni w całej Polsce, w tym pan. Po co nam własny model językowy, nie wystarczy te globalne? Jaki ma pan mocny argument?

Mam nie jeden mocny argument, a właściwie całą listę. Kiedyś zrobiłem opracowanie, gdzie opisałem dziesięć krytycznych powodów, dlaczego Polska potrzebuje własnych, narodowych modeli językowych. Ale powiem tylko o czterech, moim zdaniem najważniejszych. Pamiętajmy, że mamy dziś dwa polskie modele. Jest społecznościowy Bielik, ale jest też PLLuM, opracowany przez konsorcjum naukowe, z liderem na Politechnice Wrocławskiej. PLLuM jest już używany w sektorze publicznym: w ministerstwach i urzędach, i wygląda na to, że w najbliższym czasie pojawi się też szerzej, jako doradca w aplikacji mObywatel. I teraz: niezależnie od tego, czy mówimy o PLLuM-ie, czy o Bielik, odpowiedź na pytanie, po co nam własny model, jest bardzo konkretna. Pierwszy argument to kontrola nad zbiorem treningowym. W przypadku PLLuM-u czy Bielika my wiemy, co jest w danych, na których model był uczone i panujemy nad tym. W Bielik, można nawet, w ramach Fundacji SpeakLeash, przejrzeć dokumenty użyte do treningu. Nie ma tu tajemnicy. Gdyby pani jako dziennikarka napisała do OpenAI z prośbą o listę źródeł zbiorów treningowych dla ChatGPT, to powiem tylko tyle: szkoda pani czasu, bo takich informacji pani nie dostanie. A jeśli te modele mają być używane w edukacji, w ochronie zdrowia, albo mają wspierać decyzje ważne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, to my nie możemy sobie pozwolić na sytuację, w której nie wiemy, na jakich danych one były uczone. Drugi argument to prywatność i bezpieczeństwo danych. Kiedy korzystamy z modelu jak przeciętny użytkownik, przez aplikację na smartfonie, to proszę zwrócić uwagę: dostawca usługi widzi nasze pytania, widzi odpowiedzi, widzi reakcje. I, na marginesie, często uczy modele także tymi konwersacjami. A my czasem pytamy o rzeczy naprawdę wrażliwe. To wszystko jest



FOT. PZPRF

transferowane do dostawców usług cyfrowych i mówię tu o firmach takich jak Meta, Alphabet czy OpenAI. I być może w niektórych obszarach nie chcielibyśmy, żeby tak się działo, chcielibyśmy zachować prywatność i ochronę danych na poziomie obywatela, ale też na poziomie firmy czy państwa. Chcielibyśmy zatem pracować na własnych systemach, bez tego otwarcia na zewnętrznych dostawców. Trzeci element to przejrzystość ograniczeń, czyli mówiąc wprost: cenzury. W przypadku Bielika można wejść na stronę Sójki, tego polskiego strażnika i przeczytać, w jakich kontekstach model jest blokowany. Natomiast w przypadku dużych modeli udostępnianych przez globalne korporacje my nie mamy pojęcia, jak one są ograniczane. Niemal zero wiedzy. Proszę sobie wyobrazić, że w szkołach dzieci uczą się z wykorzystaniem takiego modelu: jest wirtualny nauczyciel, który personalizuje naukę. Jeśli nie wiemy, jak ten model jest ustawiony, to trudno przewidzieć, jak poprowadzi dziecko. To może być dramatyczne, jeśli część treści, dajmy na to z historii, zostanie wycięta albo omówiona z rosyjskiego czy niemieckiego punktu widzenia, a my nawet nie będziemy o tym wiedzieli. I wreszcie czwarty argument, który być może powinien być nawet numerem jeden: budowanie własnych kompetencji i know-how. Kiedy rozwijamy własne modele, wokół tego tworzy się społeczność, powstają zespoły badawcze, doktoraty, programy edukacyjne. Rosnie polska wiedza i polskie kompetencje w tej dziedzinie.

Co pana dziś w Bielik najbardziej cieszy, a co niepokoi?

Jestem pod wrażeniem tego, jak ten projekt się rozwija. Uczestniczę w nim od bardzo wczesnego etapu, kiedy zaangażowanych było dosłownie kilkadziesiąt osób, i powiem

Celem projektu „Obywatel Bielik” jest wspólne tworzenie największego w Europie, otwartego zbioru danych obrazów i opisów związanych z polską kulturą, tradycjami i codziennością

szczerze: nie sądziłem, że to się tak fantastycznie rozwinie. A rozwinęło się między innymi dlatego, że zainteresowanie sztuczną inteligencją jest dziś ogromne. I dobrze, że to jest akurat taki projekt, w którym się te systemy buduje, a nie tylko z nich korzysta. Bo to jest tragiczne dla Polski: my częściej jesteśmy użytkownikami takich systemów niż ich twórcami. Bielik na tym tle fantastycznie się wyróżnia. Nie ukrywam też, że robi wrażenie strategiczna współpraca z InPostem, widać wsparcie dobrego polskiego biznesu, które pomaga w rozwoju tej platformy. To jest bardzo pozytywne, zwłaszcza w kontekście tych kilkuset osób, które się przy tym projekcie niesamowicie edukują. Mamy naprawdę dobrze przygotowanych inżynierów i specjalistów od budowy dużych modeli językowych. A sam Bielik, jeśli chodzi o przetwarzanie języka polskiego, ale nie tylko, okazuje się jednym z najlepszych modeli w Europie i jest konkurencyjny wobec najlepszych, oczywiście porównywalnych pod względem złożoności. Mówimy o Bielik jako o małym, kompaktowym modelu rzędu kilkunastu miliardów parametrów, i to jest celowe: dzięki temu taki Bielik może działać nawet na „mocniejszym” laptopie.

Na czym konkretnie polega pana rola przy Bielik?

Moja rola jest marginalna. Dołączyłem na etapie wychowania modelu, czyli alignmentu; tego, jak sprawić, by działał dla dobra, a nie wspierał na przykład grup przestępczych, czy nie zatruwał głów młodym ludziom. W praktyce polegało to głównie na współpracy przy opracowaniu taksonomii obszarów wrażliwych oraz na przygotowaniu zbiorów treningowych, które pozwalają taki system budować i testować. Bardzo mocno zaangażowali się w to także moi studenci. Jeden ze zbiorów danych, które opracowaliśmy, służy do sprawdzania, na ile Sójka radzi sobie z ochroną. Nazwaliśmy go „Gadzi język”. To mój mały ukłon w stronę fascynacji literaturą profesora Tolkiena.

Co pana dzisiaj najbardziej porusza, ale też denerwuje w dyskusjach o sztucznej inteligencji w Polsce?

Irytuje mnie antropomorfizacja tych systemów i wzbudzania przez media głównego nurtu myślenia o tej technologii jako egzystencjalnego zagrożenia. Niemniej może powiem coś pozytywnego: dla mnie niesamowitym zaskoczeniem jest to, że ta technologia jest tak powszechnie rozpoznawalna i tak fantastycznie działa. Pamiętam lata 90., kiedy trochę wstydziłem się powiedzieć wprost, że się

tym zajmuję, bo bywało to traktowane niemal jak astrologia. Myślałem, że zostanie to najwyżej ciekawym obszarem badawczym, który nie przełoży się drastycznie na codzienność. A jednak tak się stało. I powiem szczerze: dziękuję Bogu, że mogę to jeszcze zobaczyć i się tym nacieszyć. I pragnę też wyraźnie podkreślić: rozwój tych technologii to klasyczne GPT, ale w tym znaczeniu z nauk o zarządzaniu, czyli general purpose technology - technologia ogólnego przeznaczenia, która dotyka wszystkich obszarów naszej aktywności: medycyny, edukacji, nauki i wielu innych. Która podnosi efektywność w kosztach, w czasie realizacji procesów, w utrzymaniu jakości i daje niesamowitą potencjał innowacyjny. Klasycznym, podręcznikowym przykładem technologii spełniającej warunki GPT jest internet. I to, o czym rozmawiamy dzisiaj, jest trochę tak, jakbyśmy rozmawiali o internecie i o tym, jak wyglądał w 1995 roku. Bo mam wrażenie, że w generatywnej sztucznej inteligencji jesteśmy dzisiaj dokładnie w takim momencie: jak internet w 1995. Czyli wszystko jest przed nami, rewolucja się dopiero wydarzy. I tak jak pani pewnie ma poczucie, że nie dało się nadażyć, kiedy internet zaczął naprawdę przyspieszać, pojawił się smartfon, media społecznościowe, zakupy online, tak w przypadku generatywnej AI to wszystko jeszcze przed nami. Naprawdę będziemy mieli szeroko otwarte oczy na to, co się wydarzy.

Co może się wydarzyć?

Zwykle dają studentom taki przykład. Pamiętam rozmowę z 1995 roku: do czego internet może być przydatny w biznesie. Moja i mojego kolegi wyobrażenia ograniczyła się do tego, że pomyśleliśmy: skoro są książki telefoniczne z adresami firm, to w internecie będzie taka przeglądarka, w której szybko wyszukam adres jakiejś firmy. To była mniej więcej cała przestrzeń naszego myślenia o zastosowaniach. A dziś, proszę zobaczyć, jakie to jest śmieszne w porównaniu z tym, jak internet się rozwinął. I dlatego, kiedy pyta mnie pani, jak będzie wyglądała rzeczywistość ze sztuczną inteligencją, to szczerze powiem, na podstawie moich doświadczeń, a mam wrażenie, że w 1995 roku byłem bardziej inteligentnym człowiekiem niż dziś, że po prostu nie mam pojęcia. To wszystko jest przed nami i trudno to sobie wyobrazić. Współczuję tylko dzisiejszym młodym ludziom. Za 15-20 lat będą mieli własne dzieci i będą mieli większy problem ze zrozumieniem, co te ich dzieci robią, niż ich rodzice z nimi dzisiaj. To będzie totalny odłot, przepaść pokoleniowa. Już dziś widzimy, jak trudno nadać za rozwój nowych technologii.



AKADEMIA
SZTUKI
WOJENNEJ
w Warszawie

Naszą potęgą
jest wiedza



TWÓJ KIERUNEK – TWOJA PRZYSZŁOŚĆ

administracja
bezpieczeństwo informacyjne i cyberbezpieczeństwo
bezpieczeństwo międzynarodowe i dyplomacja
bezpieczeństwo narodowe
bezpieczeństwo wewnętrzne
historia
kształtowanie odporności państwa
kryminologia
logistyka
logistyka w łańcuchach dostaw
lotnictwo
obronność i bezpieczeństwo granic
ochrona ludności i obrona cywilna
prawo
prawo służb mundurowych
zarządzanie i dowodzenie
zarządzanie kryzysowe i przygotowania obronne

poznaj
naszą
uczelnię



www.wojsko-polskie.pl/aszwj

**DZIEŃ
OTWARTY**
Akademii Sztuki Wojennej

27 marca 10:00

Klub Akademii Sztuki Wojennej
ul. Czerwonych Beretów 56
Warszawa Rembertów

Szkoła policealna daje możliwość zdobycia konkretnego zawodu. Nawet bez matury

Magdalena Konczal

Aby rozpocząć naukę w szkole policealnej, trzeba mieć wykształcenie średnie. Oznacza to, że kandydat do szkoły policealnej musi mieć świadectwo ukończenia liceum lub technikum. Co ciekawe, nie jest konieczne zdanie matury. Zatem szkoła policealna to znakomite rozwiązanie dla osoby, której np. nie powiodło się na egzaminie dojrzałości lub z różnych względów do niego nie przystąpiła.

W szkole policealnej mogą uczyć się również studenci, o ile ich plan lekcji nie koliduje z zajęciami na studiach. Szkoła dostępna jest również dla osób z tytułem licencjata czy magistra. Nie ma też górnej granicy wieku, do której można uczyć się w tego typu placówce.

Nauka w szkole policealnej trwa od roku (2 semestry) do dwóch lat (4 semestry), a nawet dwa i pół roku (5 semestrów) - w zależności od wybranego kierunku.

A tych obecnie oferuje się naprawdę wiele. Szkoły policealne dość szybko reagują na zmiany na rynku pracy - i tak w ciągu 2,5 roku można uzyskać uprawnienia technika dentystycznego, a po 3 semestrach nauki - technika bezpieczeństwa i higieny

pracy. Aby zostać florystą, wystarczy ukończyć 2 semestry nauki.

Czym się różnią szkoły policealne?

Potencjalny uczeń ma do wyboru:

- szkoły policealne publiczne,
- niepubliczne z uprawnieniami szkół publicznych,
- niepubliczne bez uprawnień szkół publicznych.

Czas trwania nauki dla poszczególnych zawodów w miejscu z uprawnieniami szkoły publicznej bądź w szkole policealnej publicznej, określa program Ministerstwa Edukacji i Nauki.

W szkołach publicznych oraz szkołach z uprawnieniami szkół publicznych uczniowie otrzymują legitymacje szkolne, które uprawniają np. do zniżek w komunikacji publicznej. Mają też prawo do bezpłatnych zaświadczeń do ZUS, KRUS i MOPS. Po ukończeniu edukacji absolwent dostaje natomiast świadectwo ukończenia szkoły na druku MEN, uznawane przez instytucje polskie i europejskie.

Ukończenie szkoły policealnej nie zmienia poziomu wykształcenia ucznia - nadal legitymuje się on wykształceniem średnim (lub wyższym, jeśli uczył się w szkole police-



FOT. 123RF

Praca florysty to zajęcie dla kreatywnej osoby, która pasjonuje się kwiatami i roślinami, ale też ma ogromną wiedzę na ich temat

alnej jako absolwent uczelni), jednak umożliwia zdobycie uprawnień zawodowych.

Słuchacze szkół publicznych - lub tych z uprawnieniami szkół publicznych - mogą podejść do zewnętrznych egzaminów zawodowych (czyli egzaminów potwierdzających kwalifikacje w zawodzie) i otrzymać świadectwo danej kwalifikacji.

Jeśli zaliczą wszystkie wymagane w danym zawodzie egzaminy - otrzymują dyplom potwierdzający kwalifikacje zawodowe oraz tytuł specjalisty lub technika.

Jak wygląda nauka w szkole policealnej?

W zależności od wybranego kierunku, w szkole policealnej zajęcia od-

bywają się w tygodniu - jak w zwykłej szkole średniej, popołudniami i wieczorami - aby umożliwić naukę osobom, które zamierzają łączyć szkołę z pracą zawodową lub też w trybie zaocznym - czyli w weekendy.

Co ważne, w szkole policealnej duży nacisk kładzie się na praktyczne przygotowanie do wykonywania zawodu. Słuchacz zdobywa więc praktyczną wiedzę i konkretne umiejętności. Wiele zajęć odbywa się w szkolnych pracowniach, słuchacze biorą też udział w praktykach zawodowych.

Jakie zawody po szkole policealnej?

Bogactwo propozycji szkół policealnych jest nieprzebrane. Ogromnym zainteresowaniem cieszą się wszelkie zawody związane z medycyną, a wymagające wykształcenia średniego i uprawnień zawodowych, np. asystentka stomatologiczna, higienistka stomatologiczna, technik masaży, technik usług kosmetycznych, opiekun medyczny.

Na liczne oferty pracy liczyć mogą osoby, które wybiorą kierunki związane z księgowością, rachunkowością, administracją. Dużym zainteresowaniem cieszą się kierunki artystyczne, związane z weterynarią, biznesem czy technologiami teleinformatycznymi.

REKLAMA

0011484493



www.umcs.pl



REKRUTACJA

UNIwersytet Marii Curie-Skłodowskiej
W Lublinie

Akademicki Lublin
 UMCS

Studia, praca czy gap year? Rok przerwy to świetny sposób na poznawanie świata i zdobywanie nowych umiejętności

Małgorzata Meszczyńska, MI

Gap year to w dosłownym tłumaczeniu „roczna dziura”. To czas pomiędzy ukończeniem szkoły średniej a podjęciem studiów lub pracy. Rozwiązanie to jest bardzo popularne w USA i taki wybór młodego człowieka spotyka się ze zrozumieniem, a nawet poparciem bliskich. Z gap year chętnie korzystają również maturzyści w Wielkiej Brytanii, Australii, Nowej Zelandii, Belgii oraz Danii.

Jak przekonują zwolennicy tego rozwiązania, czas wygospodarowany pomiędzy zdaniem matury a aplikowaniem na studia, można wykorzystać na zdobywanie nowych umiejętności i rozwijanie pasji, udział w kursach, szkoleniach albo naukę za granicą.

- To nie tylko kusząca wizja, ale też duże możliwości. Rok przerwy po ukończeniu szkoły średniej to ważna decyzja, którą należy dokładnie przemyśleć przed jej podjęciem, bo jak każde rozwiązanie, gap year też ma swoje wady - podkreśla Ethan, Brytyjczyk, który po rocznej przerwie w nauce, wybrał studia w Polsce.

Jak zaznacza Ethan, największym bodajże zagrożeniem, jakie płynie z gap year, jest to, że możemy mieć trudności z powrotem do nauki.



Jeśli dobrze zaplanujesz i wykorzystasz gap year, możesz zdobyć nie tylko cenne doświadczenia, ale też bezcenne wspomnienia

- Studiowanie wymaga systematyczności. Po rocznej przerwie czasami trudno wejść znów w ten tryb - przyznaje Ethan.

I właśnie tego najbardziej obawiają się rodzice polskich uczniów. Zachęcają maturzystów, żeby od razu rozpoczęli studia, żeby nie wybić się z rytmu, do jakiego przyzwyczała ich szkoła średnia.

Co można robić podczas rocznej przerwy w nauce?

Nie ma jednego, konkretnego scenariusza na wykorzystanie gap year. Istnieje wiele różnych sposobów na spędzenie gap year - od wyjazdu za granicę, po wolontariat w lokalnej spo-

łeczności. W założeniach rok przerwy to czas na znalezienie własnej ścieżki, wybór kierunku, w jakim chcemy się rozwijać, i branży, z którą zamierzamy związać się zawodowo.

Najpopularniejszym sposobem na wypełnienie gap year jest podróżowanie. To jedna z niewielu okazji, gdy człowiek jest już dorosły, ale jeszcze nie ograniczają go rodzinne czy finansowe zobowiązania. Bariery nie powinny być też koszty - ci, którzy decydują się na podróżowanie, tłumaczą, że wcale nie trzeba mieć dużych oszczędności, ani zamożnych rodziców.

- Trzeba mieć świadomość, że podczas podróży, będzie trzeba pracować

i zarabiać. Wbrew pozorom to wcale nie jest trudne. Dorywczą pracę, która pozwoli na podstawowe potrzeby i odłożenie pieniędzy na kolejny bilet, można znaleźć bez trudu. A to są również nowe, ciekawe doświadczenia. Człowiek bardzo szybko dojrzeje, uczy się samodzielności, dbania o samego siebie i ewentualnych towarzyszy podróży. To są cenne doświadczenia - mówi Iza z Poznania, która kilka lat temu, po maturze zdecydowała się na roczną przerwę w nauce.

Gap year po polsku

Paweł, student politechniki w Poznaniu także zdecydował się na gap year po maturze.

- Tak naprawdę nie wiedziałem, co chcę robić po maturze. Miotłem się. Rodzice podsuwali mi różne pomysły, a ja byłem zagubiony. W liceum nie odkryłem, co mnie interesuje. Przygotowania do matury nie sprzyjały temu, żeby zadawać sobie takie pytania. Zażyczyłem znajomym, którzy mieli sprecyzowane plany. Liczyłem na to, że zdam maturę i doznam olśnienia. Ale tak się nie stało. Po rozmowie z rodzicami zdecydowałem, że zrobię rok przerwy. Znalazłem pracę w pobliskiej kafejce, żeby nie być obciążeniem dla rodziców. Poszedłem na kurs językowy. W tym czasie też dużo czytałem. Nie jak dotychczas obowiązkowe lektury, ale książki, które sprawiały mi

przyjemność, albo czegoś uczyły. Z czasem dojrzałem do studiów technicznych i jestem z tej decyzji zadowolony - mówi Paweł.

Ostatni rok w szkole średniej nie sprzyja temu, żeby młody człowiek odkrywał samego siebie. To zwykle wyczerpany czas nauki, duża presja, pośpiech. Pomiedzy pisaniem sprawozdań, zaliczaniem przedmiotów i ćwiczeniem maturalnych testów, trudno jest zastanawiać się nad własnymi predyspozycjami i zainteresowaniami. Uczucie ulgi po zdaniem egzaminie maturalnym również nie trwa długo - szybko zastępuje je stres związany z rekrutacją na studia.

Kto ma sprecyzowane plany, ten w takiej sytuacji odnajdzie się raczej bez problemów. Inaczej sprawa wygląda w przypadku maturzystów, którzy nie są pewni swoich wyborów. Ten, kto decyduje się na studia tylko dlatego, że „tak wypada”, albo tego oczekują od niego bliscy, nie będzie czerpał z dalszej nauki żadnej przyjemności. O ile nie rzuci studiów w ich trakcie, to dyplom nie będzie znaczył nic więcej, jak zobowiązanie do brnięcia w kierunku, który nie przynosi satysfakcji.

Tymczasem gap year jest w ich sytuacji znakomitym rozwiązaniem. To czas, który pozwala na złapanie dystansu, sprawdzenie się w różnych rolach.

REKLAMA

0011490161



EUROPEJSKA UCZELNIA W WARSZAWIE

INFORMATYKA • ADMINISTRACJA • ZARZĄDZANIE • PRAWO
FILOLOGIA ANGIELSKA, HISZPAŃSKA, FRANCUSKA, NIEMIECKA

STUDIUM WYGODNIE I W KORZYSTNEJ CENIE

STUDIA INŻYNIERSKIE • LICENCJACKIE • MAGISTERSKIE
JEDNOLITE MAGISTERSKIE • PODYPLOMOWE • MBA • KURSY
KSZTAŁCENIE SPECJALISTYCZNE • SZKOLENIA **ON LINE**

RADZYMIŃSKA 230 • **EU.EDU.PL** • 22 371 03 30 • ZAPISY@EU.EDU.PL

Wyższa Szkoła Administracji Publicznej w Ostrołęce



WSAP

**Zdobądź
wiedzę
z nami**



Studia licencjackie

(trzyletnie, niestacjonarne)

- Administracja publiczna
- Służby porządku publicznego i kryminologia
- Rachunkowość i finanse publiczne

Studia magisterskie

(dwuletnie, niestacjonarne)

- Zatrudnienie i zabezpieczenie społeczne
- Gospodarka i samorząd terytorialny
- Porządek i bezpieczeństwo publiczne

Ponadto bogata oferta studiów podyplomowych

Skorzystaj z rabatów

Rabaty dla Kandydatów

- „Premia za refleks” **20%**
- „Premia Rodzina” **10%**

Rabaty dla studentów

- „Przyprowadź swoich znajomych” **200 zł**

Rabaty dla absolwentów

- „Absolwent” zniżka na studia II stopnia (magisterskie) **10%**
- „Absolwent” zniżka na studia podyplomowe **30%**
- „Absolwent” zniżka na drugą specjalność **70%**

Pomoc materialna dla studentów WSAP

- Stypendia socjalne
- Stypendia Rektora
- Stypendia dla osób z niepełnosprawnościami
- Zapomoga



29 760 68 86

Janusza Korczak 73, 07-409 Ostrołęka

Szczegółowe informacje: www.wsap.com.pl

ceni go za wiedzę i umiejętności. Ostatnio Czarnek, który jeszcze kilka miesięcy temu uchodził za tego, który ze wszystkimi w partii ma dobre relacje, wyraźnie stanął w szeregach „maślaczy”, bardziej radykalnych i konserwatywnych polityków PiS. Ci z czasem weszli w otwarty konflikt z „harcierzami”, czyli ludźmi Mateusza Morawieckiego. Fakt, że prezes postawił właśnie na tych pierwszych, świadczy o tym, że pozycja Czarnka jest w partii ugruntowana.

Cóż, co by nie myśleć o Przemysławie Czarnku, to jedna z najbardziej błyskotliwych politycznych karier ostatnich lat. Kiedy w październiku 2020 roku został nominowany na stanowisko ministra edukacji narodowej, niektórzy z niedowierzaniem kręcili głowami.

- Jestem naprawdę miłym człowiekiem i niezależnie od tego, jakie miałbym zajmowane stanowisko, będę kochał ludzi - przekonywał Czarnek w Polskim Radiu. Oponentów zapewniał, że „będzie się za nich modlił”, a wszystko z uśmiechem na twarzy.

Mógł mieć powody do zadowolenia: jego polityczna kariera nabierała tempa, a posłem był dopiero pierwszą kadencję, więc wydawałoby się, że powinien skupić się na zdobywaniu doświadczenia, tymczasem on parł do przodu. Ale, jak to mówią w PiS-ie, „w czasach rewolucyjnych kariery robi się szybko”, a Czarnka bardzo skutecznie wypromowały publiczne media. Był wojewodą lubelskim o dość radykalnych poglądach, prawnikiem z wykształcenia, więc świetnie sprawdzał się jako tak zwany ekspert. Szybko zyskał sporą popularność i ogólnopolską rozpoznawalność, ale też ciężko na nią pracował.

Ukończył II Liceum Ogólnokształcące im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie, a w 2001 r. studia prawnicze na Wydziale Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Potem rozpoczął studia doktoranckie na WPPKiA tej samej uczelni. W 2006 r. uzyskał stopień doktora nauk prawnych. Habilitował się również na WPPKiA KUL w 2015 roku. W 2003 został zatrudniony w Katedrze Prawa Konstytucyjnego KUL. Pracował także na Akademii Leona Koźmińskiego oraz w Wyższej Szkole Handlowej w Radomiu. W 2020 roku został profesorem uczelni na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Kiedy pięć lat wcześniej, pod koniec 2015 r., Przemysław Czarnek został wojewodą lubelskim, nawet część działaczy lubelskiego PiS było zaskoczonych. Czarnek dotąd nie brylował bowiem na politycznych salonach.

Sam Czarnek też mówił, że nie spodziewał się nominacji. Miał ją dostać cztery dni przed powołaniem.

Szybko pokazał, że nie zamierza stronić od rozgłosu i sze-



Przemysław Czarnek zasiadł w Sejmie obok Jarosława Kaczyńskiego. Tym samym „wygrzył” z tego miejsca byłego marszałka Sejmu Ryszarda Terleckiego. Po drugiej stronie prezesa PiS niezmiennie od lat miejsce ma Mariusz Błaszczak

roko komentowanych decyzji. W lutym 2016 roku usunął z Lubelskiego Urzędu Wojewódzkiego portrety swoich poprzedników z okresu komunistycznego. Z gabinetu zniknęła też flaga Unii Europejskiej. Tłumaczył, że decyzję podjął po tym, jak w UE „została wszczęta jakaś dziwna procedura badania praworządności Polski”.

- Dopóki ja tu rząduję, ja rządę tym gabinetem - ucinał pytania.

W lipcu 2018 roku zastąpił złożeniem zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przez dr. Grzegorza Kuprianowicza, prezesa Towarzystwa Ukraińskiego w Lublinie. Podczas uroczystości w Sahryniu historyk mówił o zamordowaniu tam w 1944 roku Ukraińców przez polskie oddziały partyzanckie. Ówczesny wojewoda lubelski uznał te słowa za „znieważanie narodu polskiego”. Postępowanie zostało umorzono.

Podczas konferencji na KUL mówił z kolei o kobietach, które zostają matkami po 30. roku życia: „Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana”.

W maju 2019 roku nagroził samorządowców, którzy głosowali za przyjęciem uchwały anty-LGBT. Właśnie w związku

z tematyką praw osób LGBT zwizisko wojewody lubelskiego coraz częściej zaczęło się pojawiać w mediach. W nagraniu na swoim kanale na YouTube o nazwie „Polska to nie wstyd” o Marszu Równości w Lublinie mówił, że takie inicjatywy służą promocji „zboczeń, dewiacji i wynaturzeń”. Bartosz Staszewski, aktywista LGBT i organizator marszu, pozwał Czarnka o zniesławienie i wygrał proces. Wobec Czarnka na KUL wszczęto wówczas postępowanie dyscyplinarne, ale je umorzono.

Przed wyborami parlamentarnymi pojawił się pomysł, żeby na listy PiS-u trafił także samorządowcy, bo wiadomo było, że ci listy wzmocnią. Czarnek na liście był drugi, zdobył rekordową ilość - ponad 87 tysięcy głosów, tak że przeskoczył nawet „jedynekę”.

Jego medialna aktywność jeszcze wzrosła, podobnie jak notowania u prezesa.

Były ponoć dwie sytuacje, kiedy Jarosław Kaczyński zwrócił na Czarnka uwagę. Pierwsza, kiedy ówczesna opozycja wyszła z wotum nieufności wobec ówczesnego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego. Czarnek go bronił i bardzo dobrze to zrobił. Potem szukano kogoś, kto doprowadzi do nowelizacji kodeksu wyborczego i dogada się z opozycją co do wyborów 28 czerwca. Padło na Czarnka i wywiązał się z tego zadania znakomicie.

Tyle tylko, że, jak dodaje, jak komuś idzie tak dobrze, tak szybko pnie się w górę, może potknąć się o własne nogi. I takie potknięcie Przemysław Czarnek zaliczył.

Wiosną 2020 roku poseł wszedł do sztabu wyborczego Andrzeja Dudy.

W czerwcu na antenie TVP Info, odnosząc się do osób reprezentujących środowisko LGBT, apelował: „Brońmy rodziny przed tego rodzaju zepsuciem, deprawacją, absolutnie niemoralnym postępowaniem. Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją”.

Po tych słowach prof. Ewa Łętowska, prawniczka i była rzeczniczka praw obywatelskich stwierdziła, że „nie godzi się pracownikowi naukowemu, prawnikowi w ten sposób mówić o ludziach, równości i prawach człowieka”. Czarnek tłumaczył potem, że jego wypowiedź została wyrwana z kontekstu, ale na jakiś czas zniknął z mediów, po prostu schowano go w kampanii.

Andrzej Duda wygrał wybory prezydenckie, a poseł Czarnek mógł dalej budować swoją polityczną karierę. Kiedy w Zjednoczonej Prawicy doszło do zgrzytów i wydawało się, że Solidarna Polska może opuścić

koalicję, typowano go na ministra sprawiedliwości, miałyby zastąpić Zbigniewa Ziobrę. Zjednoczona Prawica jednak przetrwała, a Czarnek został szefem nowego, połączonego resortu edukacji i nauki, co opozycja, ale nie tylko - uznała za prowokację.

Nominacja posła PiS i byłego wojewody lubelskiego Przemysława Czarnka na ministra edukacji i nauki wzbudzała wątpliwości nawet wśród niektórych działaczy partii.

Jakim był ministrem edukacji narodowej? Na pewno kontrowersyjnym.

Opozycja dwa razy (w 2001 i 2003 roku) składała wnioszek o odwołanie Czarnka ze stanowiska ministra edukacji i nauki. Minister został jednak obroniony przez sejmową większość.

Wszyscy jednak pamiętają, ile emocji wzbudził słynny już projekt ustawy „lex Czarnek” dający kuratorom oświatowym dużo większą niż wcześniej kontrolę nad szkołami - zarówno publicznymi, jak i prywatnymi, HiT i podręcznik do tego przedmiotu, inne reformy wprowadzane przez Przemysława Czarnka.

Partijni koledzy zawsze chwalili jednak Czarnka jako ministra edukacji narodowej, tak z sejmowej mównicy, jak na sejmowych korytarzach. Według prezesa Kaczyńskiego, Czarnek jako minister edukacji „walczył z ofensywą głupoty

i szaleństwa, by polskiej oświacie przywrócić charakter służby narodowi”. Inni też podkreślali jego zasługi dla polskiego szkolnictwa. Zdanie opozycji jest powszechnie znane. A zdanie Polaków?

Sondaży jest wiele - wszystkie podobne. W tym, który na zlecenie „Wprost” we wrześniu 2025 roku przeprowadziła pracownia SW Research, zapytano respondentów, kogo uważają za najgorszego ministra edukacji w XXI wieku. Pierwsze miejsce w tym zestawieniu, z dużą przewagą nad pozostałymi politykami, zajął nie kto inny, a Przemysław Czarnek - miał 42,9 proc. wskazań.

Na drugiej pozycji uplasowała się Barbara Nowacka, kolejne miejsca w sondażu to: Roman Giertych, Anna Zalewska, Joanna Kluzik-Rostkowska oraz Dariusz Piontkowski.

Ministerialną karierę, póki co, Przemysław Czarnek ma już jednak za sobą. Teraz ważniejsze przed nim zadanie - ma zostać premierem. Wcześniej jego nazwisko wymieniano się wśród tych, którzy zostaną kandydatami PiS-u w wyborach prezydenckich, ostatecznie prezes postawił na Karola Nawrockiego. Pytanie, czy i tym razem Jarosław Kaczyński, oczywiście, jeśli PiS wygra wybory albo będzie potrafiło stworzyć parlamentarną większość, w ostatniej chwili nie wskaże innego szefa rządu.

ODDALI STOMILOWI NAJLEPSZE LATA ŻYCIA. „ŚWIAT NAM SIĘ ZAWALIŁ”

92 osoby otrzymały wypowiedzenia. - Wstrząsnęło to nami bardzo, że nagle staliśmy się niepotrzebni. Pracowaliśmy za najniższą krajową, żeby firma przetrwała. Nie dostaliśmy żadnej pomocy! Dziś walczymy o resztki godności - żali się załoga legendarnego zakładu

Agnieszka Domka-Rybka

Co nas jeszcze tutaj trzyma na pełnych obrotach? Na pewno jest to pani wizyta, ponieważ mamy się przed kim otworzyć, wyzaliczyć i szczerze powiedzieć o emocjach, które nami targają. Choć, naprawdę, trudno ubrać w słowa, co czuje załoga. Cały czas rozmawiamy z zarządem, dopinamy szczegóły, co firma może zaoferować zwalnianym pracownikom - mówi Janusz Dalecki z likwidowanego zakładu węży przemysłowych w bydgoskim Stomilu, w którym spędził aż 37 lat. Gdy się zatrudnił, załoga liczyła 2000 osób.

- Atmosfera jest adekwatna do sytuacji. Widzę również po sobie, że jest coraz gorzej, choć o tym, co może się stać, wiedzieliśmy od zeszłego roku. Nie sposób przygotować się na coś takiego. Jeśli trafi takiego pracownika, jak ja, z prawie 40-letnim stażem, nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić. Gdy świat się wali człowiekowi! To dla nas bardzo przykre, że staliśmy się niepotrzebni - mówi Dalecki, który jest również członkiem Niezależnego Związku Zawodowego Pracowników Bydgoskich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil” SA.

Więź z firmą

Siedzimy w biurcu Stomilu przy ul. Toruńskiej w Bydgoszczy. Naprzeciwko Daleckiego - Andrzej Sarnecki, szef związku: - Wiesz co, Janusz? Przez pierwszy tydzień to się będę czuł jak na urlopie, ale potem... to sobie nawet nie potrafię wyobrazić.

- Nie ma co się dziwić, że ludzie poszli na L4, nie wytrzymali, przez ten stres można skończyć w psychiatryku - wtrąca się Radosław Lubiszewski, wiceprzewodniczący organizacji związkowej. W Stomilu pracuje, jak pan Andrzej, od 38 lat, a konkretnie w zakładzie produkcji mieszanek gumowych. To serce całej firmy, gdzie powstaje półprodukt do produkcji w pozostałych zakładach.

- Nigdy nie byłem bezrobotny. Przeżyliśmy wielki kryzys światowy, kiedy wielu Pola-

ków straciło pracę. Jakoś daliśmy radę w pandemii. A zamykają nas w czasie, gdy podobno Polska jest 20. gospodarką świata. Gdzie tu logika? - pyta pan Radosław. Na co tak reaguje pan Janusz: - Przeżyliśmy trudne lata 90. ub. wieku i początek 2000. Wtedy zamykanie zakładów państwowych było traktowane prawie jak hobby rządzących, cel sam w sobie. Myśmy to przetrwali bez zwolnień grupowych, a teraz one są. Wydarzenia na świecie też miały wpływ na ten biznes.

W 2024 r. Rosja zaatakowała Ukrainę i doszło do aneksji Krymu.

- Robiliśmy wtedy interesy z Belarusem na Białorusi (producent ciągników - red.). Szło tam 120 km naszych węży miesięcznie. Nagle kraje, jak m.in. Polska, wprowadziły sankcje. Efekt? Koniec naszych węży na Białorusi! Zaś co robi włoski Semperit, znany producent opon? Otwiera na Białorusi fabrykę takich samych węży, jak bydgoskie - komentuje sytuację pan Janusz.

Ponadto, jak wiele innych firm, Stomil zaczął przegrywać z tanią konkurencją z Azji, choć jak twierdzą związkowcy, chińskie wyroby nie spełniają norm oraz wymogów środowiskowych: - Za to od nas wymaga się nie wiadomo jakich certyfikatów!

Co jeszcze mogło osłabić Stomil? - Zmieniające się zarządy, trzy, a nawet cztery w trakcie jednej kadencji. Przychodzi nowy prezes. Nie wiadomo, czy będzie tydzień, miesiąc czy pół roku, a potem odejdzie do innej spółki. Tacy ludzie nie czują nawet więzi z firmą, nie zależy im. Każdy z nas dużo widział, co się działo - tak to postzegła Lubiszewski.

- Rzekomo dostaliśmy dużo pieniędzy pomocy publicznej, które skonsumowaliśmy. Ale nie była to żadna pomoc, a wyprzedawanie własnego majątku, żeby utrzymać firmę. Kupowała go Agencja Rozwoju Przemysłu (właściciel Stomilu) w ramach struktur swoich spółek córek. ARP Operator zajmuje się nieruchomościami. Produkowaliśmy, płaciliśmy

podatki, ludzie mieli pracę. Dla kontekstu całej sprawy ważne jest, że większość zarabiała minimalne wynagrodzenie, choć pracowali w trudnych warunkach, które wraz z latami wcale się nie poprawiały, a wręcz przeciwnie. Załoga godziła się na to przez szczególną więź ze swoim zakładem. Tutaj pracują osoby, których średnia wieku sięga ponad 50 lat, wcześniej pracowali ich rodzice, a dziś zdarzają się sytuacje, że mąż i żona - teraz oboje tracą dochody. Mamy prawo czuć się rozżaleni i nadal próbujemy ratować firmę. My już nie walczymy o godność, a o resztkę godności - uważa Delecki.

26 lutego 92 pracowników z liczącej 134 osoby załogi otrzymało wypowiedzenia. Zostało jedynie 40 osób, a wśród nich tylko 15 pracowników produkcji.

Pracownicy: „Kaźcie nam cokolwiek zrobić”

Jednak atmosfera zaczęła się robić gorąca już jesienią 2025 r. Związkowcy przygotowali postulaty, propozycje dla zwalnianych pracowników i przedstawili je właścicielowi. - Nie znalazły uznania, bo ponoć były „rozdmuchane”, „za duże”. Zrobiliśmy więc korektę i dostaliśmy pismo z ARP z informacją,

że nasze propozycje zostały przyjęte i uwzględnione we wniosku otwarcia sanacji - mówi Andrzej Sarnecki.

Dodajmy, że od 17.12.2025 r. spółka znajduje się w postępowaniu sanacyjnym.

Wśród postulatów jest m.in. jednorazowa odprawa dla zwalnianych pracowników w wysokości 12 400 zł brutto na osobę, pokrycie kosztów obowiązującej polisy ubezpieczenia grupowego do końca okresu jej obowiązywania, tj. do października 2026 r. (84 000 zł), wypłatę nagród jubileuszowych (306 000 zł) i uruchomienie programu aktywizacji zawodowej dla zwalnianych.

9 marca prezesa i związkowców zaproszono na spotkanie w ARP. - Mieliliśmy wielkie nadzieje, ale z Warszawy wróciliśmy, niestety, na tarczy - ocenia pan Janusz. - Usłyszeliśmy, że nie ma pieniędzy na spełnienie naszych nowych, choć wcześniej zaakceptowanych, propozycji. Usłyszeliśmy, że ARP nie jest stroną naszych oczekiwań i zarząd również nie, więc pytam: kto jest w takim razie? Państwo nie ma pieniędzy dla jednego polskiego producenta węży wysokociśnieniowych i przewodów hydraulicznych?

- Zginie ta technologia, profil produkcji i cała wiedza na ten

temat. Wiele razy wspominaliśmy, że mieliśmy również produkcję wojskową. Powiedzieliśmy w ARP, że państwo może mieć u nas gotowe hale, struktury zatrudnienia, pracowników, uzbrojony teren, tylko „kaźcie nam cokolwiek zrobić”. Mamy niedaleko Belmę, Nitrochem. Ale nie... lepiej zamknąć niż pomóc, jak np. Pesie, która niesamowicie się rozwinęła po przejęciu przez Polski Fundusz Rozwoju. Napisałiśmy pismo do wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, a nawet prezydenta RP. Byliśmy wszędzie. Na WRDS chcieli nam pomóc wejść na listę dostawców dla NATO. Jednak ówczesny zarząd tego nie wykorzystał, a kiedyś spytaliśmy, jako związkowcy: „Panie prezesie, jak daleko jest posunięta sprawa z NATO?” Odpowiedź: „To nie jest takie łatwe”. Mieliliśmy zainteresowanych inwestorów, ale nie za takie pieniądze, jakie ARP chciała. Proponowaliśmy, żeby nas za przyszłową złotówkę oddali - opowiada Andrzej Sarnecki i podsumowuje: - Pieniądze na wypłaty za marzec, ustawowe odprawy i odszkodowania za skrócony okres wypowiedzenia, będą pochodziły z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych, ale szczegółów nie znamy.

Prezes: „To była trudna, ale konieczna decyzja”

10 marca pojechałam do Stomilu. Spotkałam się także z prezesem, który akurat gościł inwestora z Litwy.

- Pomimo naszej trudnej sytuacji, w której się znaleźliśmy, chciałem tylko pokazać, że mamy w tym tygodniu wizyty z zagranicy. To jest firma litewska, nasz największy kontrahent. Próbujemy w dalszym ciągu robić biznes na naszych gumowych wykładzinach i profilach - powiedział Krzysztof Molen, od sierpnia 2025 r. prezes Stomilu.

Wcześniej mówił, że jako prezes podjął wiele aktywności zmierzających do przywrócenia płynności oraz utrzymania Stomilu w całości lub przynajmniej części: - Efektem jest przemyślany plan restrukturyzacyjny, dający realne szanse na kontynuację działalności, jednakże tylko w rentownym obszarze produkcyjnym (płyt gumowych) oraz handlowym. Ostatecznie podjęto trudną, aczkolwiek konieczną decyzję o zwolnieniach grupowych, którymi do końca lutego zostało objętych 92 pracowników.

W sprawie Stomilu interweniuje radny Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego, Jarosław Wenderlich. W jego interpelacji do marszałka (z 10.03.), czytamy m.in.: „Stomil to czołowy polski producent wyrobów gumowych (...). To przedsiębiorstwo ze 100-letnią tradycją (...). Niestety, 26 lutego w przestrzeni publicznej pojawiła się informacja, iż 92 pracowników Stomilu Bydgoszcz otrzymało wypowiedzenia z pracy. Aktualnie sytuacja spółki jest trudna i bez wątpienia wymaga wsparcia”. Radny liczy, że władze województwa podejmą działania mające na celu ratowanie miejsc pracy.

Oczywiście, będziemy się temu przyglądać.

Z pytaniami o sytuację w Stomilu zwróciłam się do Agencji Rozwoju Przemysłu, ale - do publikacji tego artykułu - nie otrzymałam odpowiedzi. ©



Zakład produkcji węży Z-2. Pan Szymon jest wśród 92 pracowników z wypowiedzeniami

FOT. AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

NOWY BLASK „SĄDU OSTATECZNEGO” HANSA MEMLINGA

Najcenniejsza perła Muzeum Narodowego w Gdańsku, tryptyk „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga, wróci w 2027 r. po konserwacji w nowej odstonie

Mariusz Grabowski

Muzeum otrzymało właśnie 665 tys. zł od Ministerstwa Kultury na adaptację parteru Oddziału Sztuki Dawnej na potrzeby nowej wystawy „Sąd Ostateczny”. Tryptyk zyska więc nie tylko dawny blask, ale i nowe, wygodne dla zwiedzających miejsce ekspozycji.

Trzyma się dobrze

„Sąd Ostateczny” zniknął z wystawy w Muzeum na początku 2025 r. i przechodzi obecnie szczegółowe badania i zabiegi konserwatorskie. Nie chodzi jednak tylko o poprawę kondycji wiekowego dzieła, ale także o jego lepszą dostępność dla publiczności w przyszłości w nowej, specjalnie dedykowanej obrazowi przestrzeni, gablocie i otoczeniu. Zobaczmy na niej nie tylko „Sąd Ostateczny”, ale także średniowieczne paramenty liturgiczne, czyli przedmioty służące obrędom religijnym.

Ponowna ekspozycja to niełatwe zadanie dla muzealników – ze względu na wiek (ma ponad 550 lat), wymiary (rozłożony tryptyk ma wymiary ok. 3 na 3,6 m) i użyte materiały – obraz musi być utrzymywany w specjalnych warunkach, a każda, nawet najdrobniejsza zmiana, może mu zaszkodzić. Trudno to połączyć z takim systemem prezentacji, który umożliwia oglądanie dzieła z bliska i z różnych stron.

Co ciekawe, mimo burzliwych dziejów nigdy nie uległ poważnym zniszczeniom, a jego dobry stan wynika m.in. z perfekcyjnie dopracowanej techniki malarstwa stosowanej w XV-wiecznych Niderlandach.

Historia powrotów

Przypomnijmy: „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga to tryptyk tzw. ołtarzowy, namalowany na desce między 1467 a 1471 r. Obraz miał popłynąć do Florencji, ale podczas rejsu zrabowali go korsarze pod dowództwem gdańskiego kapra Pawła Beneke



„Sąd Ostateczny” zniknął z wystawy w 2025 r. i przechodzi szczegółowe badania i zabiegi konserwatorskie

– w efekcie znalazł się w bazylice Mariackiej w Gdańsku.

Za czasów Napoleona Francuzi wywieźli „Sąd” do Luwru jako zdobycz wojenną. Po klęsce Cesarza został rewindykowany do Berlina, aby wreszcie w 1817 r. wrócić do Gdańska.

Po wojnie został przejęty przez Rosjan w Turynii i umieszczony w leningradzkim Ermitażu. Po raz kolejny wrócił do Gdańska w 1956 r. i ostatecznie umieszczony w Muzeum Narodowym. W Bazylice Mariackiej zawisła jego kopia dla turystów.

Pod mikroskopem

Jak czytamy na stronie Gdansk.pl, oficjalnym portalu Muzeum, równoległe z przygotowywaniem nowej przestrzeni wystawienniczej, nad obrazem prowadzone są specjalistyczne badania. Nad obrazem pracują zarówno kustosze z Oddziału Sztuki Dawnej, jak i badacze z innych ośrodków w Polsce, m.in. z Centrum Memlingowskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Dzieło jest poddawane szczegółowym analizom z wykorzystaniem mikroskopii skaningowej

o wysokiej rozdzielczości, co pozwoli zidentyfikować ewentualne mikrouszkodzenia powierzchni malarstwa.

Równoległe prowadzona będzie pełna digitalizacja obrazu zgodna ze standardami dokumentacji konserwatorskiej. „Im głębiej bada się historię danego obiektu i epoki, w której powstał, czy jego zleceńodawców, tym więcej można znaleźć różnych zagadek, mylących tropów. Także tutaj jest wciąż wiele do odkrycia, jeżeli chodzi o symbolikę, o historię i znaczenie jego w Gdańsku” – tłumaczy Magdalena Mielnik, kuratorka oddziału Sztuki Dawnej MN w Gdańsku.

Memling kombinuje

Od strony technicznej dzieło Memlinga wciąż budzi podziw konserwatorów. Powstało na desce w technice temperowo-olejnej, w tzw. technice mieszanej. Na białą kredowo-klejową zaprawę, tradycyjną dla malarstwa sztalugowego, nałożony został rysunek od ręki. Do jego wykonania użyte zostały rozmaite narzędzia, m.in. węgiel drzewny, czarne łupki i stylus.

na poliptyku Rogiera van der Weydena „Ołtarz Sądu Ostatecznego”, które wisi dziś w Hôtel-Dieu, historycznym hospicjum we francuskim Beaune. Dotyczy to przede wszystkim panoramy, motywu miecza i lilii obok Chrystusa oraz przedstawień donatorów z Matką Boską i Archaniołem.

Memling dokonał kilku znaczących poprawek: zniwelował złote tło, zaś dobro na wadze Michała Archanioła ukazuje, inaczej niż Rogier, jako „cięższe”. Początkowo wzrok Anioła skierowany był wprost na patrzącego, jak u van der Weydena. Później jednak autor, prawdopodobnie już w trakcie pracy nad tryptykiem, zmienił koncepcję.

Nawiązania do van der Weydena sprawiły, że nie zawsze uznawano Memlinga za autora „Sądu”. Wielu twierdziło, że namalowali go bracia van Eyck. Na dobrą sprawę dopiero w XIX w. – za sprawą Heinricha Gustava Hotho – uznano opcję Memlingowską za obowiązującą, a naukową kropkę nad i postawił w 1901 r. niemiecki historyk sztuki Aby Warburg.

Pokolenia uczonych

Wróćmy do współczesności i technologii. Co oznacza w konserwacji technologia badania mikroskopem skaningowym? To technika, która pozwala na precyzyjne ustalenie miejsc niezauważalnych dotychczas defektów obrazu. Chodzi m.in. o odspojenia i rozwarstwienia malarstwa. Po ich ustaleniu możliwe jest wdrożenie konkretnych działań konserwatorskich. Na szczęście, jak już wiemy, tryptyk trzyma się zadziwiająco dobrze.

To nie pierwszy raz w historii, gdy tryptyk zostaje otoczony szczególną troską. Prof. Beata Możejko, dyrektor Centrum Badań Memlingowskich Uniwersytetu Gdańskiego twierdzi, że pierwsze prace konserwatorskie obrazu podjęto już w 1718 r. Kolejną renowację podjęto w Berli-

nie po upadku Napoleona. Z kolei „w leningradzkim Ermitażu obraz był poddany zabiegom renowacyjnym dwukrotnie: w 1947 i 1955 przez konserwatora malarstwa bizantyjskiego prof. Fedora Antonowicha Kalikina” – pisze prof. Możejko.

Kierunek: Rzym

Renowacja Kalikina była na tyle skuteczna, że od czasu kiedy tryptyk wrócił do Gdańska w 1956 r. nie wymagał prac restauracyjnych. Jedynie w 1957 r. przeprowadzono badania, w trakcie których wykonano fotografie, w tym w podczerwieni i ultrafioletach. W 1964 r. obraz był badany w Królewskim Instytucie Dziedzictwa Artystycznego w Brukseli. Od strony technicznej „uznano stan za zadowalający”.

Tym dziwniejszy był więc fakt, że gdy w 2014 r., gdy w rzymskiej galerii Scuderie del Quirinale otwarto wielką wystawę „Hans Memling. Rinascimento Fiammingo”, „Sąd Ostateczny” pozostał w Gdańsku, choć wyznaczono zań nawet kwotę ubezpieczenia – w podróży do Rzymu miałyby wynosić 80 mln euro. Tym samym pierwszy w historii zbiór rozproszonych po świecie dzieł Memlinga nie doszedł do skutku.

Spekulowano o złym stanie tryptyku, ale latem 2015 r. eksperci z dwóch instytucji krakowskich przeprowadzili badania specjalistyczne, m.in. wykonali zdjęcia o bardzo dobrej rozdzielczości i ocenili stan obrazu jako „dobry”.

Nigdy nie wyjedzie?

Sprawa z 2014 r. do dziś budzi emocje wśród części konserwatorów. Wtedy dyskusja przetoczyła się przez łamy prasy i telewizyjne serwisy. „Dlaczego »Sąd Ostateczny« nie jest prezentowany w Rzymie? Bo ukradli go piraci i uprowadzili do Gdańska”. „To drugie porwanie w jego historii” – pokpiwano.

Sprawa była jednak poważna. „Nie ma sposobu, który uchroniłby przewożone obiekty przed skutkami drgań i przeciążeń, do jakich dochodzi w trakcie transportu” – uważała wówczas prof. Bogumiła Rouba z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. I dodawała: „Dowodem na ich istotny wpływ był choćby stan zachowania tryptyku Memlinga po powrocie ze Stanów Zjednoczonych i Wiednia (podróżował od sierpnia 2002 r. do marca 2003 r. – przyp. red.). Jest to najważniejszy element wykluczający bezpieczne podróżowanie tego tak ważnego i cennego dzieła sztuki”.

Ponadto, według prof. Rouby, gdy tryptyk zostaje otoczony szczególną troską. Prof. Beata Możejko, dyrektor Centrum Badań Memlingowskich Uniwersytetu Gdańskiego twierdzi, że pierwsze prace konserwatorskie obrazu podjęto już w 1718 r. Kolejną renowację podjęto w Berli-

FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Program „Kwiatki Polskie Duże” miał w TVP swoją premierę w niedzielę 8 marca i zaczęli państwo z przytupem: od tematu SAFE, szefa NBP i prezydenta. Na początek zapytam: do kogo skierowany jest ten program?

Grzegorz Markowski: Udzielię niepoprawnej i niemarketingowej odpowiedzi: dla mnie ten program jest przede wszystkim dla nas. Tak długo, jak mamy poczucie, że jest zgodny z naszą wrażliwością, z naszym poczuciem humoru. Rynek zmusza nas do tego, żeby najpierw wyobrazić sobie idealnego odbiorcę, a potem zacząć coś dla niego wymyślać. Idealni odbiorcy nie istnieją, więc może lepiej pozostać w kontakcie ze sobą i własną uczciwością i na tej podstawie coś robić.

Katarzyna Kasia: Mam trochę inaczej, bo zawsze myślę, że to jest program dla mojej mamy, dla mamy Grześka, że ogląda go moja córka z koleżankami. Kiedy myślę o odbiorczyńiach i odbiorcach naszego programu, widzę właśnie takich ludzi, którzy chcą się na chwilę zatrzymać, uśmiechnąć, ale też pomyśleć. Nie chodzi nam o to, żeby być komikami, bo nimi nie jesteśmy. Chodzi o to, żeby w tej naszej skomplikowanej i coraz bardziej komplikującej się rzeczywistości trochę ludzi rozbawić, żeby choć przez moment mieli poczucie, że jest im cieplej niż na co dzień, ale nie gorąco ze złości. Tego to nie chcemy.

Czy tak poważny temat jak SAFE zainteresował Polaków? Gdy nauczycielka wyrzuciła do kosza chińską plastikową zabawkę, powstało wielkie oburzenie, że wyrzuciła krzyż do śmieci. Bo nieważne są szczegóły, ważne jest samo zawołanie.

K. K.: Żyjemy w czasach nagłówek, w czasach, w których rządzą clickbaitowe tytuły w internecie. Bardzo często wyświetla się nam jakaś informacja, jakaś łamiąca wiadomość, która ma zmienić nasze życie, po czym okazuje się, że to bzdura, humbug. Postanowiliśmy z tym trochę powalczyć. Chcemy pokazać ludziom, że czasami za tymi clickbaitami może stać po prostu dobry żart i że jest to coś, przy czym warto się spotkać. Żarty są po to, żeby w świecie, który jest tak bardzo złożony, można było się po prostu chwilę pośmiać. Śmiech jest najlepszą bronią przeciw strachowi. A my się bardzo boimy różnych rzeczy. Natomiast, nawet kiedy superpoważny, wojskowy temat bierze się na warsztat komediowy, okazuje się, że z tego balonika, który w nas rośnie, z tego napięcia, też można wypuścić trochę powietrza.

O programie „Kwiatki Polskie Duże”, śmiechu, który zamiast odrywać od rzeczywistości, ma pomagać ją oswoić i lepiej zrozumieć, o potrzebie wspólnoty i odróżnianiu prawdy od fałszu – mówią prowadzący Katarzyna Kasia i Grzegorz Markowski

Anita Czapryn



Grzegorz Markowski i Katarzyna Kasia prowadzą w TVP program „Kwiatki polskie”

CHCĄ DAĆ WIDZOM CÓŚ WIĘCEJ, NIŻ POLITYCZNA SZYDERĘ

G. M.: Słusznie pani zauważa, że na poziomie nagłówka temat polskiego SAFE o proc. jest bardzo poważny. O czym poważniejszym można mówić niż o bezpieczeństwie, kupowaniu broni na wypadek wojny? Tylko problem polega na tym, że osoby, które zajmują się tym zawodowo i za pieniądze, osiągają już takie poziomy absurdu, że właściwie nie wiem, kto bardziej jest przerysowany i zabawny: czy my, udając, że rozmawiamy z prof. Glapińskim i prezydentem, czy te dwie

z najpoważniejszych osób w kraju, które wychodzą na scenę i mówią rzeczy będące od początku do końca PR-ową zagrywką. Ustalenie, gdzie tu właściwie jest humor, też jest ciekawym wyzwaniem.

Satyryk musi jeszcze coś wymyśleć, czy wystarczy, że będzie spisywał to, co mówią politycy?

G. M.: Wydaje mi się, że rola satyryka za każdym razem jest taka sama. To jest, wbrew pozorom, przywracanie tego, co

niedawno kolega minister Czarnek zwał normalnością. To znaczy: musimy próbować pokazać ludziom, że po pierwsze, nie oszaleli, że ich przeczucie, gdzie jest góra, a gdzie dół, jest słuszne, i my próbujemy to nazwać. A czy to polega na rozbajaniu nieśmiesznych żartów polityków, czy na pokazywaniu, że wbrew własnym intencjom są śmieszni, to już tylko narzędzie. Istota jest taka, że my tutaj próbujemy mówić, jak ten świat, mimo tego co się z nim dzieje, naprawdę wygląda.

K. K.: Jest jeszcze jeden aspekt, który jest dla nas bardzo ważny: programy tworzą wokół siebie społeczność. Zależy nam na tym, żeby ludzie nawzajem się zobaczyli. Czytamy wiele wiadomości od ludzi, którzy piszą: „Dzięki wam wiem, że nie oszalałem”, „Wiem, że są inni ludzie, którzy myślą podobnie”. To jest nasze doświadczenie od wielu lat: że media tradycyjne, o których mówi się, że znikają, wciąż mają doniosłą rolę wspólnototwórczą, mogą wokół siebie jednoczyć ludzi.

Kiedy do naszego programu przychodzi publiczność, żeby usiąść z nami w studiu, mamy takie osoby, które są z nami od początku, bez których właściwie nie zaczęlibyśmy tego programu. I to nie są nasze ciocie ani mamy, tylko ludzie, których wcześniej nie znaliśmy. Po prostu przychodzą, bo czują, że to jest dobre miejsce, w którym można się pośmiać, ale czasami też zadumać. Bo w tych programach są również momenty do namysłu.

Akurat 8 marca dowiedzieliśmy się, że kandydatem PiS na premiera ma być polityk, który miejsce kobiet widzi w kuchni, a ich celem powinno być rodzenie dzieci. Jak państwo to na gorąco skomentują?

K. K.: Myślę, że sam gest Jarosława Kaczyńskiego, polegający na zaprezentowaniu Przemysława Czarnka, jest wyrazisty na bardzo wielu poziomach. Pokazuje, w którą stronę chce pójść Prawo i Sprawiedliwość, gdzie będzie szukać nowych wyborców i że będzie próbowało wejść w rodzaj konkurencji z Konfederacją i to z obiema jej odłogami. Przy czym dla mnie bardzo emblematyczne jest również to, że Przemysław Czarnek od początku był tym politykiem Prawa i Sprawiedliwości, który nie wykluczał współpracy z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Nawet jeśli prezes się od tego odżegnywał, to pan Czarnek podkreślał, że to i tak lepsze niż współpraca z kimkolwiek innym, a już zwłaszcza z Koalicją Obywatelską. No i jeszcze przemówienie Przemysława Czarnka, to wezwanie do normalności. Kiedy myślę o prezentach na Dzień Kobiet i przypominam sobie, co pan Czarnek miał kobietom do powiedzenia choćby wtedy, kiedy był ministrem edukacji, to mam poczucie, że jest to również bardzo wyraźne przypomnienie tego, co było najgorsze w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy. Przemówienie, w którym kładł nacisk na to, co nazywa normalnością, było bardzo znaczące. I myślę, że teraz będziemy tego w przestrzeni publicznej mieli o wiele więcej, bo okaże się, że mamy dążyć do normalności, która tak naprawdę jest niezdefiniowana. Nikt nie mówi, co to jest normalność i na czym ona polega, bo, patrząc na to antropologicznie, ta kategoria nie ma sensu. Wiadomo, że w każdej kulturze normalność będzie definiowana trochę inaczej i nie można tego zawęzić do czarnkowej wizji normalności, ponieważ ona nie jest ani adekwatna, ani sama przez się zrozumiała dla wszystkich. Kiedy więc ktoś mówi „normalność”, to dla mnie jest to pojęcie puste. A odnoszenie

praw kobiet do tego, że mają dbać o demografię i mnożyć się jak dziki w kukurydzy, zamiast studiować...

G. M.: ...i to nie jest żart Kasi.
K. K.: To są słowa pana Przemysław Czarnka. Moim zdaniem to jest pójście na zwarcie. Taki kandydat, jak mówią media, wyrazisty, oznacza wejście w otwarte starcie z całą sceną liberalną. Zobaczmy, jak to będzie wyglądało.

G. M.: Powiedziałaś, że chodzi o łowienie nowych wyborców...

K. K.: ...albo odzyskiwanie starych.

G. M.: No właśnie, więc możemy powiedzieć, że to nie jest łowienie nowych, tylko w tej chwili jest to walka o ten sam elektorat, który się przesunął na prawo. Jeśli spojrzeć na to rynkowo, to gdy trzy marki walczą o tego samego konsumenta, to będą musieli się na tym samym terytorium dzielić już nie na dwie części, ale na trzy. Życzę tej stronie, żeby o swój elektorat walczyła, wykańczając się nawzajem. Jak ujrzałem te pierwsze słowa przemówienia, a przede wszystkim tę formę, ten ton, to bardzo przypomniał mi się PRL: aparaczkicy, którzy wykrzykują bardzo przewidywalne zdania. Bardziej chodzi o wezwanie własnej bazy: chodźcie, będziemy teraz maszerować, wiadomo, gdzie jest wróg. Jeśli wcześniej mówiliśmy o bardziej ponurym obrazie polskiej sceny politycznej, to jedno jest pewne: będziemy mieli jeszcze więcej chamstwa niż dotychczas. To jest specjalizacja Czarnka. To jest cham.
K. K.: To jest jeszcze tak bardzo nacechowane przemocą. Myślę, że ten kandydat bierze się stąd, że we wszystkich analizach powtarzano, iż czarnym snem Jarosława Kaczyńskiego jest sytuacja, w której ktoś okraża go z prawej strony. Mógł dopuszczać, że coś dzieje się po lewej, że tworzy się jakieś centrum, ale nie, że z prawej strony. I nagle znalazł się w sytuacji koszmarniej, bo z jednej strony ma Konfederację, a jeszcze dalej na prawo jest miejsce dla Grzegorza Brauna.

G. M.: Koszmarny sen Jarosława Kaczyńskiego się spełnił.

Dziś wiele wydarzeń jest jednocześnie śmiesznych i strasznych. Wystarczy posłuchać, co robi Donald Trump: nie dostał Pokojowej Nagrody Nobla, więc rozpętuje wojnę na Bliskim Wschodzie. Jak opowiadać o rzeczywistości, która z jednej strony bawi, ale z drugiej nie daje tego spokoju, jaki daje zwykły, relaksacyjny śmiech?

G. M.: Dodałbym do tego jeszcze drugą oś: prawdziwe – nie prawdziwe. Coraz częściej to, co nam się przydarza, wy-

maga od nas rozróżniania i rozbrajania tego, co jest intencjonalnie wyprodukowanym fałszem, od tego, co jest krzywą, może żalną, może pokraczną, ale jednak jeszcze jakąś prawdą. Kiedy premier naszego kraju, czyli przedstawiciel tej części sceny, która ma reprezentować, jak rozumieć, światłą, liberalną, oświeceniową część rzeczywistości, sięga w swojej komunikacji po grafik czy animacje AI, to robi mi się naprawdę słabo. Bo to znaczy, że my sami nie rozumiemy, co nam grozi. Do ogromnej dawki chamstwa, która jest już produkowana, dokładamy jeszcze swój kawałek, a potem dziwimy się, że ludzie nie rozumieją, co jest prawdą, a co sztucznie wyprodukowanym fałszem. To jest błąd, który popełniamy.

K. K.: Można by tu jeszcze dodać, że ta granica między śmiesznością a strasznością jest czymś, po czym my się w jakimś sensie poruszamy. Chcemy ludziom powiedzieć, że tego, czego się naprawdę boją, my też się boimy. Ale chcemy też pokazać, że w tej straszności są jakieś wyłomy, szczeliny, momenty, w których można powiedzieć: dobrze, możemy się tego bać, to jest prawdziwy lęk i prawdziwy problem. Ale to na przykład jest sztucznie wygenerowane i to sobie zostawmy, z tego możemy się pośmiać. To jest też odpowiedzialność, która w ogromnym stopniu spoczywa na mediach. W pewnym sensie wszyscy staliśmy się strażnikami prawdy i na tym polega ta odpowiedzialność, by odróżnić prawdę od fałszu, odróżnić to, co ma jakąś referencję do rzeczywistości, od tego, co jej nie ma. A jest tego coraz więcej.

G. M.: Dodałbym jeszcze jedną oś: wysokie – niskie. Myślę, że przez bardzo długi czas ta nasza liberalna część żywiła się jednocześnie poczuciem wyższości wobec tej drugiej: to my byliśmy ci mądrzy, piękni i wspaniali, i ze swoich wyżyn ocenialiśmy nieudacznego poczynania tamtej strony. W tej chwili to się totalnie zatarło. Nie tylko dlatego, że jeśli przyjrzymy się profilom, takim jak SokzBuraka czy innym tego rodzaju emanacjom, trudno dostrzec różnicę, jeśli chodzi o poziom agresji i nienawiści. Zmieniło się też coś jeszcze. Wspomniała pani o Trumpie i on jest być może tym, który nadaje tu tempo i legitymizuje to, o czym chcę powiedzieć. Bo zobaczymy: kiedyś to, o czym dziś mówimy: kłamstwo, ponura komunikacja, można by było uznać za efekt czyjejś nieudolności. Coś komuś nie wyszło, ktoś coś zrobił źle albo słabo, a my ze swoich wyżyn mówili-

śmy: „Zobaczcie, jak im kiego idzie”. To, co dziś nas przeraża, nie jest efektem nieudolności. Ta niska jakość, a bardzo często po prostu plugastwo, jest totalnie intencjonalna. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych wrzuca na swój profil filmik wygenerowany przez AI, w którym na swoich przeciwników zrzuca gówno, to jest moment, w którym wszystkie te wątki zbiegają się w jedno. To, co kiedyś zostało obszmiane jako plugawe i niskie, dziś staje się komunikatem: „Tak właśnie będziemy z wami pogrywać i co nam zrobicie”?

Czego dziś bardziej potrzebuje widz? Jakiego rodzaju śmiechu, jakiej rozrywki? Czy może kogoś, kto nazwie ten chaos i jakoś go uporządkuje?

K. K.: Kiedy na samym początku wymyślaliśmy „Kwiatki Polskie”, stwierdziłiśmy, że dzielimy ten program na trzy części. W jednej opowiemy o temacie, który pojawił się danego dnia albo jest ważny i właśnie tego dnia chcemy się nim zająć. To ma być oczywiście nieco pogłębiona, nie w klimacie serwisów informacyjnych, które z racji ograniczeń czasowych wypuszczają dwuminutowe wiadomości o najważniejszych sprawach. Chcieliśmy mieć kwadrans, żeby o danym temacie opowiedzieć trochę dokładniej, zapytać ludzi na ulicy. W programie ogromną rolę odgrywają sondy uliczne. Prawie codziennie wychodzimy na warszawskie ulice, ale też na ulice innych miast, w których TVP ma ośrodki regionalne, i pytamy ludzi, co myślą, jak to rozumieją. Dzięki temu mamy pełniejszy obraz. Druga część programu to rozmowa, często z ekspertem albo ekspertką, o temacie, który został wcześniej poruszony, więc możemy go jeszcze pogłębić. No i trzecia część, jest takim oddechem, żeby wypuścić z siebie napięcie i trochę się uspokoić. Pomyśleliśmy, że tego brakuje: żeby było lekko opowiedziane, bez straszenia, czasem też wzruszeniem. Są takie momenty, kiedy się wzruszamy, kiedy odnosimy się do historii zwłaszcza konkretnych osób. Chcemy się zatrzymać nad pewnymi tematami, pomyśleć głębiej, popytać ludzi, dowiedzieć się więcej. Wiedza to spokój.
G. M.: Podpisuję się pod tym opisem programu, ale dodałbym jeszcze jedno: my chyba, choć jest to cholernie trudne, próbujemy zejść z linii polaryzacyjnej. To znaczy: nie chcemy być głosami jednej albo drugiej strony. Nieprzypadkowo powiedziałem, że to trudne. Najbardziej widać to na styku z politykami. Zpra-

szanie polityków tej drugiej strony idzie nam ciężko, bo oni uważają, że jesteśmy reprezentantami strony przeciwnej, więc nie chcą z nami za bardzo rozmawiać, a kiedy przychodzą, to zdarzają się traumatyczne spotkania. Kiedy przychodzą z kolei politycy obecnej koalicji, to w większości przypadków też trafiamy po prostu na przekaz dnia. Trudno wtedy powiedzieć, że mamy do czynienia z momentem prawdy czy autentyczności, o które nam chodzi. Nasza intencja jest jednak taka, żeby pokazywać, że świat nie składa się z zera i jedynki, z czarnego i białego. I jeszcze jedno: w tej części, do której zapraszamy gości, bardzo często dostajemy od widzów taką reakcję: „Nie wiedziałem, że to ktoś tak ciekawy, barwny, fajny i dobry jest”. Myślę, że dzięki takim reakcjom ludzie mogą też zobaczyć, że Polska jest dużo bardziej złożona, skomplikowana, barwna i piękna, że nie składa się tylko z ujadających na siebie z obu stron.

K. K.: Przed wyborami w 2023 roku pisaliśmy wspólnie książkę, w której zawarliśmy siedem dużych rozmów o najważniejszych rzeczach, których chcieliśmy życzyć sobie, Polsce, Polkom, Polakom, wszystkim. Przeprowadziliśmy wtedy rozmowy z takimi osobami, jak Agnieszka Holland, Jerzy Owsiak czy profesor Szymon Malinowski. I nagle uświadomiliśmy sobie, że bardzo dużo mówi się o kryzysie autorytetów, o tym, że nie ma autorytetów. To nieprawda. Mamy w Polsce autorytety, mamy wsłaniających, mądrych ludzi. I to jest nasz klucz. W „Kwiatkach” mamy takie rozmowy, które, kolokwialnie mówiąc, po prostu zmiatają nas z planszy. To nie są nazwiska eksploatowane w mediach, to nie są osoby, które z różnych powodów nie schodzą z pierwszych stron gazet, tylko są to po prostu mądrzy, dobrzy ludzie, którzy robią świetne rzeczy i potrafią zobaczyć naszą rzeczywistość z innej perspektywy.

Przyszłości państwo do TVP, miejsca dla wielu widzów symbolicznie obciążonego. Czuliście, że wchodzicie do instytucji, którą trzeba oswoić, odzyskać? I jak dziś wygląda praca w mediach publicznych? Jest bardziej zobowiązująca?

G. M.: To sprawa wielopoziomowa. Pierwsza warstwa jest fizyczna: samo doświadczenie tego miejsca, tych budynków i korytarzy, które w wielu przypadkach nie zmieniły się od czasu „Człowieka z żelaza”. Ten korytarz dalej tam jest i nasz teatrzyk za tydzień będzie właśnie temu miejscu poświęcony. Można tam przejść praw-

dziwy spacer przez czas: od najbardziej nowoczesnej części biurowca, przez lata siedemdziesiąte, aż do magazynów z lat 50., gdzie przeszłość jest zamrożona w meblach i strojach. Ale oczywiście wiedzieliśmy, gdzie idziemy. Szliśmy z intencją, żeby coś próbować zmienić i przywrócić godność pojęciu telewizji publicznej. Nadal w to wierzymy. Tyle że zatrucie zaszło tak daleko, zwłaszcza w przypadku TVP Info, że pewnych ran nie da się zagoić szybko. To będą lata. Wielu ludzi mówi nam wprost: „Lubimy was, szanujemy, ale od rucha, żeby nacisnąć przycisk TVP Info na pilocie, jest nie do przetłumaczenia, bo to było miejsce zatrute”.

K. K.: Niedawno czytałam badania, z których wynika, że Polska jest jedynym krajem w Unii Europejskiej, w którym zaufanie do mediów prywatnych jest wyższe niż do publicznych. To efekt ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy, bo wcześniej Telewizja Polska była według Polaków najbardziej godną zaufania stacją telewizyjną w kraju. Dziś odbudowanie tego zaufania to praca na bardzo długie lata. Problem polega też na tym, że w telewizji publicznej trudno myśleć długofalowo. Nie ma ustawy medialnej, media publiczne wciąż są odbijane z rąk do rąk, przejmowane i przerabiane według aktualnej władzy. A przecież one powinny być misyjne. Nie powinny się kierować wyłącznie słupkami oglądalności. Idąc do mediów publicznych, myśleliśmy właśnie o tym, że będzie to miejsce, w którym da się wyjść poza dyktat reklamodawców i zrobić coś mądrego. Telewizja publiczna powinna pokazywać świat, do którego warto dążyć: przez rozwój intelektualny, czytanie książek, kontakt ze sztuką. I naprawdę dzieje się tam wielka praca. Na przykład Teatr Telewizji – to jest imponujące.

Jakie zdanie o Polsce, usłyszane w ostatnim czasie, uznali państwo za najbardziej prawdziwe?

G. M.: Kiedy w niedzielę przygotowaliśmy się do programu, w tle leciał teleturniej „Kocham Cię, Polsko!”. Padło tam pytanie, ilu Polaków uważa, że są szczęśliwi. Dzisiaj to jest 78 procent. I dla mnie to jest ważna myśl o Polsce. Mimo wszystkiego o czym dziś mówimy, mimo rzeczywistości produkowanej na użytek wewnętrznej wojny politycznej, ludzie żyją czymś zupełnie innym. Myślę, że mają szansę na szczęście i że Polska, wbrew błotowi, w którym politycy próbują nas utopić w imię własnych interesów, jest rozwijającym się, pięknym krajem, który coraz

częściej pozytywnie zaskakuje Europę. Kiedyś to my wdychaliśmy do Europy. Coraz częściej zdarza się, że Europa wdycha do Polski.

K. K.: Dla mnie bardzo ważne było zdanie, które usłyszałam w Teatrze Słowackiego, kiedy nagrywaliśmy program na rocznicę wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Maria Andruchiw, ukraińska działaczka mieszkająca od wielu lat w Polsce, powiedziała: „Nie ufajcie internetowi. Zobaczcie, jaka jest antyukraińska nagonka w sieci, i zobaczcie z drugiej strony, ile generatorów prądu Polska wysłała do Ukrainy w odpowiedzi na apel marzących Ukraińców”. To są rzeczy niewspółmierne. Gdyby internetowa nagonka była prawdziwym obrazem społeczeństwa, nie pojechałby tam ani jeden generator. A tymczasem w bardzo krótkim czasie zebraliśmy znowu miliony złotych, żeby pomagać. Polacy żyją zupełnie inaczej, niż to widać w internecie. Żyjemy w infosferze i bardzo łatwo dajemy się nią manipulować. Jest takie zjawisko, że kiedy wygeneruje się duży, ale sztuczny tłum, chcemy za nim iść, bo wydaje nam się, że tłum ma rację. Tyle że ten tłum jest nieprawdziwy. Prawdziwy tłum jest gdzie indziej i on cały czas jest dobry, empatyczny, otwarty i wrażliwy na cudze nieszczęście. Chciałabym widzieć w mediach świat prawdziwy, a nie ten generowany, złożony z botów i hejterów. Właśnie taką rzeczywistość chciałabym pokazywać.

Na koniec zadam państwu pytanie, które zadaliście Magdalenie Zawadzkiej: jesteście bardziej na tak czy na nie?

K. K.: Myślę, że w jakimś sensie obowiązkiem człowieka jest być na tak. Wobec wszystkiego, co nas otacza, co nas zniechęca, wobec wszystkich trudności, jedyne, co można zrobić, to mówić życiu tak i godzić się z tym, że ono jest zmienne. Patrząc filozoficznie, znamy finał opowieści o każdym z nas, ale właśnie dlatego to, co mamy, jest świętym czasem: jedynym takim, wyjątkowym. Szkodą czasu na mówienie nie.

G. M.: Ja się tego, o czym mówi Kasia, uczę. Uważam, że bycie na nie jest wbrew pozorom pójściem na łatwiznę. Nie jest żadnym sprzeciwem, tylko nieprzemysleniem do końca tego, w jakim scenariuszu bierzemy udział. To, co powiedziała Kasia, dobrze z tego wybudza. Dodam, że jeśli człowiek się zastanowi, to każdy oddech, który bierzemy, jest darem. A skoro tak, to każda rzecz, która trwa dłużej niż oddech, jest już powodem, żeby być bardzo szczęśliwym.

Lodzianie zawsze będą wdzięczni Andrzejowi Wajdzie za „Ziemie obiecane”. Film pokazujący pięknie XIX-wieczną Łódź, z jej blaskami i cieniami.

Ale zanim wybitny reżyser wpadł na pomysł, by nakręcić w połowie lat 70. XX wieku tę produkcję nominowaną potem do Oscara, znał już to miasto. Miał 23 lata, gdy do Łodzi przyjechał z Krakowa. Po trzech latach studiów w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych rozpoczął naukę w Szkole Filmowej w Łodzi i postanowił zostać reżyserem. W wielu wywiadach tłumaczył, że o tym, że zdecydował się na te studia, zdecydował przypadek.

- Nie wiedziałem w ogóle o istnieniu tej szkoły, mało chodziłem do kina - wyjaśniał w wywiadzie dla portalu Niezła sztuka. - Jeżeli mogę coś powiedzieć jako stary człowiek - dobrze jest być otwartym, bo nie wiadomo, skąd przyjdzie to, co nas czeka, co jest dla nas, a jeżeli nie dasz temu szansy, to do ciebie nie przyjdzie (...) A ja wiedziałem, że szukam czegoś... Być może gdyby nie to, że znalazłem miejsce dla siebie w Wyższej Szkole Filmowej, to może szukałbym jeszcze gdzieś indziej. Wydawało mi się, że ja uczę się w szkole filmowej, żeby robić filmy o sztuce. I zrobiłem dwa takie filmy zaraz na samym początku: pierwszy - film dokumentalny „Ceramika Hżecka” o ludowych garncarzach produkujących figurki świętych.

„Chłopi” go nie poruszyli, za to „Ziemia obiecana”...

Gdy zdecydował się nakręcić „Ziemie obiecane”, był już uznanym reżyserem. Potem wiele razy opowiadał, że pomysł przeniesienia na ekran dzieła Reymonta podsunął mu nieżyjący już też reżyser Andrzej Żuławski.

- Przeczytałem „Chłopów” Reymonta, ale nie poruszyła mnie ta powieść - wspominał. - Nigdy nie zrobiłbym z niej filmu. Przypadkowo trafiłem na „Ziemie obiecane” dzięki Andrzejowi Żuławskiemu, który mi ją podrzucił.

W archiwach Radia Łódź można znaleźć relacje z planu „Ziemi obiecanej” i rozmowę z Andrzejem Wajdą. Przeprowadził ją w 1974 roku Zbigniew Wojciechowski.

- To jest jeden z najtrudniejszych, a może najtrudniejszy film, jaki realizowałem - zapewniał wielki polski reżyser. - Ta wielowątkowa powieść nie może być uproszczona. Głównym tematem nie jest los jednego bohatera, ale portret miasta. Jeśli ma to być portret miasta, to musi to być portret ludzi, różnorodnych, bardzo wielu. Galeria postaci. Z tej wielości scen, postaci, sytuacji, scenerii powinna się powijać jakaś tka-

Andrzej Wajda niedawno obchodziłby setne urodziny. Rok 2026 został uznany rokiem tego wybitnego reżysera. Jego związki z Łodzią były trudne, nie pokochał tego miasta od pierwszego wejrzenia - delikatnie mówiąc. Ale nakręcił o nim film, często uznawany za najlepszy w historii polskiego kina. Z czasem na miasto patrzył z większą sympatią. Został Honorowym Obywatelom Miasta Łodzi i tu zrealizował swój ostatni film „Powidoki”

Anna Gronczerewska



Andrzej Wajda za Łodzią nie przepadał, ale zmienił swój stosunek do niej po nakręceniu „Ziemi obiecanej”

„BO LUDZIE W ŁODZI MAJĄ SZACUNEK DLA PANA WAJDY”, CZYLI REŻYSERSKIE ZMAGANIA Z ZIEMIĄ OBIECANĄ

nina, dywan. Portret miasta utkany z tych wielu elementów. Oczywiście portret miasta Łodzi. Miasta w tym czasie, kiedy je Reymont opisał. A więc miasta niezwykłego sukcesu, tego gwałtownego, niebywałego rozwoju kapitalizmu, i równocześnie tej strasznej nędzy, tych kontrastów, gnębienia człowieka, równocześnie robienia fortun w bardzo krótkim czasie. Mieszania się różnych narodowości. Tego, co dzieje

się między Polakami, Niemcami, Żydami. Wszyscy szukają w tej ziemi obiecanej, ziemi największych pieniędzy, największych sukcesów. Równocześnie doznają największej klęski.

Andrzej Wajda przyznawał, że praca przy „Ziemi obiecanej” zmieniła jego wyobrażenie o Łodzi.

- Kiedy chodziłem do Szkoły Filmowej Łódź nie była miastem, które ukochałem - mówił reżyser. - Jak tylko

nadarzała się okazja, uciekałem z Łodzi. Później też nie robiłem tu wiele filmów. Nie wydawała mi się interesującym miejscem. Kiedy zdecydowałem się robić ten film, musiałem znaleźć swój stosunek do Łodzi. Później. Kiedy tu przyjechałem, nastąpiły dwie zasadnicze zmiany. Łódź ruszyła się w kierunku modernizacji, czegoś nowego, nowego budownictwa. Nowego oblicza. Nasza epoka też musi się w tym mieście od-

cisnąć. Wydaje mi się, że odciśka się coraz wyraźniej. Oczywiście dla mojego filmu nie jest to dobre. Kilkanaście lat temu łatwiej było tu sfotografować łódzkie zakamarki sprzed lat. Coraz częściej pojawiają się tutaj duże domy, od których musimy odwracać się plecami. Coraz więcej jest nowych ulic, których nie można fotografować. A z drugiej strony musiałem odkryć chęć sfotografowania tego wszystkiego. Jest to więc

mieszane uczucie. Z jednej strony nigdy specjalnie się nie zakochałem w Łodzi, z drugiej robię film o Łodzi. Im goręcej robię, to zyskuję jakiś stosunek do ludzi, którzy tu pracują. Pierwszy raz wszedłem do tych fabryk i zrozumiałem, jaka to ciężka, trudna praca. Często na tych starych maszynach.

Wolę robić filmy, niż przycinać trawnik

O „Ziemi obiecanej” reżyser opowiadał m.in. w książce „Wajda. Filmy”.

- Zmęczony i niezadowolony z siebie wiosną 1973 roku zająłem się pracami domowymi - wspominał. - Krystyna posiała właśnie trawnik i, jak nam doradzali znawcy, pierwszy raz należało go przystrzyc nożycami. Na kolanach pokonałem powierzchnię nieco większą od stołu i stwierdziłem, że wolę jednak robić filmy. Natychmiast poczułem się lekki i rześki. Zgłosiłem „Ziemie obiecane”. Projekt został dobrze przyjęty i już latem przystąpiliśmy do zdjęć. Zaczęła się wspaniała przygoda z miastem, które każdego dnia odkrywało przed nami coraz to nowe fragmenty swojej niezwykłej przeszłości. Największym bogactwem dla filmu była jednak sama powieść Reymonta. Miałem tego świadomość. Reymont opisał ludzi, którzy tworzyli drugi, obok romantycznego, nurt naszej historii. Bez nich, bez ich fabryk, bez robotników, którzy tam pracowali w strasznych warunkach, nie byłoby tego, co jest dziś. Z trzech bohaterów jeden jest Polakiem, drugi Niemcem, trzeci Żydem. Te różnice pochodzenia nie dzielą ich. Razem zakładają fabrykę, łączą ich wspólny interes, wspólne poczucie przynależności do grupy Lodzermenschów. Ten szczególnie konglomerat polsko-niemiecko-żydowski ówczesnej Łodzi jest ogromnie interesujący, uderza barwnością, różnorodnością obyczajową, różnorodnością typów i postaw.

Daniel Olbrychski należał do ulubionych aktorów mistrza Wajdy. Do historii polskiego kina przeszła jednak rola Karola Borowieckiego w „Ziemi obiecanej”.

- „Ziemia obiecana” Władysława Reymonta to najpiękniejsza książka o mieście Łodzi - mówił nam w wywiadzie Daniel Olbrychski. - Takiego filmu nie dałoby się już nakręcić. Łódź wyglądała wtedy tak jak z czasów Reymonta. Andrzej Wajda, scenografowie mieli niesamowity luksus. Wtedy wszystkie łódzkie fabryki pracowały. Mieliśmy dźwięk maszyn, bezpłatnych statystów. Łódzkie kobiety na co dzień pracowały przy tych maszynach. Wystarczyło je tylko przebrać w śliczne fartuszki z końca dziewiętnastego wieku. Założyły je zamiast

FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

brzydkich, roboczych drelichów. One nie przerywały pracy, a my graliśmy. Pamiętam scenę z Andrzejem Łapickim, który chciał ode mnie wyciągnąć jakieś pieniądze, bo był w strasznym kryzysie. Myśmy musieli do siebie krzyczeć, bo się nie słyszeliśmy. Taki był hałas maszyn. I były to te same maszyny, na których pracowały prządki w końcu dziewiętnastego wieku. Maszyny postarzały się o 100 lat, a więc musiały być jeszcze głośniejsze niż w czasach, gdy rozgrywała się akcja powieści Reymonta. A robiliśmy film, który pokazywał w jakich ciężkich warunkach klasa robotnicza pracowała w dziewiętnastym wieku. Nieomal sto lat później prządki z komunistycznej Polski pracowały na tych samych maszynach.

Daniel Olbrychski nie ma wątpliwości, że „Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy to najważniejszy film nie tylko w historii polskiej kinematografii.

Dziś nikt nie wyobraża sobie „Ziemi obiecanej” bez Wojciecha Pszoniaka, który zagrał Moryca Welta. Ale Wajda początkowo planował obsadzić w tej roli Jerzego Zelnika. Zmienił zdanie, gdy na zdjęciach próbnych pojawił się Pszoniak.

- Istotnie, talent Wojtki wprost wyżył z ekranu - wspominał po latach Daniel Olbrychski. - Nie można było oczu od niego oderwać. Po prostu był Morycem Weltem. Wystarczyło postawić kamerę i kręcić.

Ale i Jerzego Zelnika oglądamy w „Ziemi obiecanej”. Tylko nie jako Moryca Welta, a Steina. W roli Bucholca oglądamy Andrzeja Szalawskiego, choć początkowo miał go zagrać Stanisław Igar, aktor związany z Krakowem. Bardzo liczył na tę rolę, ale ostatecznie jej nie dostał. Pojawił się jednak w „Ziemi obiecanej” w roli Grunspana. I też zapadł w pamięci widzów. Pewną kandydatką do roli Anki, narzeczonej Borowieckiego, była Sławomira Łozińska. Ostatecznie została nią Anna Nehrebecka. I dziś nikt nie wyobraża sobie, by kto inny miał grać szlachciankę Ankę Kurowską.

W „Ziemi obiecanej” miała zagrać Violetta Villas. Oczywiście Lucy Zuckerową, kochankę Karola. To ją wybrał Wajda. Ostatecznie popularna piosenkarka nie przyjechała do Łodzi na przymiarkę kostiumu. Jak głosi legenda, Violetta Villas była już w drodze, ale przebiegł przed nią czarny kot. Uznała, że to zły znak. Postanowiła wrócić do domu i na przymiarkę kostiumu do Łodzi nie dotarła. Ostatecznie Lucy zagrała brawurowo Kalina Jędrusik.

Produkcja zrealizowanej z wielkim rozmachem, w połowie lat siedemdziesiątych „Ziemi obiecanej” kosztowała około 30 milionów, a więc była



Plakat z sesji naukowej poświęconej Andrzejowi Wajdzie z okazji jego 90. urodzin, która odbyła się w Krakowie

trzy razy droższa niż kręcone w tamtych czasach filmy.

Zanim Wajda zaczął kręcić „Ziemię obiecana”, był już uznanym reżyserem. Miał na swym koncie „Kanał”, „Popiół i diament” czy „Popioły”. Nieżyjący już Konstanty Lewkowicz, wykładowca łódzkiej Szkoły Filmowej, był kierownikiem produkcji i pracował z najwybitniejszymi twórcami polskiego filmu. Między innymi z Andrzejem Wajdą przy „Popiołach”.

- Byłem przy wszystkich zdjęciach do tego filmu - zapewniał pan Konstanty. - Potem razem z Andrzejem Wajdą mieliśmy pracować przy „Przedwiośniu”. Jednak z powodów politycznych nie doszło do realizacji takiego filmu. Mogę jednak powiedzieć, że z Andrzejem Wajdą połączyła mnie zawodowa przyjaźń. Pracowało się z nim doskonale. Andrzej Wajda był zawsze bardzo taktowny, potrafił docenić pracę ekipy na planie, zawsze jej podziękował za pracę.

Pamiętał, że podczas kręcenia „Popiołów” Andrzej Wajda chciał zrobić wielką scenę batalistyczną. Problem w tym, że było tylko 160 kostiumów dla statystów grających austriackie wojsko. Można było pokazać tylko pierwsze szeregi, a nie wielką masę atakujących żołnierzy.

- Przy tym filmie pomagało nam wojsko - opowiadał nam Konstanty Lewkowicz. - Nie było jednak szans, by uszyć dla wszystkich mundury. Ale poszedł do mnie Jerzy Szeski, drugi scenograf, odpowiedzialny za kostiumy. Powiedział, że da się taką scenę zrobić bez szycia kostiumów. Miałem tylko poprosić, by żołnierze przyjechali na plan w białych kalesonach, białych pod-

koszulkach z długim rękawem i butach - saperkach, z cholewką. Trzeba było też kupić tanie kosze na śmieci, pomalować je na czarno. Udało się wszystko załatwić. Żołnierze założyli te kosze i na ekranie wiadało było czarno-białą plamę imitującą armię...

Konstanty Lewkowicz mówił, że na planie filmowym nie brakowało dramatycznych, ale też zabawnych sytuacji. Zawsze jednak bał się scen z udziałem koni. Być może zadecydowała o tym sytuacja, która miała miejsce na planie „Popiołów”. Konsultantem od scen konnych był major Adam Królikiewicz, brązowy medalista olimpijski z 1924 roku, z Paryża, w konkursie skoków przez przeszkody. Dowodził planem podczas realizacji bitwy pod Somosierrą. Dosiadł ogiera, który w pewnym momencie stanął dęba. Jeźdźcowi, mimo wielkiego doświadczenia, nie udało się opanować konia. Spadł z siodła. Adam Królikiewicz złamał kręgosłup. Po kilku tygodniach zmarł w szpitalu.

- Wiadomo, że aktorzy uczyli się przez dwa czy trzy tygodnie jeździć konno, ale nigdy nie wiadomo, co zrobił koń - wyjaśniał Konstanty Lewkowicz.

W „Popiołach” Andrzeja Wajdy Napoleona miał zagrać Tadeusz Łomnicki. Jednak nadmiar zajęć powodował, że nie miał czasu, by przyjeżdżać do Łodzi na omówienie charakterystyki, przymierzanie kostiumów. Tak więc krawcy i charakterystyzyści przyjeżdżali do niego. W końcu Tadeusz Łomnicki przyjechał na zdjęcia, które miano rozpocząć w Wyszogrodzie. Była tam kręcona przeprawa wojsk napoleońskich przez Niemen i Wisłę. Pan Konstanty wspominał, że Łomnicki wszedł do garderoby. Po-



Andrzej Wajda w Łodzi podczas kręcenia swojego ostatniego filmu „Powidoki”

tem pojawił się tam też Wajda. Po godzinie Łomnicki wszedł zdenerwowany. Po chwili pojawił się Wajda i powiedział krótko: Łomnicki nie może grać!

- Groziło to przerwaniem zdjęć - wspominał Konstanty Lewkowicz. - Ale Wajda kazał mi znaleźć w Krakowie aktora o nazwisku Janusz Zakrzeński. I on zagrał Napoleona!

Pomnik zbudowany za życia

Pochodzący z Łodzi Tomasz Kuzio pracował z Andrzejem Wajdą przy „Tataraku”, „Wałęsie” i „Powidokach”. Był operatorem kamery. Były to trzy ostatnie filmy wybitnego reżysera. Mówi, że Andrzej Wajda był twardzielem.

- Jak pomyśle sobie, że teraz my, jednak młodszy pokolenie od niego ludzie na planie jesteśmy w Gore-Texach, ciepłych butach, a w latach 50., 60. czy tam 70., nie było takich ubrań - tłumaczy. - Pracował w deszczu, śniegu, zimnie. I właśnie on na planie był twardzielem i to podziwiałem. Na przykład jak kręciliśmy „Tatarak” mieliśmy zdjęcia na moście krakowskim w Grudziądzu. Była jakaś piąta rano. Krystyna Janda biegła w tym deszczu i on do mnie mówi: „Tomek, załóż kamizelkę odblaskową, żebyś był bezpieczny”. Dla mnie to było zaskoczenie, że Andrzej Wajda dba o moje bezpieczeństwo na moście krakowskim w Grudziądzu, gdzie Janda biega w kostiumie i w sztucznym deszczu.

Andrzej Wajda wiedział czego chce.

- Kiedy mu przeszkadzał jakiś statysta gdzieś na dziesiątym planie, on potrafił powiedzieć: tego statystę mi zabieracie, bo coś mi krzywo idzie - wspomina Tomasz Kuzio. - Dbał o szczegóły. A jak on czasami mówił do aktorów, to dziś żałuję, że tego nie nagrywałem. To były wykłady o filmie, spojrzeniu na świat.

Na planie nie bał się nowych pomysłów.

- Pracowałem z nim jako operator kamery, a zdjęcia robił Paweł Edelman. Czasami jakieś niuanse, takie szczegóły, wychodziły ode mnie - opowiada

Tomasz Kuzio. - Gdy je usłyszał, zawsze chwilę pomyślał. Po czym powiedział: tak, to jest dobre, zrobmy tak! On umiał czerpać z ludzi i się tego nie bał.

Tomasz Kuzio twierdzi, że Andrzej Wajda za życia budował swój pomnik.

- Kręciliśmy „Wałęsę”, zdjęcia trwały bardzo długo, raz nie mógł na nie przyjechać Paweł Edelman i ja robiłem tzw. dokrętki - opowiada operator. - Pan Andrzej już słabo się wtedy czuł. Rozrysował mi na karteczce scenę. Rozgrywała się po bramą Stoczni Gdańskiej. Oni tu wychodzą, tu wjeżdża Żukiem, tam jest Robert Więckiewicz, który grał Wałęsę. On to wszystko pięknie wyrysował. Chciałem wziąć tę karteczkę, ale pan Andrzej nie pozwolił. Powiedział: będziesz miał Tomku ksero. Czuło się, że on budował swoje muzeum za życia.

Łódź, miasto, które trudno pokochać

Tomasz Kuzio, łódzianin z pochodzenia, ma swoją teorię, dlaczego Andrzej Wajda mógł nie lubić Łodzi.

- Bo do Łodzi trzeba było jeździć, po prostu - wyjaśnia. - Wiele razy jeździłem z Andrzejem Wajdą na zdjęcia czy przygotowanie dokumentacji. Wyjeżdżamy kilkanaście kilometrów za Warszawę, a on mówi: „Dlaczego tak daleko jedziemy?”. Wajda był zdania, że scenografowie powinni jeździć na dokumentację rowerem. Oznaczałoby to, że obiekty zdjęciowe są blisko. Tak więc nie tyle nie lubił Łodzi, ale tego, że trzeba było do niej dojeżdżać. Wcześniej nie było takiej komunikacji jak teraz. Do Łodzi jeździło się pociągiem albo autem przez Rawę Mazowiecką.

Filip Bajon, inny wybitny polski artysta, reżyser takich filmów jak „Magnat”, „Przedwiośnie”, „Śluby panieńskie” czy „Kamerdyner”, tak wspomina Andrzeja Wajdę:

- Jeśli jedziesz przez świat, zmieniasz kraje i kontynenty i w różnych dalekich miejscach trafisz na sklepy branży filmowej, na pewno natkniesz się na filmy Andrzeja Wajdy, które stworzył na przestrzeni

swojego długiego życia. Wajda ze swoimi filmami jest najpotężniejszym ambasadorem polskiego ducha i jego specyfiki i nie potrzebuje żadnego uwiarygodnienia przez urzędników państwowych mogących w ramach swego urzędu ambasadatorów powoływać. Andrzej Wajda takiego uwiarygodnienia nie potrzebuje, bo uwiarygadniają go jego filmy i cała jego twórczość rozpoznawalna na całym świecie przez różne publiczności, czy to w Kalkucie, czy w Nowym Jorku. Stulecie urodzin Wajdy o b c h o d z i m y m a j a c przed oczyma kadry z jego filmów, które opowiadają i uświadamiają na ekranach kin innych krajów, jak pełna napięcia, tragizmu i skomplikowania była nasza historia. Trzeba mieć szczęście, aby posiadać tak uniwersalnego filmowca, który potrafił uwiecznić artystyczną specyfikę naszego świata zapamiętanego, z którym się identyfikujemy poprzez jego niezapomniane filmy. Ich siła na zawsze utkwiała głęboko w naszej świadomości i pozwoliła ją solidnie zbudować. Za to powinniśmy być wdzięczni Andrzejowi Wajdzie i pamiętać o jego filmach nie tylko z okazji setnych urodzin.

Włókiennicza ma szacunek dla pana Wajdy

Ostatnim filmem Andrzeja Wajdy były „Powidoki” - wybitnym artyście Władysław Strzemińskim, którego grał Bogumił Linda. Zdjęcia kręcono w Łodzi.

Film był polskim kandydatem do Oscara. Zdjęcia miały miejsce m.in. na ul. Włókienniczej. Wcześniej grający głównego bohatera Bogusław Linda powiedział o Łodzi, że to miasto meneli. Wzburzyło to łódzian, także mieszkańców ul. Włókienniczej i okolic. Pan Włodek, który na ul. Włókienniczej spędził całe swoje 67-letnie życie, twierdził, że gdyby nie Andrzej Wajda, to pewnie by zdążył do filmu na jego ulicy nie nakręcono.

- Poprosił ludzi, żeby pozwolili kręcić zdjęcia - mówił pan Włodek. - A że ludzie mają szacunek do pana Wajdy, to go posłuchali. Powiedział, że wiele Łodzi zawdzięcza. A to jest jego praca. Prosił, by pozwolić mu pracować. I, że nie ma innego aktora, który mógłby zastąpić pana Lindę. Poprosił, by dać mu zagrać... No i posłuchaliśmy.

W 1998 roku Andrzej Wajda otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Łodzi, a w sierpniu 2016 roku radni Sejmiku Województwa przyznali mu tytuł Honorowego Obywatela Województwa Łódzkiego. Pierwszy w historii. Miał go odebrać 28 października. Nie zdążył. Zmarł 6 października.

**KIEDY CHODZIŁEM DO SZKOŁY
FILMOWEJ, ŁÓDŹ NIE BYŁA MIA-
STEM, KTÓRE UKOCHAŁEM. JAK
TYLKO NADARZAŁA SIĘ OKAZJA,
UCIEKAŁEM Z ŁODZI.**

REŻYSER ŁUKASZ PALKOWSKI: CHCIAŁEM OPOWIEDZIEĆ O LUDZIACH, KTÓRZY NAWET POD ŚCIANĄ POZOSTAJĄ SOBĄ

Gdyby nasz bohater przeżył, ta przestroga nie przebiłaby się do widza z taką siłą – mówi Łukasz Palkowski, reżyser filmu „Pojedynki”, historycznej opowieści tak dziś boleśnie aktualnej

Anita Czubryn

Jak to było z filmem „Pojedynki”? Co w tej historii uderzyło Pana najmocniej za pierwszym razem? To, że jest to opowieść oparta na faktach, że mamy do czynienia z psychologizacją grą czy że w filmie spotkamy zło przebrane w elegancki garnitur, z dobrymi manierami? Kiedy pierwszy raz przeczytałem scenariusz, właściwie to wszystko mnie poruszyło. Wszystkie tropy, o których pani mówi, były dla mnie ważne. Ale chyba najmocniej uderzył mnie kontrast między sposobem prowadzenia tej opowieści a jej finałem. To właśnie potęgowało szok. Choć teraz przecież znamy zakończenie tej historii, i tak okazuje się ono wstrząsające. Ta opowieść jest poprowadzona w taki sposób, że wciąż mamy nadzieję, że może jednak się uda...

... że bohater ocaleje. Właśnie. Tymczasem nic bardziej mylnego. Zanim jednak podjąłem decyzję o pracy nad filmem, żyłem z tym scenariuszem przez trzy dni. I przez te trzy dni ta historia nie chciała mnie opuścić. A mimo to, zostawiła ona we mnie, to zabrzmiało jak paradoks, pewne pozytywne odczucie. Wydało mi się to niezwykłe. Miałem przecież do czynienia z historią tragiczną, która nie kończy się dobrze dla bohatera, a mimo to wynosiłem z niej coś budującego. Zaczynałem myśleć inaczej, rozglądać się wokół siebie, zastanawiać się, czy moje życie nie powinno stać się lepsze pod wpływem tego, co właśnie przeczytałem.

W filmie mamy rok 1939, wojnę, front, polskich oficerów trafiających do rosyjskiej niewoli, ale Pan opowiada

także o tej wojnie, która toczy się w głowach i sumieniach bohaterów. Od początku wiedział pan, że właśnie tak trzeba poprowadzić ten film? Myślę, że tak. Po pierwsze, wynikało to już ze scenariusza. Po drugie, wydawało mi się to coraz bardziej aktualne. Bo najistotniejsza wojna naszych czasów nie jest wojną militarną. To wojna umysłów, wojna wywiadów, wojna propagandy. To także wszelkiego rodzaju działania hybrydowe, którym na co dzień jesteśmy dziś poddawani. Dlatego świadomość, że takie rzeczy nas dotyczą i mogą się dziać wokół nas, wydaje mi się bardzo istotna.

Na premierze filmu obecni byli potomkowie pierwszego bohatera, który w rzeczywistości przeżył. Co było dla pana ważniejsze: wierność prawdzie historycznej czy pokazanie tej gorzkiej, wstrząsającej prawdy o naszych wschodnich sąsiadach? Tak naprawdę jedno i drugie, bo te dwie prawdy w gruncie rzeczy się ze sobą pokrywają. Oczywiście mówimy tu o sytuacji, w której nasz bohater filmowy jest postacią złożoną z kilku osób, przede wszystkim opartą na postaci pianisty Grzybowskiemu. To właśnie on przeżył, bo transport, którym jechał, był chyba jedynym transportem z około dwustu osobami, który nie dojechał do celu. Dzięki temu wszyscy ci ludzie ocalili. Stąd mamy też dość szczegółową relację o samym Kozielsku, o tym, co się tam działo i jak to wszystko się zakończyło. Oczywiście niektóre elementy musieliśmy dramaturgicznie wzmocnić, co w kinie jest rzeczą naturalną. Ale najważniejsze było chyba to, by ta opowieść

nie tylko dawała nam jakąś nadzieję, lecz także była przestroga. Gdyby w filmie nasz bohater przeżył, ta przestroga nie przebiłaby się do widza z taką siłą.

Podczas premiery filmu, jeszcze przed projekcją, powiedział pan, że ten scenariusz dojrzał ponad dwadzieścia lat. Co było największą przeszkodą, przez którą ten film nie mógł powstać? Polskie kino nie umiało opowiedzieć tej historii czy po prostu nie chciało?

Nie chciało. Naprawdę nie chciało i to aż do samego końca - muszę to przyznać. Przechodziliśmy przez bardzo poważne trudności, przede wszystkim finansowe, żeby ten film w ogóle dokończyć. Mam więc takie poczucie, że nikt prócz nas nie chciał tego filmu. Natomiast ponad dwudziestoletnia historia samego projektu wynika z tego, że kiedy on się rodził, było jeszcze bardzo daleko do momentu, w którym trafił w moje ręce. W międzyczasie na podobny pomysł wpadł Andrzej Wajda, który uznał, że to jego projekt katyński powinien powstać jako pierwszy film na ten temat. W związku z tym ten projekt został zatrzymany i powstał „Katyń” Wajdy. Miałem okazję rozmawiać o tym z Andrzejem Wajdą, oczywiście na długo przed tym, zanim projekt trafił do mnie. Dla Wajdy istotne było, by w tamtym czasie Polacy najpierw dostali film o tych wydarzeniach taki, jakiego się spodziewali, a nie taki, jaki przewidywał ten projekt. Uważał, że realia Kozielska, które my pokazujemy, a przecież i tak nie pokazaliśmy wszystkiego, byłyby wówczas dla polskiego widza

zbyt szokujące. Nie dawałyby też poczucia pewnej sprawiedliwości, której Polacy wtedy potrzebowali w opowieści o zbrodni katyńskiej.

Dziś Pana film wybrzmiewa jeszcze mocniej, bo wojna znów dzieje się blisko nas. Ta historia przestała być wyłącznie przeszłością. Jak pan to odbiera?

Oczywiście było to przez nas zupełnie niezamierzone. Jak już wspominałem, mieliśmy ogromne problemy z realizacją tego filmu. Znalazłem nawet w telefonie zdjęcie, na którym siedzę w restauracji Mozaika z Kubą Gierszałem i Mateuszem Kościukiem, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o tym projekcie. To był 2018 rok. Przeszliśmy więc bardzo długą drogę, zanim mogliśmy spotkać się na premierze. A przecież, jak wszyscy pamiętamy, do pełnoskalowej wojny w Ukrainie było wtedy jeszcze daleko. Cała sytuacja geopolityczna wokół nas wyglądała zupełnie inaczej. Dla nas najważniejsze było jednak po prostu opowiedzenie tej historii. Z czasem rzeczywistość zmieniła się na tyle, że to, co miało być opowieścią historyczną, przestało być tylko wspomnieniem. Stało się czymś boleśnie aktualnym, czymś, co widzimy dziś tuż za naszą wschodnią granicą.

Chciałem zapytać jeszcze o Janinę Lewandowską. Julia Pietrucha wróciła do aktorstwa właśnie dla tej roli, właśnie do Pana filmu. Dlaczego tak bardzo zależało Panu, by ta postać nie została sprowadzona do historycznego szczegółu? Bo na ekranie Janina jest bohaterką niemal gotową na osobny film.

Tak. Wie pani, to był jeden z najbardziej wstrząsających momentów podczas lektury scenariusza, zwłaszcza finału, który już na papierze przypominał niemal horror. Jest tam opis sceny, w której na dole, na stosie ciała, leży Lewandowska. Pomyślałem wtedy, jakby ktoś zdeptał jedyny kwiat na pustyni. I dlatego dla mnie musiała być postacią istotną. Była właśnie tym jedynym kwiatem na pustyni, jedyną kobietą, która znalazła się w samym środku tego zdarzenia.

W filmie nie ginie ani jej odwaga, ani kobiecość, ani samotność kobiety wrzuconej w rzeczywistość sowieckiego obozu i wojny. Nie miał pan obawy, jak ją pokazać, żeby nie stała się tylko tłem, lecz kimś naprawdę ważnym? Chyba nie miałem takiego problemu, a to dlatego, że bardzo świadomie jako nośnik tej postaci, wybrałem Julkę Pietruchę.

Jak rozmawiał pan z nią o tej roli?

Długo rozmawialiśmy o tym, co chcemy zrobić, jaka powinna być Lewandowska i jaki powinien być wobec niej świat. To były takie nasze trójstronne rozmowy: ja, Julka i Kuba Gierszał. Wspólnie budowaliśmy ten świat wokół Lewandowskiej. Z jednej strony tworzyły go rosyjska dzicz, z drugiej polscy dżentelmeni. Oczywiście było tego więcej, bo kilka wątków nie przetrwało montażu. Film robił się zbyt długi, a nie wszystkie sceny popychały opowieść do przodu. Zostawiliśmy więc przy Lewandowskiej tylko tyle, ile uznaliśmy za niezbędne, żeby opowiedzieć jej historię, ale nie przykryć historii innych. To jednak wyni-

kało przede wszystkim ze współpracy i z energii, którą Julka wniosła do tej postaci. Każda inna aktorka poprowadziłaby ją inaczej; nie mówię, że gorzej, ale na pewno inaczej. A to, co zrobiła Julka, było dokładnie tym, jak wyobraziłem sobie Lewandowską po przeczytaniu scenariusza. Więc całą zasługę zrzucał tutaj na nią (śmiech).

Ma Pan poczucie, że przez postać Janiny Lewandowskiej ten film opowiada też coś ważnego o miejscu kobiet w polskiej pamięci historycznej? Na czym panu tutaj zależało?

Nie chciałem w żaden sposób traktować Lewandowskiej jako szczególnie wyjątkowo ani bardziej jej gloryfikować, niż wynikało to z samej historii. Po prostu tak było. Kobieta, niezależnie od tego, czy mówimy o wojsku, o Kozielsku, czy o współczesności, ma swoje absolutnie autonomiczne miejsce. I właśnie tak to opowiadaliśmy. Staraliśmy się być szczerzy zarówno wobec historii, jak i wobec własnego sposobu myślenia.

Co takiego zobaczył pan w Jakubie Gierszałe, że od razu poczuł, że to właśnie on uniesie rolę człowieka, który stawia opór nie tylko czynem, ale całym swoim charakterem?

Kubę i Julkę obsadziłem właściwie już podczas pierwszej lektury scenariusza. To znaczy Grabowski i Lewandowska pojawili się w mojej głowie, zanim jeszcze dotarłem do końca tekstu. Zwykle jest tak, że czytając scenariusz, wyświetlamy sobie film w wyobraźni. I w tym filmie w mojej głowie od razu grał Kuba. Nie mogę więc powiedzieć, że



FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/IMAT/PRAS.

Lukasz Palkowski: Wszelkie deklaracje, że będziemy bohaterowie i waleczni, gdy nadejdzie wojna, są moim zdaniem nic niewarte, dopóki naprawdę się to nie wydarzy

była to do końca świadoma decyzja; po prostu poszedłem za intuicją. Ale niewątpliwie Kuba wnosi do tej postaci coś absolutnie unikalnego. Jest w nim jednocześnie łobuzerska fantazja, artystyczna wrażliwość i ten wspomniany przez panią bunt, tak charakterystyczny dla Polaka, który mówi „nie”, nie poddaje się i któremu nie da się założyć smyczy.

Jest w nim też ciepło i empatia. Potrafi przecież odmienić serce rosyjskiego chłopca, na którego własny ojciec, czyli filmowy Zarubin nie zwraca uwagi. To także bardzo ważny i poruszający wątek tego filmu.

To był dla nas jeden z ważniejszych wątków. Opowiada on o tym, że pojednanie nie jest niemożliwe. Ono po prostu potrzebuje zrozumienia. I właśnie to miało też dawać nam jakąś nadzieję.

W filmie tę historyczną postać, Zarubina gra Aidan Gillen. Zależało panu, żeby było tu inteligentne, uwodzielskie i przez to jeszcze bardziej niebezpieczne? Jak prowadzi się aktora takiego jak Gillen, z jego ogromnym doświadczeniem i silną osobowością, a zarazem osadza go w bardzo konkretnym historycznym kontekście? No i czy między Gillenem a Gierszałem od początku iskrzyło?

(Śmiech). Aidan jest oczywiście wielkim aktorem, ale też aktorem obdarzonym niebywałą pokorą wobec dzieła i historii, w której uczestniczy i którą współtworzy. To było bardzo niezwykle. Z Aidanem pracuje się fenomenalnie. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby ten rodzaj pracy jakoś

szczególnie odbiegał od tego, do czego jestem przyzwyczajony. Bo Aidan, jak każdy wielki aktor, potrzebuje swojego czasu, żeby przygotować postać. I bardzo dobrze, bo właśnie dlatego aktor jest artystą. Reżyser jest drogowym, ale to aktor tworzy postać, buduje nowego człowieka, którego losy widzowie będą potem śledzić. Na tym polega istota jego pracy. Ja zresztą zawsze staram się dawać aktorom dość dużo swobody w konstruowaniu postaci. Moją rolą jest raczej pokierować ich we właściwe miejsca tej historii. Dokładnie tak samo było tutaj. Z Aidanem bardzo dużo rozmawialiśmy o tym, kim jest Zarubin i czego właściwie od tej postaci chcemy. Musieliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy idziemy w stronę symbolu absolutnego zła. Ja bardzo chciałem tego uniknąć, bo nie noszę postaci jednoznacznych. Znacznie bardziej zależało mi na figurze Mefistofelesa niż jakiegoś swojskiego diabła Boruty.

Na finezji zła.

I to się zresztą całkowicie pokrywało z tym, jak myślał o tej roli Aidan. Chcieliśmy stworzyć postać, która jest jakby ambasadorem zła na tym świecie, ale ma przy tym swój ukryty cel. Tym celem jest ratowanie sztuki - nie artystów, tylko samej sztuki. Bo jemu nie zależy na człowieku, lecz na tym, czemu ten człowiek służy. To trochę taki Salieri z filmu „Amadeusz”. Człowiek, który sam nie ma aktu twórczego, nie ma w sobie tej mocy i nigdy nie będzie artystą, ale kocha sztukę tak bardzo, że w jej imię gotów jest zniszczyć artystę. I to rzeczy-

wiście jest dla tej postaci ważny punkt odniesienia.

Czy była w filmie scena, o którą szczególnie pan walczył? Taka, którą uważał pan za konieczną, nawet jeśli stwarzała problemy produkcyjne albo historyczne?

Mówiąc szczerze, najbardziej musiałem walczyć o pierwszą sekwencję, czyli kampanię wrzesniową. W ogóle nie było jej w scenariuszu. Zresztą wielu scen, które ostatecznie znalazły się w filmie, początkowo też tam nie było; część dopisywaliśmy jeszcze na etapie zdjęć. Ale kampanii wrzesniowej nie było naprawdę wcale. Historia zaczynała się dopiero w momencie, kiedy bohaterowie byli już pojmani. A mnie bardzo zależało na tym, żeby wojnę rozpocząć wojną. Wiedzieliśmy oczywiście, że to nie będzie film o bieganii z karabinem, ale chcieliśmy przez chwilę jednak wejść w ten świat: otworzyć film szerzej, pokazać odrobinę piekła wojny, zanim pokażemy piekło zupełnie innego rodzaju. To wymagało walki, bo, jak się pani domyśla, są to sceny bardzo kosztowne. Ostatecznie dostałem od produkcji obietnicę, że jeśli zostanie nam trochę pieniędzy na realizację tych scen, to będę mógł je nakręcić.

W Pana twórczości po filmie „Bogowie”, potem filmie „Najlepszy”, znów mamy historię inspirowaną faktami. Co pana przyciąga do takich opowieści? Co pana w nich uwodzi?

Fakty. Oczywiście fakty. Życie pisze zawsze lepsze scenariusze niż ludzie, bo nie zwraca uwagi ani na dramaturgię, ani na oczekiwania widzów. Dla

tego scenariusze pisane przez życie są zdecydowanie odważniejsze i lepsze. Ale chyba nie tylko o to chodzi. Wie pani, to jest też w pewnym sensie przekleństwo rynku. Kiedy zrobiłem „Bogów” i film odniósł sukces, zaczęły masowo trafiać do mnie biografie. Jeszcze nie filmy historyczne, tylko właśnie biografie.

I co? Bał się pan, że trafi do szufladki reżysera od odważnych polskich biografii? No cóż, prawdopodobnie już w tej szufladce jestem. A prawda jest taka, że zawsze marzyłem o tym, żeby robić horrory i science fiction, tylko jakoś strasznie mi to nie wychodzi i jeszcze się nie udało.

Proszę nie tracić nadziei!

(Śmiech). Natomiast historyczne kino jest dla mnie fascynujące także dlatego, że praca filmowca ma tę wielką zaletę, iż przy każdym projekcie wchodzimy w zupełnie nowy świat. Próbujemy zrozumieć rzeczy, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia. I właściwie tak jest za każdym razem. Kiedy przystępuję do pracy, odkrywam całkiem nowy wszechświat, który wcześniej był dla mnie zamknięty, albo którego po prostu nie zauważałem, choć istniał gdzieś obok. Prawdziwe biografie i kino historyczne są pod tym względem skarbnicą. Oczywiście tylko ułamek tego, czego się dowiaduję, trafia potem do filmu. Film ma około dwóch godzin, a wiedza, którą zdobywam przy jego tworzeniu, jest czymś nieprawdopodobnym. Wiem już trochę o medycynie, sporo o narkotykach, bardzo dużo o sporcie, sporo o historii. Zobaczymy, co będzie następnym.

Powiedział Pan kiedyś, że chce opowiadać o ludziach lepszych od siebie. Bohaterowie „Pojedynku” są właśnie takimi ludźmi?

Niewątpliwie tak. Wie pani, my tak naprawdę nie potrafimy powiedzieć, kim byśmy byli i jak zachowalibyśmy się w tak skrajnych sytuacjach, jakie spotykają bohaterów „Pojedynku”. Nie mamy o tym pojęcia, bo, oby tak zostało, nigdy nie mieliśmy okazji się w takich warunkach sprawdzić. Wszelkie deklaracje, że będziemy bohaterowie i waleczni, gdy nadejdzie wojna, są moim zdaniem nic niewarte, dopóki naprawdę się to nie wydarzy. My po prostu siebie nie znamy. Nie wiemy, czy jesteśmy tchórzami, czy ludźmi odważnymi. Nie mamy o tym zielonego pojęcia, dopóki nie zostaniemy postawieni pod ścianą. I obyśmy nigdy nie zostali. Natomiast tutaj opowiadamy o bohaterach, którzy nawet wtedy, gdy ta ściana już stała przed nimi, pozostają sobą. Walczą, czy to swoją postawą, czy z karabinem w dłoni. I oczywiście chciałbym wierzyć, że gdyby taki dzień kiedykolwiek nadszedł, okazałbym się kimś takim jak oni, a nie kimś, kto natychmiast ucieknie.

Jeśli Julia Pietrucha wróciła do aktorstwa, by zagrać w pańskim filmie, to już choćby ten fakt mówi o Panu bardzo dobrze. „Bogowie” to był film o buncie przeciw systemowi. „Najlepszy” z kolei to film o walce z własnym dnem. „Pojedynek” zaś to opowieść o próbie złamania człowieka przez system totalitarny. Jest wspólny rdzeń w tych filmach?

Myszę, że tym rdzeniem jest zawsze bohater każdego z tych filmów. To znaczy jednostka walcząca o sprawę niemal niemożliwą, jednostka, której życie rzuca kłody pod nogi, a ona mimo to idzie dalej i walczy o cel, który wydaje się nieosiągalny. To właśnie czyni taką postać niezwykle interesującą, a przede wszystkim inspirującą. Za każdym razem są to bohaterowie, którzy w jakiś sposób upadają, potem się podnoszą, walczą, a przede wszystkim przechodzą swoją drogę; drogę od kogoś bardziej samolubnego, czasem mniej znaczącego, do człowieka, który zaczyna inspirować i ratować innych. Wspólnego mianownika szukałbym więc właśnie tutaj: w jednostce, która walczy mimo wszelkich przeciwności.

Oglądając „Pojedynek”, nie można oprzeć się wrażeniu, że to film bardzo współczesny, choć opowiada o wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat. Propaganda, próba werbunku, manipulacja,

strach, kuszenie wygodą i kompromisem, to wszystko brzmi dziś zaskakująco znajomo. Co według Pana jest w tym filmie najbardziej współczesne?

Wydaje mi się, że właściwie wszystko. Bardzo nam zależało na tym, żeby ten film, choć osadzony w realiach historycznych, opowiadał historię współczesną, a bohaterowie byli współcześni w swoim myśleniu i odczuwaniu. Co ciekawe, nie wymagało to od nas jakichś szczególnych zabiegów, bo ludzie wtedy po prostu też tacy byli. Zawsze miałem w tyłu głowy, myśląc o Grabowskim, postać Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego. To nie jest oczywiście żadne bezpośrednie przełożenie, ale chodziło mi o pewien poziom kawalerskiej fantazji, który chciałem dać Grabowskiemu. Natomiast same zdarzenia pozostają boleśnie aktualne, bo tutaj dochodzimy do pewnego problemu: historia ma czkawkę i nieustannie się powtarza, a my jako ludzie nie wyciągamy z niej wniosków. Po raz kolejny doprowadzamy do bardzo podobnych sytuacji. W moim przekonaniu, jeśli chodzi o geopolitykę, jesteśmy dziś w roku 1936 i zostało nam naprawdę niewiele czasu, żeby się opamiętać.

Wspomniał pan Andrzeja Wajdę i jego „Katyń”. Nie miał Pan obaw, że robiąc film o Katyniu po latach, wchodzi na teren, który Wajda symbolicznie już zajął?

Może właśnie dlatego nie miałem takich obaw, że kiedyś rozmawiałem o tym z Andrzejem Wajdą. Powiedział mi wtedy, że jego „Katyń” musiał być właśnie taki, jaki był, po to, żeby każdy kolejny film o Katyniu mógł z nim dyskutować. Andrzej Wajda nigdy nie chciał zrobić jedynego filmu o Katyniu. Chciał zrobić film pierwszy, który w jakiś sposób rozpocznie dialog. Szkoła tylko, że kolejny głos w tym dialogu musiał czekać aż dwadzieścia lat.

Co chciałby Pan, żeby widz zapamiętał najbardziej, wychodząc z kina po „Pojedynku”?

Całą moją ambicją było to, żebyśmy w pewnym sensie zakończyli naszą żałobę. Żebyśmy przestali tylko opłakiwać naszych bohaterów, a zaczęli za nimi tęsknić na tyle mocno, by spróbować odbudować świat, który straciliśmy. Ta myśl wydawała mi się pozytywna i dająca nadzieję. Bardzo uparcie szukałem nadziei w tej historii, choć przecież jest jej w niej naprawdę niewiele. I chyba właśnie o to mi chodziło najbardziej: żebyśmy zaczęli leczyć nasze rany, a nie je wciąż rozdrapywać.

Po raz trzeci w swojej żeglarskiej karierze Krzysztof Baranowski podejmuje się samotnego rejsu dookoła świata. Próba ta jest szczególna, ponieważ tym razem jest to zderzenie z żywiołem człowieka w bardzo dojrzałym już wieku. 87-latek obrał sobie za cel pokazanie, że się da. W tym samym czasie dwie kobiety podjęły inne wyzwanie, czyli opowiedzenia tej historii za pomocą kamery. W trakcie okazało się, że podążanie śladami kapitana jest wieczną łamigłówką.

Powstaje dokument o rejsie Baranowskiego

Julia Pełka oraz Paulina Skibińska, dwie reżyserki i absolwentki Szkoły Filmowej w Łodzi, tworzą razem wytwórnię Parallax Film. Mają na koncie już kilka dokumentalnych obrazków. Ostatni z nich - krótkometrażowy „Lonia and Bronia” - opowiadał o niezwykłych siostrach bliźniaczkach dla Netflix.

Teraz chcą jednak zadebiutować w dłuższej formie. I od razu rzuciły się na głębokie wody za żeglarską legendą Polski. Podróżują za, a często wręcz przed, Krzysztofem Baranowskim. Kapitan podjął trzecią już próbę samotnego okrążenia świata, a z nim reżyserki ze swoim sprzętem. Twórczynie przyznają, że to idealny bohater dla każdego filmu dokumentalnego.

- Kamera po prostu lubi kapitana. Ma w sobie naturalny, filmowy magnetyzm. W połączeniu ze spokojem i uważnością tworzy na ekranie coś wyjątkowego - przyznaje Julia Pełka, reżyserka, dziennikarka i producentka filmowa. - Opowiemy także o jego niezwykłej przeszłości. Opowiemy także o niezwykłym rozdziale historii związanym ze Szkołą pod Żagłami. W filmie pojawią się archiwalne materiały z rejsów, podczas których młodzi ludzie jednocześnie uczyli się i żeglowali po świecie.

Walka o sprzęt

Rejs będzie więc pretekstem do stworzenia niezwykłego portretu. Twórczynie mają bowiem dostęp nie tylko do materiałów archiwalnych, ale też wyjątkowych sytuacji na każdym z przystanków kapitana. Baranowski odwiedza cały świat, a widzowie razem z nim.

- Rejestrujemy nie tylko to, co dzieje się wokół kapitana - porty, ludzi i miejsca, ale także eksperymentujemy z obrazem i jego formą. Część materiału kręcimy na taśmie 8 mm. Kupiliśmy specjalną kamerę i jeszcze w San Francisco przeprowadzaliśmy pierwsze testy taśmy, żeby sprawdzić, jak oddaje światło i atmosferę podróży - opowiada Paulina Skibińska, reżyserka, scenarzystka i producentka filmowa. - Podróżowa-



Kapitan Baranowski podjął się niezwykle trudnego wyzwania



Samotny żeglarz wśród wielkich kontenerowców

Z KAMERĄ ZA KAPITANEM, CZYLI MORSKI FILM DROGI

Powstaje film dokumentalny o wyprawie kapitana Krzysztofa Baranowskiego, który podjął próbę opłynięcia kuli ziemskiej. Podążanie śladami żeglarza to skomplikowana łamigłówka

Andrzej Kowalski

nie z taką kamerą nie jest jednak proste. Taśmy nie można prześwietlić, a przede wszystkim nie może przechodzić przez standardowe skanery rentgenowskie na lotniskach. Za każdym razem musimy prosić o ręczną kontrolę i specjalne procedury, co sprawia, że odprawy trwają znacznie dłużej. W Paryżu o mało nie zatrzymano nam kamerę - dla celników wyglądała podejrzanie i długo tłumaczyliśmy, czym jest i dlaczego ją przewożymy.

Podróż wymusza więc częstą „walkę” o sprzęt. Jak zdradza Skibińska, w walizkach jest go więcej niż ubrań. Bagaże zawierają głównie baterie, filtry i kilka kamer.

Bohater znany, a miejsca tajemnicze

Proces kręcenia tego filmu jest skomplikowaną rzeczą. Nie ma nieskończonych przykładów czasu, bohater jest w wiecznej i szalonej podróży do miejsc, które nie są dostępne dla zwykłych śmiertelników. Twórczynie są na każdym przystanku z kapitanem, ale żeby tam do-

trzeć, muszą wykazać się sporą logistyczną kreatywnością. W ostatnich trzech tygodniach latały jedenaście razy.

- Jest bardzo intensywnie - mówi Julia Pełka. - To miejsca, do których zwykle się nie dociera. Kapitan zatrzymuje się często w punktach zupełnie niedostępnych dla turystów. Na wyspę Ua Pou dopłynęliśmy z rybakami, bo nie było innej możliwości, aby się tam dostać. Innym razem leciałyśmy małym, ośmioosobowym samolotem.

Sam jednak fakt, że kamera do tych miejsc trafia, ma być dodatkowym atutem całego projektu. Stworzy niepowtarzalne tło, które będzie mozaiką z mało znanych krain.

- Szlak kapitana prowadzi przez różnorodne miejsca, czasem i takie, które są rzadko odwiedzane i właśnie dlatego chcemy pokazać je światu naszymi kamerami - dodaje Pełka.

Historia dotarcia na wyspę Ua Pou jest tego idealnym przykładem, a jednocześnie zaledwie ułamkiem przygód, na które twórczynie trafiły na jednym

z przystanków. Lokalizacja trudno dostępna na środku oceanu, archipelag obfity w małe wyspy. Sposób dotarcia w dokładne miejsce to logistyczna łamigłówka.

- Korzystamy z najmniejszych linii lotniczych świata, płyniemy rodzinnymi łodziami rybackimi albo promami, o których można dowiedzieć się tylko w lokalnym urzędzie. To ciągłe planowanie, improwizacja i ogromna determinacja, żeby dotrzeć tam, gdzie toczy się historia. Na Ua Pou zabrała nas rodzina rybacka swoją motorówką. Podróżowałyśmy z wyspy na wyspę, rozmawiałyśmy z mieszkańcami i opowiadałyśmy im o kapitanie. Dzięki temu lokalni ludzie pomagali nam przemieszczać się dalej - mówi Paulina Skibińska.

Baranowski utknął na jeziorze

Jak się można domyśleć, nie tylko bohater czy tło będą przyciągać widzów przed ekrany. Ważnym elementem, którego tłumaczyć chyba za wiele nie trzeba, będą przygody napo-

tkane przez kapitana i samą kamerę w trakcie tej szalonej wyprawy. Twórczynie nie mogą być na jachcie z kapitanem - to w końcu samotny rejs dookoła świata - ale zdarzają się jednak wyjątki.

Tak było na Kanale Panamskim. Tam Baranowski potrzebował na swoim pokładzie czterech cumowników. Nadarzyła się więc okazja, aby wejść na „Meteora”. Julia Pełka wykrzystała to i robiła ujęcia z niezwykle ważnego momentu całej przeprawy. Była to bowiem także sytuacja krytyczna dla samego kapitana.

- Oprócz kapitana na pokładzie musi być nie tylko czterech cumowników, ale i pilot, który prowadzi jacht przez system śluz - opisuje Julia Pełka. - Tego dnia pilot miał jednak wypadek i nie dotarł do nas na czas. W efekcie utknęliśmy na jeziorze Gatún na dwa dni, czekając na możliwość dalszego przejścia przez kanał. Wieczór wigilijny spędziliśmy w uwięzieniu na środku jeziora wśród ogromnych kontenerowców. Dopiero następnego dnia przypłynął po nas pilot, który przeprowadził nas przez kolejne śluzy Kanału Panamskiego. Otwierając tym samym symboliczne wrota na kolejne etapy podróży i bezkres Oceanu Spokojnego.

Film ukaże wszystkie takie kluczowe momenty. Sam kapitan będzie też opowiadał, co w tych wszystkich momentach czuł i jak udało mu się wyjść z każdej sytuacji. Już teraz wiadać, że ta przeprawa pokaże wiele twarzy, ale i niezłomność Baranowskiego.

Film drogi na oceanach

Obraz, jaki przygotowuje Parallax Film, ma szansę być wyjątkowym przedsięwzięciem. Baranowski - chociaż jak mówił niedawno „Dziennikowi Bałtyckiemu”, sam o to nie dba - ma szansę pobić rekord Guinnessa i zostać najstarszym żeglarzem, który opłynął samotnie glob. Potencjał filmu też jest więc wielki.

- Osią filmu jest oczywiście sam rejs - opisuje Skibińska. -

Chcemy pokazać go w całości - od pierwszych mil po kolejne etapy podróży. Interesuje nas nie tylko droga przez morza i oceany, ale także emocjonalna strona tej wyprawy i przemiana bohatera. Choć nie jesteśmy jeszcze w połowie trasy, kapitan przeszedł już kilka momentów przełomowych. Bywał wyczerpany po trudnych odcinkach, ale zdarzało się też, że pojawiał się na horyzoncie pełen energii i radości. Widać, jak zmienia się po kilku dniach odpoczynku na łodzi. Dzięki temu widz będzie mógł naprawdę wejść w tę historię i przeżyć całą podróż razem z nim.

Jak mówią twórczynie, dokument będzie filmem drogi. Narracja jest więc sprawą rozwojową. Cały czas zmienia się też pomysł na opowieść o całym rejsie. Ewoluuje podróż, bohater i same twórczynie.

Wsparcie dla filmu

Cała operacja jest skomplikowana, trudna, ale warta wysiłku. Obok skomplikowanej logistyki pojawiają się też pytania o ciągle rosnący budżet projektu. Twórczynie nie narzekają, ale szukają sposobów na to, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Jest to w końcu przedsięwzięcie na wiele, wiele miesięcy.

- W tę podróż wyruszyłyśmy nagle - z kamerami, pomysłem na film i ogromną determinacją, żeby zdążyć za kapitanem. Od początku wiedziałyśmy, że to projekt, który będzie powstawał w drodze, dlatego uruchomiłyśmy zrzutkę, dzięki której każdy może stać się częścią tej historii - mówi Paulina Skibińska.

Wspierający mogą otrzymać rzadkie pamiątki, które będą miały ścisły związek z powstawaniem filmu. Będą to między innymi pocztówki z portów odwiedzanych przez kapitana. Dodatkowo można też znaleźć się w napisach końcowych filmu i symbolicznie dołączyć do ekipy filmowej.

Inicjatywę stworzenia filmu o rejsie kapitana Baranowskiego można wesprzeć pod adresem zrzutka.pl/film. ©©

Poznaj kolejne historie miłości naszych par z akcji RAZEM NAJLEPIEJ



Ich historie to opowieści o takich relacjach, które dopiero się rodzą - i o takich, które trwają już od wielu lat. Nie ma jednego wzorca ani scenariusza, bo te opowieści napisało samo życie.

- Kolejny już raz mamy przyjemność przedstawić na łamach naszej gazety historie miłości uczestników tegorocznej edycji akcji Razem Najlepiej - mówi Katarzyna Borek, która zajmuje się tym plebiscytem od strony redakcyjnej. Jak dodaje: - Dziś

przedstawiamy ostatnie wybrane opowieści, ale wszystkie nadesłane do nas historie znajdziecie na naszej stronie internetowej. Czytałam je wszystkie. Znajdujemy w nich radość i codzienne ciepło, czasami też wspomnienia trudniejszych dni, bo wiadomo, jak bywa życie, a ze sobą się jest i na dobre, i na złe.

To opowieści o wzajemnym wsparciu, poczuciu humoru, ale naszym zdaniem przede wszystkim o tym, jak ważne są w codziennym życiu drobne gesty, takie jak:

wspólny spacer, rozmowa przy kawie, krótki telefon w środku dnia, weekendowy wyjazd gdzieś w Polskę czy zwykły uśmiech.

To właśnie w takich codziennych chwilach rodzi się prawdziwe „razem najlepiej”, które dla wielu uczestników naszej akcji znaczy więcej niż wszystko inne.

Ich miłość nie zawsze zaczynała się od wielkich słów czy spektakularnych gestów, jak podkreślają w swoich opowieściach. Częściej pojawiała się od uśmiechu podczas

przypadkowego spotkania, wspólnej pracy, portalu randkowego, kawy, a czasem omyłki losu, która okazała się szczęśliwym trafem. To naprawdę fascynujące czytać, z jakich przypadków losu, szybkich decyzji czy szczęśliwych przypadków powstają wspólne noce i dni, plany, rozmowy i drobne rytuały, które stają się fundamentem relacji. A potem jest dom, dzieci, zwierzęta, wspólne poranki i wieczory przy serialu. - To wszystko razem tworzy opowieść, które są dla każdego

z uczestników wyjątkowe, bo są ich, a my z radością je publikujemy - mówi dziennikarka.

Głosowanie na najsympatyczniejszą parę tej edycji Razem Najlepiej trwa w najlepsze, rankingi się zmieniają, a przed nami - już za dwa tygodnie - finał w skali województwa. W tym roku, podobnie jak w poprzednich edycjach, na zwycięzców akcji czekają wspaniałe nagrody - między innymi wyjazdy do SPA i wczasy w Grecji, a w finale ogólnopolskim nagroda główna - SAMOCHÓD -

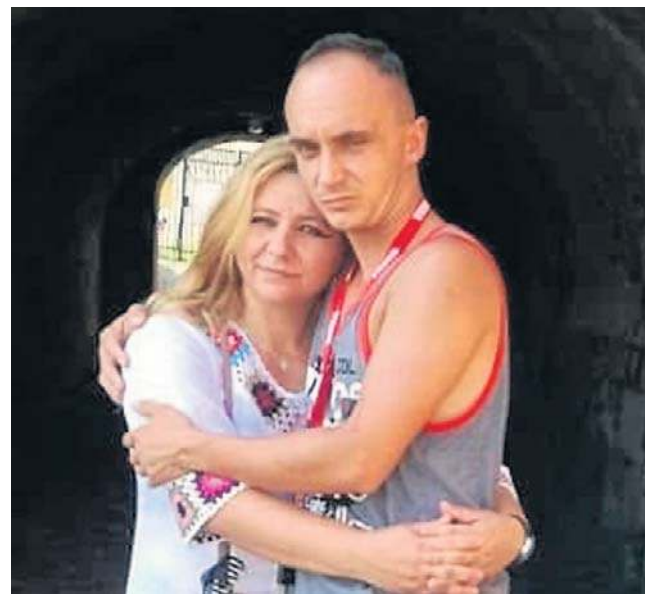
piękny Citroen C3 Aircross Plus! Zdjęcia zwycięzców trafią też na okładkę naszej gazety. To wszystko po to, by docenić pary, które zdobyły sympatię czytelników i pokazały, że ich codzienne „razem” ma znaczenie - i po to, by docenić miłość. By pokazać, że historia każdego zgłoszenia może być zauważona, godna wyróżnienia. Wszystko to buduje prawdziwe „razem”. To w takich momentach rodzi się bliskość, poczucie bezpieczeństwa i radość, które dla wielu są najważniejsze w ich życiu.

Więcej o akcji na www.polskanews.pl/razem-najlepiej



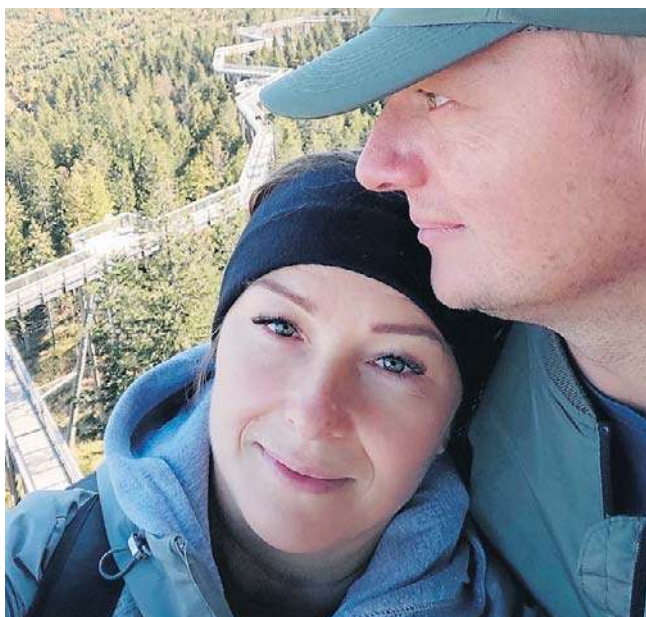
● KAROLINA I DAMIAN PAPKA

- Poznaliśmy się przelotnie u znajomego. Minęło kilka lat i choć miałem w telefonie setki kontaktów, napisałem właśnie do niej. Umówiliśmy się na spacer. Była zima, wszędzie leżał śnieg, a ona z uśmiechem na twarzy ulepiła śnieżkę i z precyzją zegarmistrza wycelowała w moją twarz. Trafiając bezbłędnie - mówi pan Damian. Dziś najbardziej szczęśliwi są wtedy, gdy dzieci zasną i zapada cisza. To najbardziej romantyczna pora dnia - chwila spokoju, bliskości i wspólnego oddechu. Ich relacja to połączenie miłości, przyjaźni i codziennych małych chwil, które budują wyjątkowość.



● ANNA KOŁODYŃSKA I MATEUSZ KOŁODYŃSKI

Choć poznali się przez Facebooka, to od pierwszych rozmów czuli, jakby znali się od dawna. Pan Mateusz wyjawia, że urzekła Go dobroć pani Anny, sposób, w jaki się śmieje i to, jak naturalnie wszystko między nimi się układało. To właśnie sprawiło, że chcieli być razem. Jakie chwile sprawiają, że czują się najlepiej, będąc razem? - Najlepiej czujemy się razem w tych najprostszych chwilach - kiedy możemy być blisko siebie, rozmawiać godzinami albo po prostu cieszyć się swoją obecnością. To właśnie wtedy czujemy największy spokój i szczęście - wyznają.



● KAROLINA I GRZEGORZ DERLETA

W pośpiechu szkolnego korytarza, między echem dzwonka a szmerem rozmów, pan Grzegorz poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Rozejrzał się w tłumie, aż natrafił na oczy pani Karoliny. - Te oczy patrzą na mnie tą samą niezmienną miłością już 26 lat - mówi. Ich wspólną pasją jest jazda motocyklem. - Kiedy odpalam silnik i czuję, jak ona zajmuje miejsce za mną, świat zewnętrzny przestaje istnieć - mówi. A pani Karolina dodaje: - Znim każda podróż staje się opowieścią o nas. Nie liczy się cel, ale to, że on chce być przewodnikiem po moich marzeniach i pokazać mi cały świat, kawałek po kawałku.



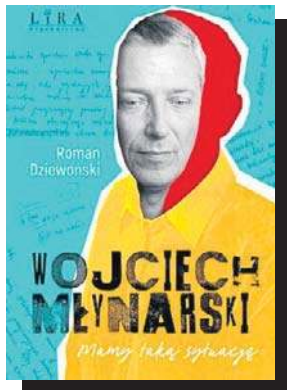
● MAGDALENA SOBCZAK I PIOTR KAZIMIERCZAK

Ich spojrzenia spotkały się w McDonalddie, On składał zamówienie, Ona jadła kanapkę, gdy wymienili się spojrzeniami, nie było już odwrotu, wiedzieli, że będzie z tego coś poważnego. - Każda sekunda, minuta, godzina razem, jest najwspanialszą chwilą w naszym życiu, nieważne gdzie, nieważne co robimy, ważne, że razem - mówią. Zapytaliśmy szczęśliwą parę także o to, jak opisałiby swoją relację oraz o to, co najbardziej w sobie cenią. - Miłość, przyjaźń, wzajemny szacunek, zaufanie i mnóstwo uśmiechu, które dajemy sobie nawzajem to podstawy naszej relacji - odpowiadają zgodnie.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Wojciech Młynarski. Mistrz zwykłych, prostych słów

„Dopóki zwykle, proste słowa nie wynaturzą się żałośnie, póki pokrętna nowomowa zakalce w ustach nam nie rośnie, dopóki prawdę nazywamy, nieustępliwie ćwicząc wargi w mowie Miłosa, mowie Skargi, przetrwamy...”

Tak zaczyna się wiersz Wojciecha Młynarskiego „Przetrwamy”. Mocno patetyczny jak na niego, bo zwykle kojarzymy go z utworami opisującymi świat (konkretnie: Polskę) z pozycji zwykłego człowieka, everymana zmagającego się z tymi samymi problemami co każdy. Pogodna świadomość własnych ograniczeń („Jeszcze w zielone gramy”), wąskich horyzontów, w jakich można się poruszać („Jesteśmy na wczasach”), ale też niegodzenia się z rzeczywistością i pamiętanie o własnych ambicjach („Róbmy swoje”) - to cechy charakterystyczne kreacji Młynarskiego. I właśnie nimi zjednął sobie sympatię milionów.

Młynarski napisał ponad 2 tys. tekstów piosenek. Mnóstwo (dla porównania - Jacek Cygan stworzył ich o połowę mniej), jednak nie to czyniło go wyjątkowym. On bowiem nie tylko je pisał, on także je śpiewał. Bardzo rzadko się zdarza, by twórcy sami wychodzili na scenę i na niej prezentowali własne utwory. Zwykle piosenkarze to oddzielna kategoria od twórców tekstów, zwłaszcza gdy mówimy o tekstach przez duże „t”. Młynarski umiał dokonać syntezy tych dwóch różnych umiejętności. Jego charakterystyczną wysoką sylwetkę lekko garbiącą się przy mikrofonie znają pokolenia Polaków. I te same pokolenia razem z nim powtarzały „pucio-pucio”.

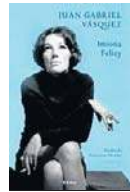
Jego postać przypomina teraz Roman Dziewoński. Jego książka wyrosła z pasji do autora. Solidnie omówione jest w niej całe życie Młynarskiego - z wykorzystaniem materiałów z epoki i rozmów z osobami, które go znały. Do tego mnóstwo prywatnych zdjęć z całego jego życia. Biografia człowieka, który jak mało kto umiał jasno i konkretnie. „Dopóki zwykle, proste słowa nie wynaturzą się żałośnie” - sam pisał. On tymi zwykłymi prostymi słowami władał najlepiej.

Roman Dziewoński „Wojciech Młynarski. Mamy taką sytuację”, wyd. Lira, Warszawa 2026, cena 99,99 zł



Saga rodzinna i wątki sensacyjne

Najnowsza powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy francuskich. Lemaitre ciągnie swoją sagę rodu Pelletierów. Otrzymujemy imponujący fresk z wątkami sensacyjnymi. **Pierre Lemaitre „Mrok i światło. Lata chwały”,** wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 59,90 zł



„Zmarła z powodu smutku”

Bohaterką tej powieści jest kolumbijska rzeźbiarka o polskich korzeniach. „Zmarła z powodu smutku” - pisze o niej autor. Następnie opisuje, co do tej sytuacji doprowadziło. **Juan Gabriel Vásquez „Imiona Felizy”,** wyd. Echa, Warszawa 2026, cena 54,99 zł



Szokująca prawda o Facebooku

Autorka pracowała długo w Facebooku. W książce ujawnia szczegóły, których ta firma opowiedzieć nie chce. **Sarah Wynn-Williams „Bez względu. O władzy, chciwości i upadku ideałów największego portalu społecznościowego”,** wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Zbrodnia, w którą świat nie chciał uwierzyć

Przez lata II wojny wolny świat nie wierzył w pogłoski o tym, co się działo w niemieckich obozach koncentracyjnych. Ta książka tłumaczy dlaczego. **Krzysztof Drozdowski „Tajemnice niemieckich obozów koncentracyjnych”,** wyd. Replika, Poznań 2026, cena 54,90 zł



Mała księgarnia i głęboka samotność

Kolejna powieść pokazująca specyfikę codziennego życia Korei Południowej. Ale też elementy egzotyczne przeplatają się z uniwersalną prawdą o życiu: każdy szuka miłości.

Lee Do-Woo „Spotkajmy się, kiedy będzie ładna pogoda”, wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 54,99 zł



Świat polskich Kresów, którego dziś nie ma

Wznowienie jednej z najważniejszych powieści Miłosa, pierwotnie wydanej w 1955 r. Poetycko-literacki obraz litewskich kresów. Tytułowa dolina znajduje się nad rzeką Niewiaża, dziś na Litwie.

Czesław Miłosz „Dolina Issy”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,99 zł



Operacja: sukcesja. Berlin zmienia kanclerza

Political fiction, której akcja rozgrywa się na najwyższym szczeblu niemieckiej polityki. W Berlinie trwa operacja zmiany kanclerza. Problem w tym, że kandydat na szefa rządu ma zabagnioną przeszłość. **Magdalena Parys „Floren”,** wyd. Agora, Warszawa 2026, cena 59,99 zł



Jak współcześnie nawigować po życiu

W świecie braku autorytetów i uniwersalnych kanonów autorka przedstawia zespół podstawowych reguł ułatwiających życiową nawigację. Busole stanowią wartości znajdujące się w Biblii. **Nicole M. Caruso „Jesteś tego warta”,** wyd. W Drodze, Poznań 2026, cena 59,90 zł



Średniowieczna Japonia samurajów

Samuraj porusza się po kraju w poszukiwaniu prawdy o swojej przeszłości. W tle obserwujemy zacieklą rywalizację na szczytach władzy i klimat średniowiecznej Japonii. **Frédéric Genet, Jean-François Di Giorgio „Samuraj”,** wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 119,99 zł



Dramat Rwandy między Tutsi i Hutu

Reportaż oddający specyfikę walk Tutsi z Hutu w Rwandzie w 1994 r. Szczegółowy opis genezy konfliktu i jego przebieg. I dramat ludzi.

Philip Gourevitch „Pragniemy zawiadomić, że jutro zostaniemy zabici wraz z rodzinami”, wyd. Filia, Poznań 2026, cena 69,99 zł



Borys Dyrda, Śląsk i życiowe kryzysy

Autorka wraca do swojego ulubionego bohatera, dziennikarza Borysa Dyrdy. Ma problemy osobiste - ale nawet to nie powstrzymuje go przed ruszeniem za kolejnym tropem.

Magdalena Majcher „Rechtorka”, wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 49,99 zł



Kryminał, w którym pojawiają się wampiry

Trudno określić, czy to bardziej kryminał, czy horror. Ale takie crossy są coraz popularniejsze - więc autor uznał, że spróbuje sił w tej postmodernistycznej formule.

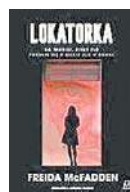
Maciej Kaźmierczak „Wściekły”, wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2026, cena 49,99 zł



Odrobina Italii na własnym talerzu

55 prostych, ale oryginalnych i smacznych przepisów na danie z makaronami. Wiadomo, że pasta najlepiej smakuje we Włoszech. Ale też w ten sposób można mieć odrobinę Italii na własnym talerzu.

Mateo Zielonka „Pasta Pronto!”, wyd. Buchmann, Warszawa 2026, cena 69,99 zł



Do książki warto zwrócić dla samej dedykacji

Idealnie poukładane życie Blake'a zmienia się, gdy do jego kamienicy wprowadza się tajemnicza lokatorka. Z jej pojawieniem się sytuacja gęstnieje. W sumie thriller jak thriller. Ale dedykacja w tej książce - perełka.

Freida McFadden „Lokatorka”, wyd. IV Strona, Poznań 2026, cena 54,90 zł



Gdy nagle przestajesz się martwić o pieniądze

Thriller psychologiczny, w którym proste wakacyjne zajęcia (zbieranie buraków) zamienia się w walkę o życie. Wcześniej głównym problemem bohaterki były pieniądze. Nagle takie zmartwienia okazały się niczym.

Margie Sarsfield „Beta vulgaris”, wyd. Storylight, Warszawa 2026, cena 44,99 zł



Przedkolumbijskie złoto i wojna

Tym razem szlaki morskie rzuciły Corto w okolice Meksyku. Ma stamtąd wywieźć stare złoto Azteków, ale misję utrudnia mu trwająca w regionie wojna. Jak marynarz z tym sobie poradzi?

Juan Diaz Canales „Corto Maltese. Linia życia”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 69,99 zł

Za każdym projektem domu, mieszkania stoi człowiek. Jego wrażliwość, doświadczenia oraz sposób patrzenia

W ramach plebiscytu MISTRZOWIE BUDOWNICTWA 2026 oddajemy głos architektom i projektantom, którzy swoją pracą współtworzą przestrzeń, w której żyjemy na co dzień.

Cztery ściany mają swój początek w głowach - naszych i ludzi, dla których to istota zawodowego życia. A dom rodzi się podczas rozmów: o tym, jak chcemy żyć na co dzień, jak będą wyglądały nasze poranki i wieczory, jak liczna jest nasza rodzina i czy mamy zamiar ją powiększyć, czy pracujemy w domu, czy nie.

Za nami pierwszy tydzień głosowania w akcji Mistrzowie Budownictwa 2026, w ramach

której wybieramy również Projektanta/Architekta Roku. Przedstawiciele tego zawodu nie mogło zabraknąć, bo przecież budowa własnego domu czy urządzenie mieszkania to coś więcej niż decyzje o materiałach czy kolorach ścian. A tak naprawdę wcale nie od nich się zaczyna, a od rozmowy właśnie. Wszystkie elementy domu, które na co dzień wydają się oczywiste, są takie, dopóki... nie zaczynamy o nich rozmawiać z ekspertem. Wtedy okazuje się, że nie wszystko jest tak oczywiste, jak się wydaje, a pytania, które wydawały się na wyrost, mają znaczenie; decyzje podjęte samodzielnie mogą ciążyć przez lata... - W ramach plebiscytu Mistrzowie

Budownictwa chcemy pokazać, że za każdym pięknym projektem stoją ludzie - architekci i projektanci, którzy łączą wiedzę, wyobraźnię, dobry smak z praktycznym doświadczeniem. Poprosiliśmy ich o podzielenie się opowieściami dotyczącymi ich samych i ich pracy, by przybliżyć ją naszym czytelnikom, nie tylko tym, którzy dopiero planują budowę domu czy aranżację mieszkania - opowiada Katarzyna Borek, która opiekuje się Mistrzami Budownictwa od strony redakcyjnej. Efektem są opowieści, które pokazują również mniej znaną stronę projektowania - z jej emocjami, nieoczekiwanymi wyzwaniami, zwrotami akcji i wybo-

rami, ale też satysfakcją z dobrze wykonanej pracy i uśmiechem ludzi, którzy w tych czterech ścianach zbudują swoje szczęście.

Te historie - opowieści projektantów i architektów, którzy zgodzili się podzielić swoimi doświadczeniami - znajdziecie wkrótce również na naszej stronie internetowej. Poznać ich nie tylko jako ekspertów od układu pomieszczeń czy estetyki, ale także przewodników, którzy pomagają zrozumieć, co jest ważne, jakie pytania zadać, jak uniknąć typowych pułapek. Spójrzcie na projektowanie oczami kogoś, kto widzi detal, przewiduje konsekwencje i zamienia marzenia w przestrzeń do życia.



Idealny dom? Taki, gdzie ludzie czują się dobrze



Justyna Wróbel,
ju. architektura wnętrz Justyna Wróbel, Radom

Dom idealny do życia to ten, który odpowiada właśnie naszym, indywidualnym potrzebom. Dlatego zawsze długo wypytuje klientów o to co dla nich ważne w domu czy mieszkaniu - mówi.

Klienci często pytają ją o wykonanie poszczególnych etapów projektu, np. projektu instalacji, projektu sufitów podwieszanych lub oświetlenia, z myślą, że w przyszłości zajmą się resztą. Są bardzo zaskoczeni, gdy pani Justyna odmawia wykonania tego jednego etapu projektu. Dlaczego? Ponieważ, Jej zdaniem, praca projektowa jest kompleksowa, niepodzielna na etapy. Dzielenie pracy na odcinki może skończyć się niemiłymi niespodziankami, np. tym, że lampa zamiast nad stołem właśnie nad krzesłem. I wtedy

dojdą niemałe koszty poprawek. I właśnie przed tym pani Justyna chroni swoich klientów.

- Kilka lat temu brałam udział w szkoleniu biznesowym. Jednym z zadań było stworzenie oferty dla wymarzonego klienta. Opis tego klienta, jego cechy, wizualizacja. I ja wtedy stworzyłam taką ofertę dla młodego małżeństwa, o imionach Kuba i Ania. Jakie było moje zdziwienie, gdy niecałe 2 tygodnie później właśnie pani Ania i pan Kuba, młode małżeństwo, zamówili u mnie projekt domu. I rzeczywiście, współpracowało się nam świetnie - wspomina. Klientom zawsze mówi, żeby nie czekali z projektem. Wczesne planowanie pomaga uniknąć wielu kosztów związanych z przeróbkami, dlatego warto pomyśleć o tym wcześniej.

Projektowanie wnętrz to coś więcej niż zawód



Mariusz Krzysztofik,
Casa D'Arte, Radom

Pan Mariusz na co dzień tworzy wnętrza, które mają charakter. A Jego największym sukcesem jest każdy zadowolony klient, który zyskuje szytą na miarę przestrzeń do życia.

Projektowanie wnętrz to dla Niego coś więcej niż zawód - to pasja, dzięki której pomaga swoim klientom stworzyć przestrzeń idealnie dopasowaną do ich stylu życia, potrzeb i marzeń. Bo dobre wnętrza to takie, w którym ludziom dobrze się mieszka, to rozwiązania szyte na miarę, indywidualne podejście i umiejętność słuchania są w tym zawodzie kluczowe. Dbą zatem o przemyślany układ, funkcjonalność, spójną koncepcję stylistyczną oraz starannie dobrane materiały i kolory. Każdy projekt to dla Niego zu-

pełnie inna, ważna historia. Liczy się tutaj zarówno dbałość o detale, jak i połączenie estetyki z funkcjonalnością. Bo pan Mariusz doskonale wie, że ważny jest nie tylko wygląd, ale także komfort codziennego użytkowania, harmonia przestrzeni oraz atmosfera, w której po prostu chce się być. I to właśnie cenią klienti.

Pan Mariusz, nominowany do tytułu Projektant/Architekt Roku specjalizuje się w kompleksowych projektach wnętrz mieszkań i domów - od koncepcji, przez wizualizacje, aż po dobór materiałów i nadzór nad realizacją. Pomaga Mu w tym duża wiedza, doświadczenie, pasja oraz jasna komunikacja, którą cenią klienci.

Każdy zadowolony klient i każde zrealizowane wnętrza to Jego największy sukces.

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista uczestników plebiscytu, którzy od początku głosowania do czwartku, do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z miast i powiatów oraz lista liderów głosowania w kategoriach wojewódzkich

HYDRAULIK ROKU

1. **Ernest Bereski**, Plumber Ernest Bereski, Wyszów
2. **Dawid Tomkowski**, Hydro-Tom Usługi Hydrauliczne, Radom
3. **Albert Dzwonkowski**, T&A TALBUD, Czaplinek

ELEKTRYK ROKU

1. **Marek Gos**, Elektryk Marek Złota Rączka, Szydłowiec
2. **Dominik Starzyński**, ElStar Instalacje Elektryczne, Stary Kadłubek
3. **Rafał Kobylka**, Elektro Gonz, Przysucha

BUDOWLANIEC ROKU

1. **Kamil Podnieśniński**, Pogotowie remontowe Kamil Podnieśniński, Siedlce
2. **Przemysław Pietrak**, PRW Przemysław Pietrak, Kielce
3. **Dawid Giza**, Usługi Budowlano-Remontowe Dawid Giza, Strykowice Podlesne

PROJEKTANT/ARCHITEKT ROKU

1. **Joanna Maciejewska**, Space Concept - Projektowanie Wnętrz Joanna Maciejewska, Sierpc
2. **Daniel Drzazga**, ArchStudio Biuro Projektowe, Mińsk Mazowiecki
3. **Mariusz Krzysztofik**, Casa D'Arte, Radom

GEODETA ROKU

1. **Hubert Kowalski**, H&J Sp. z o.o., Otwock
2. **Łukasz Aderek**, Geowita Usługi Geodezyjne Łukasz Aderek, Radom
3. **Bartłomiej Kowalewski**, Geodezja - Bartłomiej Kowalewski, Sochaczew

STOLARZ ROKU

1. **Rafał Świerczyński**, Pan Decha, Radom

SZEF FIRMY REMONTOWO-BUDOWLANEJ ROKU

1. **Mateusz Antoniak**, Mat-Bud, Warszawa
2. **Artur Jaskulski**, Paterson Ocieplenia, Grojec
3. **Michał Liszewski**, MI-Bud, Pułtusk

FIRMA REMONTOWO-BUDOWLANA ROKU

1. **ElStar Instalacje Elektryczne**, Stary Kadłubek, Stary Kadłubek 42
2. **PMG Kiliański**, Usługi remontowo-budowlane, Ciechanów
3. **Kompleksowo**, Wołomin, Kościelna 67

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.polskanews.pl/mistrzowie-budownictwa

INWESTYCJE W MIEJSCE ZBURZONEGO INTRACO MA POWSTAĆ NOWY BIUROWIEC O TAKIEJ SAMEJ WYSOKOŚCI

Intraco zniknie. Konserwator odmówił wpisu do rejestru zabytków

Mateusz Łuba
Warszawa

Intraco to charakterystyczny budynek północnej Warszawy. Niedługo zostanie zastąpiony nowoczesnym biurowcem.

Po oględzinach w biurowcu Intraco Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków podjął ostateczną decyzję w sprawie charakterystycznego budynku Muranowa. Wieżowiec nie zostanie wpisany do rejestru zabytków nieruchomości województwa mazowieckiego. Tym samym Polski Holding Nieruchomości będzie mógł przystąpić do wyburzenia obiektu.

Jak poinformowała „Rzeczpospolita”, Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków (MWKZ) decyzją z 9 marca orzekł o odmowie wpisu do rejestru zabytków nieruchomości województwa mazowieckiego biurowca Intraco, znajdującego się przy ul. Stawki 2 w Warszawie. Decyzji nadano rygor natychmiastowej wykonalności.

Po przeanalizowaniu zebranego materiału dowodowego



Budowa Intraco zaczęła się w 1973 r., skończyła dwa lata później. W latach 90. zmieniono mu elewację. Teraz zostanie zburzony. Nowe Intraco ma być gotowe w 2030 r.

MWKZ stoi na stanowisku, iż biurowiec Intraco nie reprezentuje wartości historycznych, artystycznych lub naukowych uzasadniających indywidualny wpis do rejestru zabytków nieruchomości - stoi w uzasadnieniu.

Mazowiecki konserwator Marcin Dawidowicz przypomniał, że zabytek to nieruchomość lub rzecz ruchoma, ich części lub zespoły, będące dziełem człowieka lub związane z jego działalnością, stanowiące świadectwo minionej epoki bądź

zdarzenia, których zachowanie leży w interesie społecznym ze względu na wartość historyczną, artystyczną lub naukową. W jego ocenie Intraco nie spełnia wymogów tej definicji.

Orzeczenie MWKZ wpłynęło do właściciela budynku, tj. Polskiego Holdingu Nieruchomości. Dziennik przypomniał także, że istnieje jeszcze możliwość odwołania się do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ciągu 14 dni od doręczenia pisma. Takie odwołanie będzie skutkowało wstrzymaniem wykonalności decyzji.

Wniosek w sprawie wpisu budynku do rejestru zabytków nieruchomości został złożony przez Stowarzyszenie „Obrońcy Zabytków Warszawy” w styczniu 2026 r. Jego autorzy wskazywali m.in. na historyczne i architektoniczne walory budynku oraz podkreślali, że wyburzenie obiektu stanowiłoby poważną stratę dla tej części miasta.

Na obecnym etapie podstępowania został zebrany materiał dowodowy. W toku prowadzonych czynności odbyły się oględziny obiektu, podczas których stwierdzono, że na przestrzeni lat budynek został w znacznym stopniu przebudowany - napisał Marcin Dawidowicz. Dodał, że ostateczna decyzja zostanie podjęta po całościowej analizie zebranej dokumentacji.

Niektórzy komentatorzy zwrócili uwagę, że mógł pokusić się o nieco bardziej obszerną refleksję niż oczywiste stwierdzenie faktu przebudowy. Intraco przeszło gruntowną modernizację pod koniec lat 90. XX wieku.

Ogólnopolskie media zwróciły jednak uwagę na wydzwięk zdania podkreślonego w powyższym cytacie, wskazując, że budynek zbyt mocno różni się od tego, jak wyglądał w latach 70. XX wieku. Zwrócono również uwagę, że ze względu na utratę pierwotnych cech architektonicznych ochrona Intraco może okazać się trudna.

PHN już zaprezentował wizualizację nowego Intraco. Za projekt odpowiada pracownia Arcus pod kierownictwem architekta Mariusza Ścisły. Według planu wieżowiec ma mieć 23 kondygnacje, czyli o 16 mniej niż obecnie.

Mimo to jego wysokość zostanie zbliżona do dotychczasowej. Podobna będzie również szerokość północnej i południowej elewacji - ponad 44 metry. Według planów nowe Intraco ma zostać oddane do użytku w 2030 roku.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kozłowski**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcinski**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

**Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202**

Handlowe

INNE

ZABYTKOWA krajalnica do mięsa
Kupię tel. 576-948-827

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Błonie tel.
668 085 925

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

**Ogłoszenia
drobne**

w Twojej gazecie
zlecisz
bez wychodzenia
z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy koło Wadowic -
Wielkanoc od 1100 do
1400zł. Możliwość dowozu
501-642-492**

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyć z wyżywieniem V-VI od 150 doba
601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 668-571-329

AUTOREKLAMA

Polecamy →

sk strona**KOBIET**



O kobietach i dla kobiet

stronakobiet.pl

Kamil Kosowski: Legia i Widzew muszą pójść za ciosem

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. O piłce w wydaniu ligowym rozmawiamy z Kamilem Kosowskim - byłym reprezentantem Polski, ekspertem Canal+ Sport.

Przed nami 25. kolejka w ekstraklasie. Legia, która wciąż nie może się wydostać ze strefy spadkowej, zagra na wyjeździe z Radomiakiem, w którym doszło do prawdziwego trzęsienia ziemi - trenera Goncalo Feio zastąpił Kiko Ramirez. Legia najgorsze ma za sobą?

Tak daleko bym się nie posunął. Wyniki się poprawiły, ale jak patrzemy na boisko, to jeszcze daleka droga, aby Legia grała tak jak życzyłby sobie tego Marek Papszun. Co jednak najważniejsze dla Legii, to punktuje i styl teraz schodzi na dalszy plan. Jeżeli chodzi o system gry i taktykę, to jest zdecydowanie lepiej. Do tego trzeba jeszcze dołożyć trochę gry kombinacyjnej i strzelać gole.

Legia ma paszę pięciu meczów bez porażki, a jej ostatni rywal, Cracovia, nie wygrał od pięciu spotkań. To kryzys „Pasów”? Zastanawiam się, co złego dzieje się w Cracovii. Drużyna, która potrafiła zagrać kombinacyjnie, stworzyć fajne akcje i zatakować, zalicza duży regres. Gra bardzo czytelnie, powoli i przede wszystkim mało widowiskowo.



FOT. OSKAR NOWAK/POLSKA PRESS

- O mistrzostwo powalczą Lech Poznań i Jagiellonia Białystok. Na Raków trenera Tomczyka jest za wcześnie

Coraz ciekawiej w walce o mistrzostwo Polski. Po 24. kolejkach sensacyjnym liderem jest Zagłębie Lubin. Drużyna prowadzona przez trenera Leszka Ojrzyńskiego będzie w stanie dowieźć do końca sezonu prowadzenie? Myślę, że w tym momencie Zagłębie i trener Ojrzyński do-

brze się bawią. Fajnie współpracują na boisku i to się przekłada na wyniki. Bardzo mi się podoba, jak Ojrzyński pracuje z piłkarzami, bo w Lubinie było dużo transferów, osłabienie, a jednak szkoleniowiec potrafił wprowadzić do drużyny solidność, dobrą atmosferę i to na dziś wystarczy,

żeby być liderem ekstraklasy. Nie wydaje mi się jednak, żeby Zagłębie wywalczyło tytuł.

Kto zatem zostanie mistrzem?

Moim zdaniem o mistrzostwo powalczą Lech Poznań i Jagiellonia i wydaje mi się, że kwestia złotego medalu rozegra się między nimi.

Do tego grona nie wlicza Pan Rakowa Częstochowa?

Trener Tomczyk potrzebuje jeszcze trochę czasu, aby wprowadzić w tym zespole wszystkie swoje pomysły, Raków gra też w Lidze Konferencji.

Świetny debiut w roli trenera Widzewa Łódź zaliczył Aleksandar Vuković. Jego zespół, który wciąż znajduje się w strefie spadkowej, pokonał Lecha. Widzew uniknie degradacji?

Gratulacje dla Vuko za ten pierwszy mecz, ale na pochwałę, a tym bardziej zachwyci, jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie. Widzew - podobnie jak Legia - był solidny, ale przede wszystkim zdobył trzy punkty, choć broń ni bardzo nisko. Trener nie zabrał na mecz dwóch piłkarzy, którzy Widzew sporo kosztowali, pokazując tym samym, że także w tym klubie trzeba ciężko pracować, aby zasłużyć na miejsce w składzie. ©P

Brutalna weryfikacja angielskich drużyn. Niestety, Lewandowski - również

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Pierwsze mecze 1/8 finału Ligi Mistrzów już za nami. Kilka zespołów wypracowało pokazne zaliczki. Niestety, dwaj Polacy - Robert Lewandowski i Nicola Zalewski - nie odegrali poważniejszych ról...

Jeden został skrytykowany za bezbarwny występ, z kolei drużyna drugiego jest już jedną nogą poza tymi rozgrywkami.

Najwięcej, bo aż sześć zespołów wystawiła Anglia. Jej szeroka reprezentacja może się błyskawicznie skurczyć do minimum. Żaden z przedstawicieli nie wygrał bowiem pierwszego meczu. Brutalnie w hicie tej serii został zweryfikowany Manchester City. Na Bernabeu już przed przerwą było po wszystkim, kiedy klasycznego hat-tricka skompletował Federico Valverde, ustalając rezultat.

- To mój najlepszy mecz w karierze - przyznał urugwajski kapitan „Królewskich”.

Asystę przy pierwszym trafieniu zaliczył... bramkarz, Thibaut Courtois, który wcześniej wypracował także bramkę w fazie ligowej z Kajratem Ałmaty. Wynik byłby w środę jeszcze bardziej okazały, gdyby w drugiej połowie Vinicius Junior wykorzystał jedenastkę.

Trzy gole do odrobienia będzie mieć w rewanżu także Chelsea, którą PSG pokonało u siebie 5:2. We wtorek bardzo ciężkie chwile przeżyła to Tottenham. Z powodu własnych, kuriozalnych błędów już po kwadransie przegrywał z Atletico Madryt 0:3 (skończyło się porażką 2:5).

Właśnie wtedy trener zmienił debiutującego bramkarza, Antonina Kinsky, odpowiedzialnego za utratę dwóch bramek. Zapłakany Czech z twarzą schowaną w dłoniach prędko zniknął

w tunelu. W osobistych dramacie nie pozostał jednak sam - wielu kolegów po fachu dodało mu otuchy, zamieszczając wpisy w mediach społecznościowych.

Po wszystkim jest już praktycznie w dwumeczcu Atalanty Bergamo z Bayernem Monachium. Drużyna Nicoli Zalewskiego przegrała bowiem u siebie aż 1:6. Nasz rodak po jednej ze straconych bramek bezradnie rozłożył tylko ręce, natomiast goście z Niemiec okazały zwycięstwo okupili trzema kontuzjami.

O swoje w rewanżu będzie musiała się za to bić FC Barcelona, która rzutem na taśmę wywalczyła remis z Newcastlem dzięki bramce Lamine Yamala z karnego. Zawiódł Robert Lewandowski.

Tylko raz stanął przed szansą zanim został zmieniony.

- Wiem, że to brutalnie zabrzmi, ale już nie nadaje się na Ligę Mistrzów w poważnym klubie - uważa Wojciech Kowalczyk.

Tymczasem według włoskich mediów zapytanie w sprawie Lewandowskiego wysłał Juventus Turyn. Szanse na transfer są jednak znikome. ©P

Pierwsze mecze 1/8 finału piłkarskiej Ligi Mistrzów:

* Galatasaray Sтамбул - Liverpool 1:0

* Atalanta Bergamo - Bayern Monachium 1:6

* Atletico Madryt - Tottenham Hotspur 5:2

* Newcastle United - Barcelona 1:1

* Bayer Leverkusen - Arsenal Londyn 1:1

* FK Bodø/Glimt - Sporting Lizbona 3:0

* Paris Saint-Germain - Chelsea Londyn 5:2

* Real Madryt - Manchester City 3:0

Rewanże zostaną rozegrane 17-18 marca. Finał 30 maja.

Reprezentacja Polski na medal. Nawet niejeden

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Wiemy już, kto będzie bronił honoru polskiej lekkoatletyki na halowych mistrzostwach świata, których gospodarzem będzie - w dniach 20-22 marca - Toruń. Reprezentacja liczy na razie 32 sportowców.

Poprzednio Polska gościła najlepszych lekkoatletów pod dachem w 2014 roku. Wówczas mistrzostwa świata organizował Sopot i „Ergo Arena”.

Dwanaście lat temu nasi zawodnicy zdobyli trzy medale - złoty Kamila Lićwinko w skoku wzwyż oraz srebrne w biegu na 800 metrów - Angelika Cichocka i Adam Kszczot.

- Mamy kilka szans medalowych, impreza sezonu u siebie sprzyja uzyskaniu cennych wyników - twierdzi prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Sebastian Chmara.



FOT. PAPIEPA

Jakub Szymański nie boi się żadnego z rywali w biegu na 60 metrów przez płotki i zapowiada wielkie wyniki

Wcale nie jest wykluczone, że nasza ekipa może jeszcze powiększyć się, na skutek decyzji World Athletics (np. wykorzystując przywilej gospodarza czy korzystając z dodatkowych miejsc dzięki relokacji).

- Jest dwóch Amerykanów i jestem ja - mówi Kuba Szymański. - Zobaczymy, kto wytrzyma.

Skład reprezentacji Polski na HMŚ:

Kobiety
60 m: Magdalena Stefanowicz i Ewa Swoboda
400 m: Natalia Bukowiecka i Justyna Święty-Ersetic
800 m: Julia Jaguściak i Anna Wielgosz

1500 m: Klaudia Kazimierska
60 m pł.: Pia Skrzyszowska
wzwyż: Maria Żodzink
w dal: Anna Matuszewicz
pięciobój: Paulina Ligarska i Adrianna Sułek-Schubert
sztafeta 4x400 m: Bukowiecka, Święty-Ersetic, Weronika Bartnowska, Anna Maria Gryc, Anastazja Kuś, Marika Popowicz-Drapała i Klaudia Osipiuk

Mężczyźni
60 m: Dominik Kopeć i Oliwier Wdowik

800 m: Filip Ostrowski i Maciej Wyderka

1500 m: Kamil Herzyk
60 m pł.: Damian Czykier i Jakub Szymański

wzwyż: Mateusz Kołodziej-ski
kula: Konrad Bukowiecki
sztafeta 4x400 m: Kajetan Duszyński, Marcin Karolewski, Mikołaj Pyszka, Mateusz Rzeźniczak, Wiktor Wróbel i Remigiusz Zazula. ©P



FOT. PAPIEPA

Kilkanaście dni temu, w trakcie spotkania FC Barcelona - Villarreal CF (4:1), Robert Lewandowski doznał złamania kości oczodołu. Na razie musi grać w specjalnej masce

